

II/2033

Część druga

W CIENIU WIELKICH PIECÓW

I o Janie myślałem jeszcze,
i gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Polska,
i płonęły w śledczym areszcie
wielkie piece Magnitogorska.

Władysław Broniewski

W wagonie przy piecyku

Szybko zapadł grudniowy zmierzch. Prawie wszyscy są już w wagonach, i dla tych „bieżenców” kończy się tułaczka; wreszcie pojedą do miasta, gdzie znajdą pracę i dach nad głową. Są zadowoleni, że jadą, ale nietrudno dostrzec, że to pozorne zadowolenie; zasłania ono żal i smutek. Pozostawili dom, rodzinę, zasiedziałe środowisko, często biedę, ale swoją, do której przywykli od lat, od pokoleń. Teraz pamiętają tylko radosne chwile wśród bliskich, jakby dotychczasowe życie było nieprzerwanym pasmem świąt w rodzinnym gronie. W niepamięć poszły codzienne troski o chleb, nieraz upokorzenia, nieraz zniewagi. Tam, w Polsce, pozostawili część swego życia, żywych i tych, co kiedyś żyli. Stare cmentarze, na których od wieków grzebano bliskich. A nadchodzą czasy, gdy Żydzi nie będą więcej spoczywać na „dobrym miejscu”, nie będą chowani z rytuałem odwiecznych tradycji. Niemcy odbiorą im to ludzkie prawo pisane dla umarłych. A żywi? Jakże u hitlerowców mogą mieć prawa? Nie mają złudzeń, jaki czeka los tych, co pozostali. A może Wiekuisty weźmie ich w obronę? Może przeżyją i w radości jeszcze ich zobaczą?... Przecież niezbadane są Jego wyroki!

Wzdłuż „eszełonu” biegnie spóźniony „bieżeniec”. Przystaje, znowu biegnie, jakby szukał krewnych lub znajomch. Z naszego wagonu ktoś go poznał: - Kimś, kim, mam dla ciebie miejsce - zawołał. I zagubiony człowiek z plecakiem wskazuje między rozsunięte drzwi. - On z naszego „sztetl” - mówi ten, który poznał swego ziomka - będziemy sobie pomagać, ja też nie będę sam.

Tak - tu każdy łgnie do swoich jak zagubiona owca do stada. Nawet dwie osoby to już nie samotność; będzie z kim dzielić radość i smutek. Lecz radości nikt się teraz nie spodziewa.

Na zewnątrz pada mokry śnieg, w bladym świetle kolejowej latarni widać białe płatki zmieszane z szarym deszczem. Zawiewa zimny wiatr, ale nie czuję chłodu, zapewne z podniecenia, które towarzyszy tym, co wybierają się w podróż. Nie będzie to jednak zwykła podróż, z której wiadomo, że się wkrótce wróci. Jeszcze jesteśmy w polskim mieście, mówi się tu po polsku, lecz to już teraz "zagranica". Rodzinny dom całkiem blisko, nietrudno znowu w nim się znaleźć i być wśród swoich. Ci, w towarowych wagonach, wybrali jednak daleką drogę w nieznaną, wiedząc, że jadą na spotkanie z wielką niewiadomą. Tysiące "bieżeńców" pozostało jeszcze w Białymstoku oczekując następnych transportów. Jednakże nie wszyscy pojedą na wschód, część wróci do domu łudząc się, że nie zginą, nie podzielą losu milionów, po których nawet mogiły nie pozostaną. Ci, co pojedą w głąb Rosji, dopiero po kilku latach dowiedzą się, że ziemia, na której żyło wiele pokoleń Żydów, przestała być gościnną, poskąpi im nawet miejsca na ludzki pochówek. Nikt spośród nas nie wyobrażał sobie, że nim zginą najbliżsi, przejdą ostatni raz po polskiej ziemi do takich samych wagonów, w jakich my się teraz znajdujemy. Ale jakże innych, wysypanych niegaszonym wapnem, z ludźmi stłoczonymi gorzej niż bydło, o które przecież dba się, by żywe dotarło na rzeź. Żydzi, nim znajdą się w takich wagonach, przeżyją przedtem gehennę głodu i poniżenia. W końcu hitlerowcy przepędzą ich ulicami rodzinnego miasta do stacji kolejowej, skąd pojedą do jednego z obozów zagłady. Na tych ulicach zobaczą sąsiadów, znajomych, urodzo-

nych bez żydowskiego piętna. Ktoś wyjrzy oknem, ktoś zapłacze, pokiwa głową nad losem skazańców. Inny - przejęty grozą - odwróci się, aby tego nie widzieć. Ale znajdą się i tacy, dla których będzie to widomym znakiem, że wreszcie żydowskie plemię dosięgła kara za użyżowanie Chrystusa. Tylko wybrańcy losu nie pójda do wagonów - drogą współczesnej Golgoty. Nielicznych przygarną szlachetni ludzie, skryją z narażeniem własnego życia i rodziny, udzielą pomocy zaszcuztemu człowiekowi.

Od tomaszowiaków dowiem się po latach, że pan Bożęcki, ten, co miał aptekę na rogu ulicy Krzyżowej i Piłsudskiego, usynowi Adasia Fridmana. Znał jego rodziców mieszkających po drugiej stronie ulicy, postarał się o świadectwo chrztu i metrykę, umieścił Adasia na wsi u swych krewnych jako swego syna. Jeden ukryje, a inny doniesie. Ale to tylko nieliczne przypadki - te dobre i te złe, szlachetne i podłe. Jak wąskie strumyczki; jedne płynące z czystego źródła, drugie zatrute jadem nienawiści, często ^{też} zaprawione chęcią zysku.

Główny nurt narodu żydowskiego popłynie, jak rzeka szerokim strumieniem, do pieców Oświęcimia, Majdanka, Treblinki. Odarci ze czci i godności, zostaną przed śmiercią, a nawet po niej precyzyjnie obrabowani. Wszystko przyda się gospodarce Tysiącletniej Rzeszy. Włosy to cenny surowiec, a popiół po spalonych kościach - nawóz na pola pod kapustę. Że tak będzie - nikomu się nawet nie śniło, również tym, którzy po krótkiej rozłące wrócili do swoich. A może woleli zginąć razem? Nikt się tego nigdy nie dowie...

Obok mnie w wagonie stoi Szymon Gingold. Pozostawił w Tomaszowie żonę i dwóch małych chłopców. Ona pojednała z dziećmi w rodzinne strony za Piotrków - do Gorzkowic, gdzie żyją jej

starzy rodzice. Są niedołężni, nie mogła ich zostawić na pastwę losu. O czym myśli mój znajomy przed ruszeniem pociągu? Widzę jego zmartwioną twarz, spod grubych szkieł okularów płyną łzy. Żona i dzieci w Gorzkowicach - gorzkie łzy.

Bracia Chmielnicy pozostawili rodziców i małą siostrzyczkę. Podchodzą do mnie, przerywają zadumę o moich bliskich. Czy tam mógłbym im pomóc? Pokazują miejsce, jakie zajęli na górnej pryczy zbitej z grubych desek. Wagon będzie wspólnym domem na długie tygodnie, namiastką tego w Tomaszowie. Jest nas czterech w tym "eszelonie", piąty pojedzie później. I to już wszyscy z naszego miasta, którzy znajdują się w Magnitogorsku. Inni tomaszowiacy - kilkadziesiąt osób - pojedą w różne strony bezbrzeżnego kraju. Większość jednak nie z własnej woli i w jakże innych warunkach.

Po wielu latach opowie mi tomaszowianin, że wiosną 1940 roku na Zachodniej Ukrainie i Białorusi wśród "bieżeńców" rozszła się/wiadomość o możliwości powrotu do kraju. Odbyła się rejestracja chętnych do wyjazdu. Informowano, że powrót odbędzie się w ramach łączenia rodzin w sposób zorganizowany - transportem kolejowym. Chętnych było bardzo dużo. W końcu stało się tak, że tych, "co chcieli wrócić do Niemców", załadowano pod konwojem do wagonów towarowych; wtedy uświadomili sobie, że nie pojedą na zachód do swych rodzin. W ciągu jednej nocy wszystkich zgarnięto. Sprawnie to poszło, były przecież gotowe listy osób zarejestrowanych do powrotu. Później, na inną noc-NKW] też przygotowało długie listy z nazwiskami polskich obywateli. Różne. Na przykład tych, którzy odmówili przyjęcia paszportu radzieckiego, lub byłych urzędników państwowych. W ogóle deportowano tzw. elementy wrogie, "socjalno opasnyje" określone według klucza klasowego, a zdarzało się, że i bez klucza.

Wszyscy pojechali na wschód pod strażą do łagrów w tajdze lub na "wolne piereselenije", aby zasiedlić Syberię. Bezterminowo. Historia chciała inaczej, *zsyłka trwała* niecałe dwa lata. Jednakże wielu pozostało w tajdze na zawsze.

Żydzi mieli szczęście, gdyż okazało się, że zmiana kierunku jazdy uratowała tysiącom życie. Paradoks, bo w ten sposób uniknęli zagłady. Część nie wytrzymała ciężkiej pracy w łagrach, głodu i syberyjskiego klimatu. Ale większość wróciła do kraju, lecz przedtem jeszcze raz zdziesiątkowana. Tym razem na polach bawełny w Azji Środkowej, przez tyfus i malarię. Ciepły klimat rozczarował, nie było powodów, aby cieszyć się odzyskaną wolnością i słońcem. Wpadli jak z deszczu pod rynnę.

Wracali różnymi drogami. Najmniej z armią Andersa. Ale kilkudziesięciu żołnierzy pozostało na zawsze na polskim cmentarzu Monte Cassino. Spoczywają wśród lasu krzyży w oddzielnej kwaterze pod macewami z gwiazdą Dawida. Inni wracali z armią Berlinga przez pola Białorusi. Zdecydowana jednak większość wróciła do kraju w ramach repatriacji w 1946 roku. Po powrocie tylko nieliczni osiedlili się na gruzach swych domostw, na ziemi przesiąkniętej krwią.

Pogrom w Kielcach 4 lipca 1946 roku pogał resztki polskich Żydów - ocalałych w Związku Radzieckim oraz tych nielicznych z partyzantki, obozów koncentracyjnych i z głębokiego ukrycia - do Palestyny, USA, Kanady, a nawet do dalekiej Australii lub Nowej Zelandii.

Oskarżenie Żydów o mord rytualny ma starą historię. Tym razem odezwała się w Kielcach bliskim i dalekim echem. Dla wielu było zaskoczeniem, że stało się to w Polsce *nałożonej przez PPR,* która niejako *zawinna* programowo zwalczać tego rodzaju obskurantyzm. Faktem jest, że krótko po Treblince, Bełżcu i Sosiborze

tylko w Kielcach ukamienowano 42 Żydów, w tym kobiety i dzieci.
Niewykłuczone, że i w tądże maczały u tym palce.

W Tomaszowie z ocalałych po wojnie kilkuset Żydów zdecydowało się pozostać tylko sześciu. Nigdy już nie będzie w tym mieście - jak zresztą i w innych - społeczności żydowskiej. Ostatni tomaszowski Mohikanin, sędziwy Abram Rozenowajg dożywa końca swych dni. Pamiętam, jak podziwiałem ongiś jego krzepę, gdy dźwigał ćwiartki tuszy do koszernych i trefnych jatek. W Polsce Ludowej /nie całkiem legalnie/ uzupełniał miejscowy rynek baranią własnego uboju. Nie był intelektualistą, profesorem ani "osobą na stanowisku" i nie opuścił kraju po wydarzeniach marcowych w 1968 roku. Nie pojechał do Szwecji, Danii lub Izraela, jak wielu polskich Żydów w tym pamiętnym roku, kiedy pałeczkę antysemitki hecy przejęła PZPR. Wtedy, na dworcu Gdańskim w Warszawie, żegnałem kilku znajomych, tych skrzywdzonych przez Marzec. Wybiegłem zanađto w przyszłość. Wróćmy do naszego pociągu na bocznicy w Białymstoku w grudniu 1939 roku.

Siadam na ławce obok mojej pryczy, którą zaklepałem, kładąc na niej plecak. Po obu stronach wagonu kilkanaście prycz w dwóch poziomach /każda na dwie osoby/. Pośrodku wolna przestrzeń, tu się gromadzimy, obok "kozy" - żelaznego piecyka z wypuszczoną przez dach rurą. Przy piecyku polana drewna, węgiel, a także dwie spore ławy. Jak dobrze, że już jadę! Chmielnicki miał rację, żeby nie czekać na następny transport. Myślę, że więcej w wagonie takich "lewych" jak ja pasażerów.

Rozpoczęła się wielka przygoda, o jakiej wielu kiedyś marzyło, przygoda "za morzami i górami". Mórz oczywiście nie będzie, góry Uralu niezbyt wysokie, ale za to przestrzeń mamy przemierzyć ogromną i całą drogę za darmo, bez pieniędzy. Tylko radować się. To pierwsza daleka podróż w moim życiu.

Kiedyś fascynowały książki podróżnicze, dalekie wyprawy odważnych ludzi. Z zapartym tchem śledziłem przygody bohaterów w egzotycznych krajach. Każdy to przeszedł. Minął jednak chłopięcy wiek i tego rodzaju przygody przestały mnie pasjonować. Znalazłem się w kręgu zupełnie innych zainteresowań. Zaczęły je kształtować książki i filmy z najnowszej historii, z *zawrotu* ruchu robotniczego. *Pasjonowały zmagania bohaterów walczących z narodziem życia o lepsze jutro.* Krótko mówiąc, uczulony zostałem na *krzywdę* społeczną i w związku z tym interesował mnie świat bez kapitalistów, świat bez ucisku i nędzy.

Uciekłem od Niemców, uratowałem życie. Iluzja podpowiada, że z Magnitogorsku, w tym sztandarowym mieście Kraju Rad, znajdę urzeczywistnienie sprawiedliwości, w którą wierzyłem. Przekonam się naocznie, że ona istnieje nie tylko w książkach. Skończyłem dwadzieścia lat, a w tym wieku wszystko jest proste i jasne, niemal oczywiste. No, prawie wszystko.

W wagonie półmrok, ludzie urządzą się na pryczach, słyszę głos Szymona: - Chodź, pomożesz urządzić przepierzenie. - To ci pedant! - pomyślałem. Znalazł jakiś patyk, powiesił na tym dwa ręczniki i rozgląda się, jak to zamocować. Sznurkiem przywiązał jeden koniec do górnej pryczy, ja przytrzymałem drugi, wetknąłem patyk w szparę ściany i zadowolony, że odgrodził się od świata. Wciąż dalej się rozgląda, jakby jeszcze lepiej się urządzić. Mnie to mało interesuje. Wprawdzie legowisko mam obok niego, wolę jednak usiąść przy plecymu, wśród licznych grona nowego towarzystwa.

"Kozą" przyjemnie grzeje, rozpaliła się do czerwoności, rzuca blask na twarze siedzących wokół. Niektórych poznałem jeszcze w kolejce przy rejestracji na wyjazd. Teraz więcej mówią o sobie.

Jeden z nich nazywa się Edmund Miller, a jego żona - Greta. Pochodzą z Łodzi, starsi ode mnie co najmniej o dziesięć lat. On, działacz związkowy, ostatnio był zamknięty w Berezie Kartuskiej. Gdy wojska radzieckie wkroczyły na wschodnie tereny Polski, znalazł się na wolności. Oczywiście do Łodzi nie mógł wrócić, Łódzcy hitlerowcy niechybnie wydaliby go w ręce Gestapo. Żona dowiedziała się, gdzie jest, i przyjechała do niego. W ciągu kilku tygodni przebywania w jednym wagonie zaprzyjaźniłem się z Edmundem, czego nie mogę powiedzieć o jego żonie. Nie była skora do zawierania znajomości, zresztą nie tylko ze mną. Zamknięta w sobie, posępna - ciągle wymawiała mężowi, że przez niego musiała opuścić dom i swoją ukochaną Łódź. W chwilach szczerości mówiła: - Mąż niepotrzebnie związał się z tymi... no, sami wiecie. - Po co mu to było? - powtarzała z dezaaprobatą. Nie wierzy w pomyślną przyszłość. Daleko od swego miasta, wśród obcych w wielkim kraju, nie liczy, że znajdzie "ciepłe miejsce". Ot, towarzyszy mężowi w ciężkich czasach.

Millera polubiłem, gdyż traktował mnie poważnie, a ja szukałem w nim oparcia. Był rozmowny, z poczuciem humoru, więc czasem namawiałem go, żeby porozmawiał ze mną po niemiecku. Niezbyt chętnie to czynił, jakby się wstydził, że ci, co mówią tym językiem, napadli na nasz kraj. Ja byłem przekonany, że co innego ojczyzna Beethovena i Thälmana, a co innego hitlerowcy.

Drwa do plecyka dokłada Tadeusz Żakowski. Wszyscy zdążyli go już poznać, jest przecież komendantem wagonu. To on sporządził listę obecnych i mnie na niej umieścił, nie pytając czy jestem uprawniony do wyjazdu. Od razu u wszystkich zyskał autorytet. Przyjaciół Millera, w jego wieku, też łodzianin i też "berezianin". Towarzysz komendant - tak go teraz nazywamy - z przejęciem pełni funkcję gospodarza wagonu.

Gdy poklepał mnie po ramieniu, pochwaliłem się, że znam Łódź, w tym mieście zaskoczyła mnie wojna. Kiedy bliżej dał się poznać, z tym większym szacunkiem odnosiłem się do niego. Nie był jednak skory do przyjaźni ze mną. Byłem dla niego za młody, czułem dystans, jaki dzieli mnie od doświadczonego działacza, człowieka z politycznym doświadczeniem. Z czasem dowiedziałem się, że zostawił w Łodzi żonę, że nie byli zgodnym małżeństwem. Zbyt wiele czasu poświęcał innym sprawom, partyjnym i związkowym. Krótko mówiąc nie chciała do niego przyjechać, co zresztą nie było dla Tadeusza niespodzianką. Będąc jeszcze w Berezie wielu rzeczy się domyślał, a resztę opowiedzieli mu przyjaciele. Pogodził się już z tym, że żony właściwie nie ma.

Miarowy stukot kół trwa już kilka godzin. Nagle pociąg zatrzymał się jakby bez powodu, bo żadnej stacji nie *ma*. Wyglądam przez szparę nie domkniętych drzwi. Naokoło biel śniegu aż po horyzont, tylko gdzieniegdzie ^{widzi} nikielne światełka większych zabudowań. Przeraziłem się białego pustkowie, mimo iż pierwszy śnieg zawsze budził we mnie radość. Uspokoił mnie blask księżyca zza chmur, lekko oświetlający nasz pociąg. Długo stojąc, słysząc głosy z otwartych wagonów, biegają ludzie. Nieśmiało rozsuwamy drzwi, kilka osób zeskakuje z nasypu, by skorzystać z okazji i zwyczajnie... jak to przed snem. Ktoś woła, żeby zamknąć drzwi, bo "leci zimno", ale wielu do nas się przyłącza. Więcej osób stoi przy wagonach. W długim szeregu widoczne są tylko sylwetki na białym tle, tych stojących, a także kucających. Sami swoi, nie ma się czego krępować, warunki są przecież polowe. Wejście z powrotem nieco trudniejsze, pomagają ręce stojących w otworze wagonu. Zimno, ale oć czego

niamy piecyk. Przy nim właśnie siadamy, na ławach lub w pobliżu na pryczach. Od razu gorąco.

Przyjemnie zasypiać, gdy żołądek nie jest pusty, o tym każdy wie i stąd krzątania wokół posiłku - wyciąganie co kto ma, w co zaopatrzył się przed wyjazdem: chleb, ser żółty, jabłko. Niektórzy dobywają z plecaka nawet kiełbasę z koniny, kroją kozikiem po plasterku. Wspaniałe są białostockie antonówki; ostatnie jabłko zjadłem na deser. Delektując się smakiem nie przeczuwałem, że przez kilka najbliższych lat nic takiego nie zobaczę.

Piecyk rozpalony do czerwoności mocno grzeje, trzeba się odsunąć od żaru. Wesoło migoce lampa zawieszona przy drzwiach, taka sama, jaką widziałem na wakacjach w Karolinowie u Janka Króla. Światło lampy miesza się z tym od piecyka i środek wagonu odcina się jasnością od ciemnego tła. Tam są prycze, stamtąd dochodzą utyskiwania, czasem westchnienia, ale wkrótce zapanowała cisza. Starsi zaszyli się gdzieś głębiej, chyba usnęli. Pośrodku wagonu sporo wolnego miejsca. Tu można porozmawiać, wzajemnie się poznać, wymienić informacje.

Blisko piecyka na skraj^{Scr} dolnej pryczy usiadła młoda para - Abram Cukierman z młodą żoną, nazywaną przez niego pieszczotliwie: "Szepsele" /owierko/. Prezentują się niezbyt elegancko. Ubrani są po chłopsku, on w butach z cholewami, ona w chustce na głowie, spod której wystają kruczoczarne, dawno nie czesane włosy. Komfort normalnego życia z myciem i przebieraniem^{się} w czystą bieliznę należy już u bardzo wielu do przeszłości.

- Ku, powiedz, skąd jesteście - przynagła żona. Abram, nieco sepleniąc, wymienia miejscowość, skąd pochodzą - Sobienie Jeziory. Nie dosłyszałem, więc pytam, co to za jezioro. Dziewczyna powtarza nazwę z akcentem na ostatnich sylabach i ge-

stem ilustruje wielkość miasteczka w pobliżu Góry Kalwarii. Poprawia swoje niesforne włosy, ociera łzy obejmując ramieniem Abrama. Powiada, że znają się od dziecka, miesiąc temu odbył się pośpiesznie ich ślub, bez rozgłosu, a następnego dnia odjechali przez Warszawę do Małkini. Dwa tygodnie siedzieli na pasie neutralnym. Rosjanie krzyczeli: - Dawaj nazad - ale w końcu udało im się dostać do Białegostoku. Są szczęśliwi, że nie widzą Niemców.

Nagle szarpnęło, rozległ się metaliczny stuk o bufory wagonów. Nieomylny znak, że znów ruszamy po dłuższym postoju na boczniczy. Piecyk ~~←~~ solidnie zamocowali do podłogi, *ani drgnie;* *nie ma* (obawy, że się przewróci. Tylko ławki, na których siedzimy, nieco się chwieją. Dokładam polano, znów unosi się przyjemne ciepło.

Towarzystwo w środkowej części wagonu powiększa się o cztery osoby. Są w moim wieku, a jeden, nieco młodszy, powiada, że wszyscy są z Włocławka. Chłopak schludnie ubrany, podając mi rękę przedstawia się: - Kowadło, Józef Kowadło jestem. - Pozostała trójka, w tym dwie dziewczyny, też wymieniła nazwiska, ale nie dosłyszałem. Zastanowiłem się nad ich wyglądem, ani śladu zaniedbania, jakby dzisiaj dopiero przyjechali z domu.

Nimo woli pomyślałem ^{o/} sobie. Od dawna rozczesuję palcami włosy, bo grzebyk gdzieś się zapodział i nie pomyślałem, że należy kupić inny. Spojrzałem na moje pantofle: od dwóch miesięcy nie widziały szczotki, po skarpetkach pozostała tylko nazwa. Zapasowe, które w ostatniej chwili włożyła mi mama do plecaka, już dawno wyrzuciłem. Ostatnio nawet twarzy codziennie nie myję. Najgorsze to brudna koszula i ten odruch powściągliwego drapania się. Właściwie niby nic nie gryzie, a człowiek dziwnie się wierci, weszło w nawyk. Teraz sobie to uświado-

miam, gdy patrzę na włocławskie towarzystwo. Wstyd mi się zrobiło, w wagonie są przecież dziewczyny.

Dziewczyna, która stoi obok Józka to jego starsza siostra - nazywa się Ewa. Dwoje pozostałych nic nie mówi. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się, że on nazywa się Beniek Dancygier, a ona Klara Lerman. Klara ubrała się we wzorzystą suknię, na szyi ma jakieś korale, w uszach kolczyki. Mama powiedziałaaby o takiej, że wystroiła się jak "Chawełe zum get"^x.

Zawarta znajomość okazała się trwała, szczególnie z Dancygierem. Przyjaźniłem się z nim w najtrudniejszym dla mnie czasie, o którym jeszcze opowiem. Przyjaciel - zgodnie ze znanym przysłowiem, zdał egzamin. Nie darzyłem tylko sympatią Klary. Zbyt pewna siebie, stale podkreślała swą rzekomą wyższość, jakby zamierzała drogo siebie sprzedać. Beniek, mimo swych dwudziestu lat, wygląda jak ledwie opierzony, który ^{tylko} co wyfrunął spod opiekuńczych skrzydeł mamy. Nie ma jeszcze towarzyskiego obycia, robi wrażenie, jakby był czymś wystraszony, coś bąka zdradzając braki w wymowie języka polskiego. Dowiedziałem się, że dopiero przed wyjazdem ściął pejsy, zamienił długi chałat na marynarkę, a jarmużkę na zwykłą czapkę. W ostatniej chwili dołączył do rówieśników z tej samej kamienicy, udających się do Białegostoku. Pewnego dnia powiedział o swoim koledze Józku: - Wiesz, on już siedział; w śledztwie był bity, ale nikogo nie wydał.

Teraz Józek przedstawia swego kolegę z Włocławka, mówiąc

x Jak Chawcia do rozvodu - przesadnie elegancko, nieodpowiednio do sytuacji /jidysz/.

o nim z niejakim pobłażaniem: - To "jeszywe bucher"^x. - Przesłałem go jednak słuchoać. Wpatrzony w Ewę nie mogę oderwać od niej oczu. Wagon zawirował, a w skroniach bije jak młotem. Oczy istne chabry, przepastne - osłaniają ciemne rzęsy. Łagodny uśmiech nie wiedzieć czemu przyjąłem jako wyłącznie do mnie skierowany. Nieco wyższa ode mnie, obcisły biały sweter uwiadacznia kształtną postać. Spojrzała na mnie jakby z lekką drwiną, ale chyba się mylę. Białe zęby podkreślają urodę, a twarz wyraża delikatność i dobroć. Nie, ona nie drwi ze mnie, *udaje* tylko pewną siebie. Poprawia starannie uczesane kasztanowe włosy - gdzieś wpatrzona, jakby nie zauważyła mojego zmieszania. Nie wykluczone, że tylko udaje, że mnie nie dostrzega. Jedno *nie ulega* ^{wątpliwości:} oświadczyła mną całkowicie, oniemiałem z zachwytu. I co tu ukrywać - zakochałem się w niej. Nie jest to wprawdzie odpowiednie miejsce ani czas, ale miłość nie wybiera. A może to zwyczajne pożądanie?..

Przed chwilą byłem myślami gdzie indziej, inne sprawy przytłaczały, jakże dalekie od tych, jakie dyktuje uczucie do dziewczyny: sześć tygodni poza domem, poniewierka w Białymstoku, przedtem tydzień przeprawy przez granicę, a najważniejsze - niepokój o najbliższych, o tych, co pozostali u Niemców, nie powinno nastrajać do miłosnych westchnień. Teraz zapomniałem o wszystkim, nie zauważyłem nawet, że Ewy już nie ma przy piecyku. Widocznie z Klarą poszły na swoją pryczę.

Ulotniła się też fascynacja pierwszych w świecie "krajem robotników i chłopów", gdzie nie ma antysemityzmu.

x Chłopak z jeszybotu - religijnej uczelni /jidysz/.

nie ma bezrobocia... O wszystkim zapomniałem. Już noc. Zostałem sam przy piecyku, wpatrzony w ciemny kąt, czy nie zobaczę białego sweterka, jasnej twarzy i błękitnych oczu. Na narach już wszyscy pokładli się do snu. Lampa zgaszona. Tylko ogień w piecyku rozjaśnia mały krąg podłogi. A ja wciąż widzę piękną postać Ewy.

Pociąg znowu przystanął, nie słychać miarowego stuku kół. Zapadła niczym nie zmącona cisza. Zostałem sam ze sobą, z własnymi myślami, z pragnieniem przytulenia się do Ewy. Trójka z Tomaszowa już dawno śpi. Chmielnicy na górnej półce, Szymon na dole za przemyślnym przepierzeniem. Nie poznać po nim zaniedbanego "bieżeńca": kamasze wyczyszczone, ustawione obok pryczy "na baczność" - potwierdzają znaną mi już wcześniej jego pedanterię. Dwa ręczniki jak baldachim ozdabiają Szymonowe miejsce do spania. On ma dwa ręczniki, a mój ktoś ukradł w łaźni, pozostała tylko chusteczka, którą od biedy można twarz wytrzeć. Koniecznie muszę się postarać o grzebyk, przecież uczesane włosy to rzecz ważna. Nie mam lusterka, ale mój wygląd z pewnością jest naganny. Nagle zdałem sobie sprawę, że zostałem zaniedbanym, wymiętym "bieżeńcem", *prawie jak z* białostockich bóżnic. Przecież nie wszyscy tak wyglądają, można zadbać o siebie! Trzeba koniecznie to zrobić już od jutra, tak dalej być nie może! Co pomyśli o mnie Ewa? Pocieszam się wyglądem innych, też nie lepiej ubranych. Ciemny szalik ciasno związany pod szyją to: teraz typowy element stroju, zastępuje krawat. Ma ponadto inne zalety: zasłania niezbyt czystą koszulę, udaje sweter. Wielu widać podobnych do mnie, w tych samych przecież warunkach żyjemy. A ci z Włocławka? Nie, nie mogę być gorszy od nich!

Przeciągam ręką po twarzy, palce dotykają niezbyt jeszcze

gęstego zarostu, ale szczytina już wyraźna. Szymon ma na pewno brzytwę, może pożyczy, choć z pewnością niechętnie to uczyni. Taki już jest, znam go od lat, zawsze taki był. Egocentryczny, bez polotu i dowcipu, zawsze rozpoczynał rozmowę od słów: ja, moje, u mnie. Mówili o nim - samolub. Był w jakiś sposób związany z naszą rodziną. Siostra Fela poślubiła jego brata, ale po sześciu latach małżeństwa rozwiódła się z nim. Z Szymonem utrzymywaliśmy dobre stosunki, nawet przez jakiś czas wynajmował u nas sublokatorskie łóżko. W wspólnym mieszkaniu wszędzie był obecny, czemu nie można się dziwić. Nie znosiłem jednak, kiedy usiłował wpłynąć na moje wychowanie - krnąbrnego wówczas chłopca. Z tego powodu bywały nieraz nieporozumienia.

Pamiętam jak późnym wieczorem przyjechała z Gorzkowic jego narzeczona. Ubrana była w czarne "fokowe" futro - nieodzowny atrybut drobnomieszczańskiej panny na wydaniu. Ojciec mówił z przekąsem o tym futrze, że to farbowane króliki, ale nikogo nie przekonał. Mama twierdziła, że to właśnie foki, tak teraz modne, dodając ze smutkiem, że nasza Fela wyszła za mąż bez takiego futra. No cóż, nie każdego na to stać; przecież wyposażyć córkę to wielki wydatek. Szymon przed ślubem kupił białe andrychowskie płótno, obstalował u szwaczki

poł tuzina nocnych koszul, przyniósł je do nas i pochwalił się nabytkiem na nowej drodze życia. Mnie najbardziej podobały się kolorowe wypustki: jedne niebieskie, drugie żółte, a jeszcze inne pomarańczowe. Mama podziwiała fason, pochwaliła gospodarność. Nie zauwa-

żyła żadnej wady: ani w koszulach, ani u Szymona.

Która to już godzina? Szarpnęło, pochyliłem się do tyłu, co oznacza, że pojechaliśmy do przodu. Czuję, że niedługo zasnę. Nie chce mi się jednak iść na pryczę. Usiadłem więc całkiem wygodnie na podłodze, oparłem się plecami o drzwi wagonu i tak siedząc zacząłem drzemać. Przedtem dołożyłem drwa, *w piecu* ~~ku~~ *znowu* buzuje, ciepło wprowadza w błogi nastrój.

Mignął jak na filmie obraz ulicy Polnej, gra w "klasy" na chodniku, podwórko, gromadka rówieśników. Widzę beztroski chłopięcy wiek jak daleką przeszłość. Poczuję tęsknotę za mamą. Nagle znalazłem się w domu, w Tomaszowie, na ulicy Żwirki i Wigury. Pełnia lata - upał, aż trudno wytrzymać. Pracy o tej porze roku oczywiście nie ma, wiadomo, kanikuły, więc mówię rodzicom, że idę na plażę. Do kuchni weszła Różia. - Zaczekaj na mnie na ławce w parku, dzisiaj ~~czwartę~~ kończę pracę, pójdziemy razem - szepnęła do ucha, widocznie usłyszała o moim zamiarze. Nie odznacza się pięknnością, za to zalotna ponad miarę. Od pewnego czasu pomaga mojej siostrze szyć suknie. Bronia długo broniła się przed tym fachem, ale w końcu, ^(jgc) nie ma wyboru, została krawcową. Mama oczywiście spostrzegła szept w moją stronę, a także wyrafinowane spojrzenie. Wtedy zapewne pomyślała, że synek już dorosły i czas na te rzeczy, "co dla zdrowia potrzebne". Poczekałem na ławce, Różia przyszła, jak było umówione. Poszliśmy w stronę Pilicy. Zbliżywszy się do zagajnika, spytała: - Masz to? No wiesz... - Mam - odpowiedziałem i sprawdziłem zawartość małej kieszonki. Nie zdziwiłem się, że *od tego czasu*. Wiedziałem, że jest "puszczalska", że dzisiaj nie będzie kąpieli ani brodzieńnia w płytkiej wodzie, gdzie pod stopami czuje się miękki pia-

sek. Bielutki, przyjemny.

Poszliśmy między drzewa i usiedliśmy pod większą sosną. Rozglądam się wokół. Cisza. Po jakimś czasie Różia zauważyła, że nad nami stoi nie znany nam młody człowiek, ja zaś usłyszałem: - Frajerze, zabierasz się jak pies do jeża, nie tak się terzeczy robi. - Szybko, jak tylko to było możliwe, uciekliśmy w stronę miasta. Za kuźnią Różia zniknęła mi z oczu i na tym skończyła się ta przygoda. Taśma z przeszłości urwała się. Spojrzałem na piecyk, znowu przymknąłem oczy i zobaczyłem siebie z dziewczyną bliższą sercu. Krajobraz też tomaszowski, ale przeżycia jakże inne.

Znalazłem się na polnej drodze skręcającej w stronę wapienników, właściwie ^{na} ścieżce, przy której rosną chabry. Świeci słońce, upał. Pełne kłosa są nieruchome. Nagle ujrzałem dziewczynę w obcisłym, białym sweterku, mocno rozciągnięty^m pod naporem nieprzyzwoicie sterczących piersi. Widzę chabry, uśmiech, niebieskie oczy, widzę obraz koloru złota, na którym odcina się postać w bieli. Biegnę za nią, za bielą i błękitem, za tą, którą dziś poznałem. To przecież Ewa! Zwolniła kroku, prawie przystanąła. I wtedy, całkiem blisko, poczułem jej gorący oddech. Wyciągam ręce, objąłem ją mocno i przycisnąłem do piersi. Namiętne zbliżenie trwało chwilę, bo nagle coś mocno szarpnęło, głośno zastukało. Wróciła rzeczywistość, ta w wagonie, nie wśród żyta i chabrów, nie w domu, lecz przy rozpalonym piecyku.

Pociąg znowu przystanął brutalnie przerywając piękne marzenia. Najpiękniejsze w moim życiu. Rękawem otarłem twarz spoconą od gorąca, od wrażeń i jeszcze raz przywołałem obraz Ewy, pięknej dziewczyny, w której się zakochałem.

Wszystko boli od siedzenia w niewygodnej pozycji, plecy

przymarżyły do drzwi wagonu, a z przodu ten niesamowity żar. Pora otrzeźwieć! Polano tylko co na dobre się rozпалиło, więc obie przygody nie mogły trwać długo. Nie do wiary - pomyślałem, i powlokłem się w stronę pryczy, aby resztę nocy przespać za ręcznikiem obok Szymona.

Kipiatok

Kiedy się zbudziłem, było już widno. Przez małe okienko w wagonie sączy się światło, przenikają jasne promienie z zasnutego ^{mgiełką} słońca. Słysząc taki sam miarowy stuk, jaki kołysał w nocy do snu. Co jakiś czas rytmiczny takt zakłócany jest na rozjazdach szyn, a zwalniane tempo zapowiada kolejny przystanek i oczekiwanie na wolny przejazd. Już prawie południe, teraz postój będzie chyba dłuższy, bo odczepili lokomotywę. Ktoś wyjrzał przez lekko rozsunięte drzwi i ogłosił, że przyjechaliśmy na stację "Kipiatok"; taki duży napis właśnie mamy przed sobą.

Rychło się przekonujemy, że to nie nazwa stacji, takie napisy i wcześniej były. Widać, że w kierunku niewielkiego budynku, na którym ten napis widnieje - biegną nasi. Odkręcają kranik i leci gorąca woda, aż para bucha. To jest właśnie kipiatok - wrzątek. Wszystko się wyjaśniło. To świetna rzecz, nie musimy się martwić o gotowaną wodę na herbatę.

Naokoło puszysty śnieg, wystarczy ręką zgarnąć, aby zmyć sadze z rąk i przetrzeć oczy. Szykujemy się do posiłku. Szymon - jak zawsze zapobiegliwy, ma menażkę, do tego jeszcze garnuszek. Biegnę po kipiatok, ale przede mną kilka osób, więc stoję cierpliwie w kolejce. Śnieg tu rozdeptany, obok głośno sapie wielkie cielsko parowozu, jakby za chwilę miało pęknąć. Na szczęście ma automatyczne urządzenie, które z głośnym sykiem zmniejsza ciśnienie w kotle. Nie pęknie, za to kłęby pary stopią naokoło śnieg, odkrywając jakieś żelastwo i hańdę żużla. Pierwszy raz przyglądam się z bliska lokomotywie. Raz tylko widziałem podobną na stacji w Tomaszowie, ale wtedy nie było

sprzyjających warunków, takich jak teraz. Nasz parowóz szykują do długiej drogi. Do tendra z wysokiej pompy spływa rękawem strumień wody, przenośnikiem ładują węgiel, a z popielnika palacz pogrzebaczem wygarnia popiół i dymiący żużel. Sądząc po wyglądzie tego, który właśnie wyczołgał się spod parowozu - nie jest to przyjemna praca, wręcz przeciwnie. Nie przypuszczałem wtedy, że też zostanę "koczegerem", będę z niejakim upodobaniem czyścić palenisko i opróżniać "podduwało" z popularnego parowozu zwanego Emką.

Wreszcie i ja chwyciłem za kurek, aby wrzątkiem napełnić menażkę i garnuszek. I wiem już, że mam kapiatok, ale nie wiem jeszcze, że przez kilka lat zamiast mleka, kawy czy herbaty popijać będę do cennego chleba właśnie kapiatok. Tak jak zwykli obywatele tego kraju.

Chleba podjadłem więcej niż ćwiartkę, resztę z białostockiego bochenka schowałem do kieszeni na kolacje. Syty, zadowolony, więc cicho śpiewam sobie piosenkę od niedawna błakającej po głowie.

Ja drugoj takoj strany nie znaju,
Gdzie tak wolno dyszit czełowiek.

Miałem zamiar jeszcze raz zaśpiewać, ale w wagonie zjawiło się kilku wojskowych, w tym jeden z teczką pod pachą. Komendant pewnie podaje sporządzoną przez siebie listę pasażerów, ale niektórzy są mniej pewni siebie. Każdy boi się władzy - to zrozumiałe, ale ja mam szczególny powód, przecież jadę - jak by nie było - na gapę. Odetchnąłem z ulgą dopiero wtedy, kiedy oficer rzuciwszy okiem na listę schował ją do teczki. Nie pytają o dokumenty, tylko sprawdzają liczbę osób w wagonie, mierząc nas przy okazji nader podejrzliwym spojrzeniem. Nasi też są nieufni, bowiem rozpoznali w nich oficerów NKWD. Ja zaś nazywam ich "wojskowymi", gdyż podobni są do tych, którzy nakarmili kaszą zaraz po przekroczeniu granicy. Ale chyba słusznie przestrzegają przed chwaleniem się działalnością polityczną.

A tymczasem twarze oficerów rozjaśnił nieśmiały uśmiech zachęcający do swobodniejszej rozmowy. Powoli znika wzajemna nieufność, chociaż jedni i drudzy nadrabiają minami, obie strony chcą zmniejszyć dystans dzielący władzę od "bieżeńców".

- Byłem "podpolszczykiem" - mówi ktoś pewny siebie głosem - byłem... Urwał w pół zdania, bo i do niego dotarł szept epitetu w języku hebrajsko-żydowskim. Oficerów interesują ważniejsze sprawy: czy był bogaty, czy też biedny. I nie ma się czemu dziwić. Przybyliśmy przecież do kraju, gdzie rewolucja już dawno temu wymiotła bogaczy. Może jednak nie do końca wymiotła i mogą się rozmnożyć. A może wśród nas skrył się jakiś bogacz?..

Padają różne pytania, ale kiepsko mówimy po rosyjsku, więc trudno wszystko wytłumaczyć. Kogoś bardzo młodego - pytają,

czym zajmował się jego ojciec, a on niepewnie odpowiada:

- Był, był ... agentem kolektury Państwowej Loterii Pieniężnej. Nie rozumieją, co to znaczy, są wyraźnie zakłopotani, wspomagamy więc kolegę wyjaśnieniem: - Duże pieniądze - "mnogo dienieg". Wojskowy podejrzliwie spojrzał na naszego chłopaka i wycedził: - Aha, ty syn bankiera i agenta. - Śmiejemy się z tego, prostujemy - ojciec tylko losy sprzedawał, a sam był biedny. Wojskowy wzruszył ramionami, jakby nic z tego nie rozumiał, ale w końcu machnął ręką i tak zakończył rozmowę: - Biedny, biedniak, mówicie, znaczytsja choroszyj czełowiek - i następnego pyta, jaki miał majątek.

Jedni są czymś zaniepokojeni, jakby mieli coś do ukrycia, u innych widać błysk zadowolenia z powodu uznania dla ubóstwa, najlepiej od urodzenia. A oficerowie dalej tylko pytają o zawód, pochodzenie, przynależność klasową. Ocena ludzi według stanu posiadania okazuje się najważniejszym kryterium. Mnie utwierdza to w przekonaniu, że o wartości człowieka nie świadczy jego majątek. Przeciwnie, ci z majątkiem są najmniej warci i bardzo dobrze, że tacy nie są tu szanowani.

Nasi wojskowi dziwią się, po co tylu krawców, fryzjerów,

sprzedawców, sklepikarzy; w każdym wagonie to samo. Nie mogą zrozumieć, jak państwo może funkcjonować, jeżeli ludzie tylko tym się zajmują. - To zajęcie dla bab, chłopcy powinni robić coś konkretnego, a nie takimi drobiazgami się zajmować - powiedział oficer. - Eto czepucha, a nie rabota - dorzucił drugi. - Mają racje, ale jak im wytłumaczyć, że żydowska młodzież nie miała większych możliwości wyboru. Jeszcze trudniej wytłumaczyć przyczyny sięgające mroku dziejów.

Na szczęście niedługo to się zmieni, wszyscy będziemy pracować właśnie na budowie, baby również. Powiedzieli jeszcze, że "panskoj Polszy uże nie budiet'", że skończyła się nasza niedola pod panowaniem obszarników i kapitalistów. Życzliwie nas potraktowali, wiedzą oczywiście, że przybywamy z Zachodniej Białorusi - wyzwoleni przez Armię Czerwoną. Nie prostujemy, iż nikt z nas nie został bezpośrednio wyzwolony, tylko zwyczajnie uciekliśmy od Niemców. Z naszą znajomością języka rosyjskiego to zbyt trudne, zresztą nie tylko z tego powodu. Nie przekonamy. Oni wiedzą swoje i lepiej nie wyprowadzać ich z błędu. Wiedzą, że "imperializm polski, w imię własnych interesów spowodował tę wojnę", że "imperialistyczne sprzeczności zrodziły kolejną imperialistyczną wojnę" - i tak dalej. Przeczytałem o tym w białostockiej gazecie. A przecież całkiem niedawno Związek Radziecki był nadzieją świata, zdolny zagrozić drogę niemieckiemu faszyzmowi. W każdym razie ja w to wierzyłem. Teraz nic nie mówią o hitlerowcach, o prześladowaniu Żydów, jakby nigdy tego nie było. Najwyraźniej coś się zmieniło. Szkoda.

Wojskowi sobie
(po)szli upewnić nas przedtem, że teraz nie będzie już wy-
zysku, będziemy odtąd pracować "na siebie".

Parowóz już doczepiony, w otwarte drzwi wagonów wspinają się ostatni "bieżeńcy", których wojskowi nazywają "zapadnikami". Ruszamy w dalszą drogę. W środkowej części naszego wagonu znalazło się kilku entuzjastów pracy na budowie. Jest więc z kim porozmawiać o budownictwie, zwłaszcza przemysłu ciężkiego - podstawy podstaw przyszłego dobrobytu. Wielu z nas wie, że stalinowskie piatiletki przewidują budowę dużej liczby nowych fabryk, całych miast. Na olbrzymim terytorium Kraju Rad powstały już takie nowe miasta, całe kompleksy przemysłowe. Np. Komsomolsk nad Amurem, Kuźnieck i oczywiście słynny Magnitogorsk, do którego właśnie jedziemy.

Ja wspominał o niedawno ukończonej gigantycznej zaporze i elektrowni na Dnieprze. Ta budowa stała się symbolem elektryfikacji ^{olbrzymiego} kraju. Dla mnie to temat nienowowy. Ta sztandarowa budowa nieraz służyła mi za przykład w przekonywaniu niedowiar-
ków o możliwościach nowego ustroju. Przypomniał mi się film radziecki o tej właśnie budowie, jaki oglądałem w kinie "Odeon" w Tomaszowie. Nazywał się "Turbina 50 tysięcy". Do dziś zapamiętałem melodię i słowa piosenki z tego filmu. Wiele razy ją śpiewałem, a zaczynała się od słów:

Wszyscy śpiewają turbina,

Turbina zdobywa dziś świat.

50 megawatów mocy było wtedy wielkością olbrzymią, turbina zaś bardzo skomplikowanym agregatem. Instalowali ją amerykańscy inżynierowie. Ale jak to imperialiści - planowali sabotaż; sądzili, że nikt nie zauważy zgubnego skutkach uszkodzenia ważnego detalu. Jednak młody inżynier radziecki wykrył nieuczciwe zamiary zagranicznych sabotażystów i Amerykanów uka-

rano. Wszyscy się radują - turbinę uruchomiono, a dowodem sprawności ~~jest~~ ^{jest} umieszczona na korpusie moneta "na sztorc". Ani drgnie!

Ktoś wspominał o budowie kanału daleko na Północy, który połączy Morze Białe z Bałtykiem. I tak na rozmowie szybciej płynie czas. Uciekają do tyłu drzewa i chmury, zaróżowił się horyzont nad lasem. W końcu zapanowała ciemność. Tylko gdzieś ~~niegdzie~~ ^{niegdzie} ~~zamigotały~~ ^{zamigotały} światełka ludzkich siedzib, ~~przesuwające~~ ^{przesuwające} się ~~w~~ ^w ~~środku~~ ^{środku} ~~nocy~~ ^{nocy}.

Siedzimy jak wczoraj przy piecyku w tym samym prawie towarzystwie. Tylko Ewy i Klary nie ma. Ktoś zaproponował, żeby coś zaśpiewać, więc zaintonowałem taką piosenkę:

W szachy gra nie tylko ten, kto umie,
W szachy grywać będziesz rad nie rad.
Gorzej z tym, co gry tej nie rozumie,
Wtedy czeka go niechybnie mat.

Kilka osób razem ze mną śpiewa, a gdy skończyliśmy, Tadeusz ^{zainteresował się} skąd znam tę piosenkę, czy siedziałem w więzieniu. - Nie - odrzekłem: - ale miałem kolegów, którzy po wyjściu z więzienia nauczyli mnie wiele piosenek, razem je śpiewaliśmy. - Spytał, skąd pochodzę, a kiedy wymieniłem Tomaszów, powiada, że w Berezie poznał kilku z tego miasta. Jeden nazywał się Stefan Zakrzewski. Nie wiedziałem, że Stefan po odsiedzeniu wyroku w Piotrkowie znalazł się w obozie. Tadeusz opowiada, że był to twardy towarzysz, nie podpisał deklaracji za cenę zwolnienia. Niewielu takich było. Pochwaliłem się, że dobrze go znam, widziałem się z nim w Białymstoku, tam był milicjantem. Tadeusz uzupełnia wiadomości: - Tak, to prawda, ale przed wyjazdem spotkał^{em} go za Zwierzyńcem już w cywilu. Widocznie stracił zaufanie u władz, więc w inny sposób

zarabiał na chleb. Zrobił sobie z koła roweru i pedału takie urządzenie do ostrzenia noży i z tym chodził na plecach oferując usługi.

W kiepskim nastroju usiadłem przy drzwiach wagonu. Trochę zawiewa, nie odczuwam jednak zimna, chroni serdaczek uszyty z baranich ścinek. Już noc, wszyscy pokładli się do snu, a ja słucham, jak wyje zimowy wiatr, ^{jak} wciska się przez szpary razem ze śniegiem. Dookoła coraz więcej śniegu zmiatanego z bezkresnych pól. Znowu całą dobę stoimy na bocznicy, a przed nami ciągle czerwone światło semaforu.

Poczułem głód, więc sięgam do kieszeni, gdzie mam resztkę białoostockiego chleba. Powstał dylemat: zjeść go, czy zachować do jutra? Jak zwykle można znaleźć rozwiązanie kompromisowe; teraz kawałek, resztę na następny dzień. Tak postanowiłem i błogo żuję chleb, ale ta reszta na jutro jest coraz mniejsza. Chciałem zasnąć, żeby nie kusił, lecz nie mogłem. I tym razem nie zwyciężył rozsądek. Zjadłem wszystko.

Następny dzień przywitał nas radosną nowiną. Mamy dostać pieniądze, bezzwrotną pożyczkę, przyznaną nam przez przedsiębiorstwo, w którym będziemy pracować. Do wagonu wszedł sam komendant "eszelonu" w asyście uzbrojonego żołnierza. Nic dziwnego, ma całą walizkę pieniędzy. Każdy z nas kwituje na liście odbiór dziesięciu nowiusieńkich banknotów, każdy z wizerunkiem lotnika z przytroczonym spadochronem. Opiewa na trzy ruble. Doceniam hojny podarek, i z radością tak sobie śpiewam:

Wciąż wyżej i wyżej, i wyżej
Szybuje podniebny nasz szlak,
I każdy propeller tchnie mocą, Rot Front

Na straży Republiki Rad.

Zadumę nad wizerunkiem lotnika przerwał Chmielnicki. - Czego się gapisz jak sroka w gnat. Chodź, wyskoczmy coś kupić do jedzenia - powiedział wskazując na budynek dworca kolejowego. Pobiegliśmy w tamtym kierunku, klucząc *na torach wśród towarowych wagonów.* Na okazałym gmachu napis - Smoleńsk, Olbrzymia poczekalnia, sporo ludzi oczekujących na połączenie. Mają solidne kufarki, jak u nas poborowi udający się do koszar. Ale nowością są blaszane czajniki na kipiatak. Prawie każdy podróżny z tym chodzi. Podoba mi się to, bardzo praktyczne w olbrzymim kraju, gdzie podróż trwa kilka dni, a nawet tygodni. Rosja od dawna jest potęgą kolejową. Tak jak Anglia potęgą morską.

Pierwszy raz na tym właśnie dworcu widziałem ludzi dziwnie, żeby nie powiedzieć nędznie ubranych. Na nogach łapcie z łyka, przywiązane aż do kolan sznurkiem. Odziani byli bardzo licho, w stare płaszcze wojskowe, ^{chyba jeszcze carskie.} pod pachą trzymali po bochenku chleba. Sądziłem, że to chłopci ze wsi, i nie widziałem w tym nic szczególnego. Chociaż obraz nie był budujący, nie zastanawiałem się nad tym. Ponury widok nie pasował do moich wyobrażeń.

W dworcowym bufecie kupujemy to, co można dostać: dżem z moreli i herbatniki na wagę. Gdy odchodziliśmy od lady, powstało jakieś zamieszanie. Ktoś z naszych krzyczy, że ukradli mu wszystkie pieniądze. Widzę, że w kierunku wyjścia biegnie grupa wyrostków, uciekają przed milicjantem, który goni jednego z nich, usiłując go złapać. Oberwańcy przypominają młodocianych przestępców z filmu "Bezdomni". Oglądałem z zachwytem ten film w Tomaszowie. Tamci wyrosli na porządnych ludzi, na bohaterów pracy. Bohater filmu nazywał się Kara Mustafa. Nie był on zwykłym złodziejaszkiem, jak ten na dworcu w Smoleń-

sku, lecz hersztem młodocianej szajki. Z wyglądu był bandytą i nic nie wskazywało na to, że wyrośnie na porządnego człowieka. I oto pedagogika Makarenki uczyniła z niego i szajki bohaterów pracy, budowniczych odcinka linii kolejowej. Film kończy się radośnie, uroczystym przejazdem pierwszego pociągu prowadzony przez byłych przestępców. Dziwię się, że są jeszcze złodzieje. *Wkradają "Rus" na pociąg i ich oyc.*

Tymczasem nasz pociąg już daje sygnał do odjazdu. Pędzimy więc co tchu, żeby nie zostać; trzeba uważać, żeby nie pogubić cennych herbatników. Zdażyliśmy, i jak tylko pociąg ruszył od razu - choć z pewnym trudem - otwieram słoik. Przedtem sprawdzam jednak, czy nie ukradli mi pieniędzy. Wszystko w porządku, lotnicy nadal dumnie spoglądają na pierzaste obłoki. Dżem jest wspaniały, słodziutki jak miód, może zastąpić cukier. Próbuje jeszcze trochę, już dno widać, zaczyna mnie mdlić od tych słodkości, więc zagryzam herbatnikiem, ale on też słodki. Najważniejsze, że będę miał własne naczynie na kapiatok, nie będę musiał prosić Szymona o garnuszek. Owszem - pożyczę, ale daje mi wyraźnie do zrozumienia, że skończyły się czasy trzymania się spódnicy; mówi, że trzeba wreszcie być samodzielnym mężczyzną. Nie sądzę, żeby to było takie pilne. *Dorośli zwykle mają jakieś kłopoty, a ja jeszcze nie mam.*

Myślę teraz o czymś zupełnie innym, o lotnikach. Nie tylko dlatego, że w kieszeni mam trzyrublówki. Lotnictwo to piękna rzecz, zawsze się tym fascynowałem. Zagaduję Chmielnickiego, próbując podzielić się z nim moją fascynacją. Ale on przerwał mi brutalnie: - Ty zawsze bujasz w obłokach, lepiej byś pomyślał, co będziemy robić w Magnitogorsku? - Jak to co? - odpowiadam pytaniem. - Wiadomo, będziemy budować. - Mój przyjaciel kręci głową i sceptycznie tak o tym mówi: -

Poza igłą nie mieliśmy dotąd innego narzędzia w ręku. - Wtrącam, że krótko miałem również brzytwę, ale on nie słucha i ciągnie dalej: - Do budownictwa trzeba się wprawić, bez przyzwyczajenia będzie bardzo ciężko. Słyszałeś chyba o czekającym nas współzawodnictwie pracy, wyścigu, kto więcej cegieł położy. Słyszałeś przecież o Stachanowie, tym który pobił rekord wydobycia węgla. Wszyscy muszą pracować po stachanowsku. My jednak nie mamy szans. Z naszą kondycją fizyczną będziemy na szarym końcu w tym wyścigu. - Popatrzyłem na kolegę i pomyślałem, że ma rację. Szczupły, wąty - znacznie niższy ode mnie, nie budzi nadziei - zostanie rekordzistą na budowie. Ja też nie należę do olbrzymów i przyznałem, że mnie również nie pociąga układanie tysięcy cegieł dziennie. Dodałem jednak - o czym niedawno czytałem: - Tu wymyślili nową metodę, montuje się domy z gotowy^{dy}ścian. Po chwili wyłożyłem swoje credo:

- Jesteśmy teraz w socjalistycznym kraju, więc obojętne, co będziemy robić. Najważniejsze, żeby skończyć z tym żydowskim fachem, z tym krawiectwem, ze ślęczeniem z igłą w ręku. Marzę, żeby być tokarzem, a po pracy uczyć się. Czytałem, że w Związku Radzieckim robotnicy stają się inżynierami, chodzą do wyższych uczelni. Szkoła taka nazywa się "Rabfak" - "raboczyj fakultet" - i chciałbym się w takim "Rabfaku" uczyć.

Chmielnicki znowu się ze mną nie zgodził: - Powiem otwarcie - masz kompleks na tle żydowskiego zawodu. Ale zawód nie ma nic wspólnego z narodowością. Tak się po prostu złożyło, że w naszym fachu dużo Żydów. Najbardziej irytuje mnie - ciągnie dalej - że ciągle mówisz o czym czytałeś, jakbyś się tym popisował, w ogóle wywyższał. Ja będę się starał pracować w krawiectwie, mimo iż podpisałem umowę o pracę w budownictwie. Trzeba być praktycznym. A ty, niestety masz książkowe podejście do

życia. Szymon, który przysłuchiwał się naszej rozmowie, podsumował ją niemieckim przysłowiem: - Schuster, bleib bei deinem Leisten^x. Znałem to przysłowie właśnie od niego. Nieraz je powtarzał, stosując własną, fatalistyczną wykładnię. Teraz odpowiedziałem ostro: - To przysłowie jest okrutne, jak dziś Niemcy. Ma oznaczać przeznaczenie, los, którego nie można zmienić. Wcale tak nie uważam.

Nie rozmawiałem z nikim więcej na ten temat. Sam ze sobą toczyłem spór taki sam jak w Tomaszowie, kiedy skończyłem czternaście lat. Ale teraz dużo się zmieniło. W Kraju Rad, w kraju wielkich możliwości, sam zadecyduję, kim będę.

Tymczasem płyną dni, tygodnie, a my wciąż w ponurym wagonie, Im dalej na wschód, tym zimniej. Na zewnątrz prawdziwa rosyjska zima, przez nieszczelne drzwi zawiewa lodowaty wiatr. Ludzie stali się jacyś rozdrażnieni; nasza młoda para z So-bienich Jezior mniej pieśczośliwa. Niebieskie oczy Ewy jakby przybladły, zniknął zalotny uśmiech. Klara przestała być elegancka, a Kowadło i Dancygier jacyś zamknięci w sobie, Miller i jego żona Greta ponurzy; prawie wcale ze sobą nie rozmawiają. Tylko Tadeusz — stale ten sam. Komendant wagonu nie daje po sobie znać, że jest zmęczony podróżą lub czymś niezchęcony. A mnie znowu coś gryzie, pieniądze się skończyły i jak wszyscy martwi^{się} czym napełnić żołądek domagający się jedzenia. Na szczęście, co kilka dni na bocznicach oczekują nas wojskowe kotły z kapuśniakiem, nazywanym tu śmiesznie - "szczy". Do zupy dostajemy po ćwiartce chleba.

Coraz zimniej, bardziej ponuro, zagubieni na stacjach wśród tysięcy towarowych wagonów. Czasem ktoś przystanie przy

^x Szewcze, pilnuj swego kopyta /niem./

naszym "eszełonie" i smętnie popatrzy, jakby zainteresował się, kogo teraz wiozą.

Nietypowy to transport, brak bowiem konwoju. Przywołując z pamięci tamte spojrzenia *nie mam wątpliwości*, iż nic innego nie mogły one wyrażać poza współczuciem; może również strach o własną przyszłość. Nie znalazł się odważny, żeby z nami porozmawiać lub o coś zapytać. A nie byliśmy przecież aresztantami. Wtedy nie uświadamiałem sobie, że właśnie za takich nas uważali. W rzeczywistości tak źle nie było. W tutejszej nomenklaturze nazywają takich "dobrowolny^{je i j} pereselenicy" i słusznie, przecież sami wystawialiśmy w długich kolejkach, aby zapisali na wyjazd. Wkrótce się okaże, że będziemy obywatelami radzieckimi drugiej kategorii, bez prawa zmiany miejsca zamieszkania. Zresztą ci z pierwszej też nie mieli wtedy tego prawa. Przekonałem się o tym niedługo po przyjeździe do Magnitogorska.

Nie wybiegajmy jednak za bardzo w przyszłość, wróćmy do naszego wagonu, w którym czuję się nie najgorzej, jeszcze pełen entuzjazmu i w nadziei na radosną przyszłość.

Za ścianą wagonu trzaskający mróz, mimo że do Syberii jeszcze daleko. Skupiamy się wokół piecyka, by ogrzać zgrabiące ręce, Nie mogę się doczekać końca podróży. Nie mam zegarka ani kalendarza, nie wiem, jaką mamy teraz godzinę, jaki dzień miesiąca. Ktoś próbuje obliczyć, ile czasu już jedziemy. Jedni mówią, że trzy tygodnie - inni, że więcej. Greta wyciąga kalendarzyk, w którym z niemiecką akuracnością wszystko notuje. Przebyte dni w wagonie są przekreślone, jakby na stratę. Tych dni *nalicyliśmy* dwadzieścia.

Dziś - *mówi Greta* - mamy 24 grudnia; jeszcze nie przekreślony. Jutro i pojutrze w kalendarzyku czerwone kwadraciki - dwa dni świąt Bożego Narodzenia. Greta pochłupuje, Ta-

deusz odwrócił głowę, jakby chciał ukryć wzruszenie, a może łązy tęsknoty za rodzinnym, wigilijnym stołem. Miller siedzi osowiały na pryczy i patrzy gdzieś w przestrzeń, jakby nie było ścian wagonu.

Przypomniało mi się, jak przed tymi świętami w domu była praca, a ja odnosiłem klientom uszyte przez ojca ubrania. W ich domach pachniało świerkiem, ciastem i mięsiwem, a przez okna długo jeszcze widoczne były choinki obwieszone *świecidełkami*. Wacek Głowa i Janek Król dostawali od mamy prezenty, życzyła im wesołych świąt. Żał mi się zrobiło Greta i sam zatęskniłem za rodzinnym domem. Próbowałem przybliżyć sobie ten dom. Jak on teraz wygląda? Już prawie cztery miesiące okupacji, czułem, że nie może w nim być radośnie. Również w domach chrześcijańskich, nawet jeśli świeci choinka. Ze zrozumiałych względów nie odczuwałem tęsknoty za wigilijnym stołem w Boże Narodzenie, nie miałem takiej tradycji i nie w tym rzecz. Można tak samo tęsknić - powiedzmy - za wigilią Wielkanocną, za wieczerzą w Sederową Noc. A ten stan ducha, jakim jest tęsknota, pięknie oddaje obraz Jacka Malczewskiego "Wigilia wygnańców".

Reprodukcję tego obrazu znałem z albumu malarstwa polskiego i ten obraz utkwiał mi w pamięci. Widzę, jak przy stole siedzą zesłańcy w różnym wieku, przygnębieni, z myślami gdzieś daleko, Światło małej świeczki odbija się na ich twarzy, a każda w inny sposób wyraża tęsknotę za rodziną, za domem, za ojczyzną. U młodszych z błyskiem nadziei, że wrócą, u starszych spojrzenie jakby zasnuwane cieniem rezygnacji. Stół wigilijny i taki miewa wygląd. Gorzej, gdy go wcale nie ma, a najgorzej, gdy zesłańcy już nie tęsknią, jak oddał to Malczewski w innym obrazie - "Śmierć na etapie".

Otrząsnąłem się z myśli o zesłańcach na Sybir, tłumacząc

sobie, że to przecież było za cara, za carskich czasów, kiedy prześladowali bojowników o wolną Polskę. Nie znałem wtedy prawdy o stalinowskich łagrach; o tej ponurej rzeczywistości przeczytałem później, po dwudziestu latach w książce Aleksandra Sołżenicyna Archipelag Gułag. Pełną prawdę ujawniono znacznie później, gdy upłynęło pół wieku.

A tymczasem tak jak dotychczas: długie postoje i krótka jazda. Nim zobaczyliśmy góry Uralu, minęły trzy tygodnie. Dopiero za Czelabińskiem cel wydawał się całkiem blisko, niemal w zasięgu wzroku, tylko jakieś pięćset kilometrów. Nikt nie przypuszczał, że życie w wagonach potrwa jeszcze dłużej niż tydzień. Jedziemy teraz po jednym torze, na mijankach musimy przepuścić ważniejsze pociągi: z rudą, węglem, żelazem. My możemy poczekać.

Krajobraz monotony, bezludny - wszędzie śnieg i śnieg - białe pustkowia. Tylko w oddali na stokach niewysokich gór rzadkie brzoźowe lasy bieleją nieco innym odcieniem, jakby z domieszką fioletu. Naokoło zimowa cisza przerywana w czasie jazdy stukiem pociągu. Na bocznicach stoimy coraz dłużej, całymi dniami. Czyżby nas tam nie chcieli? Może zapomnieli o naszym "eszełonie"? Różne nachodzą myśli, gdy zasypani śniegiem czekamy, aż podjedzie parowóz.

Nagle, któregoś dnia - gdy śnieg przybrał już szarą barwę, ktoś zauważył daleko na horyzoncie lekko zaróżowione niebo. W tamtą stronę podąża nasz pociąg, na południe, więc nie może to być zachód słońca. Po pewnym czasie jasny kolor przybliżył się, potem niebo przybrało barwę intensywnej czerwieni, a biały do niedawna jeszcze horyzont zaczyna wyraźnie płonąć. Podążamy w kierunku olbrzymiej żuny. Domyślam się, że przed nami nareszcie słynne piece — Magnitogorska, te same, o

których pisał poeta. Jaskrawy kontrast staje się tak wielki, jakby tam wszystko się paliło, jakby na zaśnieżonym stepie nagle wybuchł gigantyczny pożar. Tego nikt się nie spodziewał.

Nie zważając ^(siarczysty) na mróz ludzie tłoczą się przy rozsuniętych drzwiach, chcą zobaczyć na własne oczy, co się dzieje. Już widać wysokie kominy, jakieś budowle w kłębach dymu, ale ogień jakby przygasł. Dotarliśmy do celu jakże długiej podróży.

Pociąg przyhamował, stanęliśmy przed niewielkim budynkiem z napisem Magnitogorsk. Nagle, bo żadnych wsi nie było, żadnych osiedli przed miastem, nawet nie widziałem budynku z napisem kąpiatok. Później się dowiedziałem, że na tej stacji kąpiatok nie jest potrzebny, tu się kończy kolejowy szlak, pociągi tędy nie przejeżdżają. Zdawało się, że stanęliśmy na końcu białej pustyni, do której oko już przywykło. Wprawdzie blisko oaza wielkiego placu budowy, ale jak tam się dostać? Czy ktoś się nami zaopiekuje? A gdzie będziemy nocować? Myślę, że innych nurtowały te same pytania. Za chwilę wysiadziemy z naszych ogrzewanych piecykiem "domów" na mróz. I co dalej?

Nagle pełne zaskoczenie. Przed nami orkiestra gra marsza, połyskują trąby, bębny wybijają takt, wokół sztandary, transparenty. Czyżby nas witali?! Ależ oczywiście: na transparencie napis: "Dobro pożałowat!". Nieco mylący dla nas, słabo znających rosyjski. Nikogo przecież nie żałują, przeciwnie - machają czerwonymi chorągiewkami, radośnie witają. Brak tylko kwiatów, ale taki mróz, że musiałyby być z żelaza. Z rozsuniętych drzwi wagonów "bieżeńcy" wysypali się przed trybunę przybraną czerwonym płótnem. Orkiestra wciąż gra, a mnie aż podrywa z radości. Powaga chwili nakazuje jednak spokój. Jeszcze nie skończyli grać, a już z trybuny ktoś zaczął przemawiać.

wiać. Przy nim asysta w futrzanych czapach, chłopcy na dwa metry; blask w oczach. Widać, że to oficjalne osobistości. Trudno z przemówienia coś wyłowić, bo tysiąc "bieżeńców" przebiera nogami w letnim obuwiu. Na zbitym śniegu odgłos prawie wszystko zagłusza. Mimo to dotarły słowa powitania wyzwolonych braci z "Zapadnoj Białorusi" - słowa, że nie będziemy więcej pracować na kapitalistów i obszarników - "tolko na siebie". O tym już wiem. Zastanawia co innego; przestaliśmy być "bieżeńcami", staliśmy się "zapadnikami", ludźmi z Zachodniej Białorusi.

Stoimy wytrwale przed trybuną, ciasno stłoczeni. Zmęczone postacie, szare twarze zdają się nie rozumieć, co się dzieje. Jakoś nie pasują do uroczystej - chciałoby się rzec - świątecznej atmosfery. Zdziwiony wzrok jakby pytał: Czy nie zaszła tu jakaś pomyłka?

Pogubiłem znajomych z wagonu, również swoich ziomków, ale obok znalazł się Chmielnicki. Trąca mnie w bok i tak szepcze do ucha: - Ale cyrk! Przeczytaj, co napisali na transparencie, przecież oni witają Białorusinów, a takich tu nie znajdziesz, nawet na lekarstwo. Czyżby nie wiedzieli, że my nie Białorusini tylko polscy Żydzi i niewielu Polaków; uciekinierzy przed Niemcami? - Ta uwaga nie dotarła do mojej świadomości, nadal radowałem się tym, że właśnie witają wszystkich, którzy przybyli włączyć się do pracy na wielkiej budowie. Tylko sceneria, cała oprawa - jakby to powiedzieć - nieco krępuje. Chmielnicki, widząc że nie przekonał mnie, odwrócił się na pięcie zniechęcony i pobiegł w stronę podstawionych właśnie autobusów. Za nim pobiegli inni.

Ja nadal stoję wpatrzony w trybunę. A na trybunie pojawił się ktoś z naszych. Mówi piękną polszczyzną,

akcentując każde słowo jak na wiecu: - Towarzysze, nie zawieziemy pokładanych w nas nadziei, pracować będziemy po stachanowsku! - Ostatnie słowo musiało być zrozumiałe, skoro rozległy się okrzyki na cześć Stalina, naszego wyzwoliciela. Kilka osób krzyczy: - Hura! - ale naszych coraz mniej.

Nie sposób - mimo gorącej atmosfery - wytrzymać zimna. Mróz jakby zakpił sobie z płaszczyków i pantofli. Orkiestra jeszcze raz krótko zagrała, po czym przeszła do poczekalni. Jeden z jej członków z trąbką pod pachą, popatrzył z politowaniem na marną postać, trzęsnącą się z zimna, rękę położył na moim ramieniu i przyjaźnie powiedział: - Pajdiom na czaj. - Usiadłem przy stoliku blisko bufetu, nieznajomy przyniósł na tacy kilka szklanek herbaty. Jasny, szeroki uśmiech i gest zapraszają do picia, do rozgrzania skostniałego ciała. Pijąc słodzoną, prawdziwą herbatę myślę o dobrym radzieckim człowieku, o tym, który zaprosił do ciepła. O szczerości i ciepłe tych ludzi nieraz się później przekonałem.

Nic nie mówię, tylko grzeję zgrabiałe ręce o kolejną szklankę herbaty. Podszedł ktoś z orkiestry, też ma lśniący instrument pod pachą i przynagla mojego towarzysza, że czas "damoj". Nie zauważył mnie i jakby do siebie samego powiedział: - Czort wozmi z tymi zapadnikami - i jeszcze coś, z czego wynikało, że trzy dni zmitrężyli w oczekiwaniu na nasz przyjazd. Sympatyczny chłopak, ale wyraźnie zde gustowany, co i rusz powtarza: - Czort wozmi. Po chwili jednak złość zniknęła, a na jego twarzy pojawił się taki sam serdeczny uśmiech, jak u mego sąsiada przy stoliku; może dlatego, że na mnie spojrział[?]. Przykro mi, ale co ja tu zawiniłem? Mogli przecież zatelefonować, dowiedzieć się, kiedy nadejdzie nasz pociąg, nie musieliby wtedy warować w poczekalni na dworcu. A może nikt nie wiedział, kiedy

przyjedziemy? Dostojnicy jednak wiedzieli, bo zjawili się na czas, na pewno nie czekali tak długo.

Pożegnałem pierwszych spotkanych mieszkańców Magnitogorska, podziękowałem za herbatę, a oni tak mocno uścisnęli mi dłoń, że aż zabolalo w stawach. Ten, który zaprosił do bufetu tak powiedział: - Różnych ludzi tu się przywozi, ale z zagranicy wy jesteście pierwsi. Oby wam się dobrze powodziło. - Chciałem już wyjść, ale w poczekalni pełno naszych, więc zostałem. Popijają herbatę nie spiesząc się wcale, bo są tylko trzy autobusy i sporo czasu upłynie, zanim wszystkich zabiorą.

Posiedziałem w cieple czekając na swoją kolejkę. Pytam o pierwsze wrażenia, o niesamowite przywitania. Ludzie nie są jednak skorzy do rozmów. Niektórzy drzemią, inni zmęczeni podróżą są obojętni na wszystko, nawet orkiestra nie była w stanie ich rozruszyć. Marzą tylko o jednym - przespać się w cieple. W końcu zabrał nas autobus i zawiózł do łaźni. Tam wziąłem blaszaną miednicę z uchwytemi, odkręciłem kurek i popłynął kipiatak. Obok był kran z zimną wodą. Było też szare mydło. Co za rozkosz umyć się w ciepłej wodzie, pierwszy raz od miesiąca. Od razu poczułem się jak nowo narodzony. Rozpoczynam nowe życie w upragnionym Magnitogorsku.

Już późną nocą służby sanitarne wciąż pracują. Z dworca przyjechał autobus, przywiózł kolejną grupę "zapadników", inną - już "obrobioną" - ten sam autobus odwozi do miejsca zamieszkania.

Kąpiel była tylko początkiem "obróbki". Przede wszystkim musimy poczekać nim odzież wróci z dyzjenfekcji. W specjalnych kamerach parują się nasze ubrania. Tępią wszy.

Przeszło miesiąc nie zmieniałem bielizny, toteż nie widzia-

łem skutków drapania się. Teraz rany szybko się zagoją, przecież będziemy się codziennie myć i rozbierać do snu. W końcu najważniejszą rzecz mam już za sobą, jestem po kąpieli. *Ale naraz, podziez mi odrazu oddali.* Okazuje się, że przybysze muszą być skrupulatnie zbadani, tutaj dba się o każdego człowieka, nawet obcego.

Służba zdrowia ma nocny dyżur. Badają wyłącznie młode le-
karki, co - rzecz jasna - krępuje. W Tomaszowie nie
było lekarza-kobiety, więc nie przypuszczałem, że pracują w
tym zawodzie. W łaźni też były kobiety, więc dłońmi zakrywa-
liśmy wstydlive miejsca, żeby żeńska ^(obsługa) nie widziała. Nato-
miast przed lekarką nie da rady ukryć cokolwiek. Wszędzie za-
glądają, wszystko oglądają. Sprawdzają nawet, czy nie mamy
płaskostopia. Próchnica zębów też groźna choroba. Nigdy tak
dokładnie nie byłem badany.

Odebrałem gorące jeszcze ubranie, przyjemnie grzeje cia-
ło, teraz z kolei zajęły się nami fryzjerki. Na szczęście tyl-
ko fryzurą i zarostem. Dotąd nie widziałem jeszcze kobiety z
brzytwą w ręku. Sprawnie im idzie fryzjerstwo. Lekka praca,
rzeczywiście odpowiednia dla kobiet.

Czysty, ostrzyżony, podlegam teraz dalszej „obróbce”, tym
razem przez męski personel. W oddzielnym pokoju urzędnicy w
wojskowych mundurach mają pełne ręce roboty. Trzymając kolej-
no nasze palce, mażą je tuszem, odciskują na oddzielnych kar-
tach ślady linii papilarnych. Potem robią fotografie z przo-
du i z profilu. Każdemu przypisują bieżący numer, łamany
przez cyfry i litery uwidocznione na papierowych teczkach.
Oczywiście zapisują dane personalne. Są trudności z inter-
pretacją fonetyki, ale nie wydaje się to istotne, więc nazy-
wam się odtąd nieco inaczej. I tak wszystko jest "so słow",
czyli zwyczajnie na gębę, naszych dokumentów przecież nie
uznaje się. Pytają jeszcze o "nacjonalnost", ale nie dziwią
się, że nie mają ^{przed sobą} Białorusina. Gdy wszystko już spisali,
kładę pod tym swój podpis; czytelny tak jak dotąd. Obok data
- 8 stycznia 1940 roku. I znowu słyszę poznane dziś pięknie
brzmiące słówko: - Sledujuszczij. - Zabieram swój nietypowy
plecak, wzbogacony o słoik po dżemie, i mimo woli spojrzę

na umazane tuszem palce. Doznałem dziwnego skojarzenia. Opowiadali mi koledzy z więzienną przyszłością, iż będąc w areszcie śledczym brali od nich odciski palców i robili fotografie. Bzdurne skojarzenie; wszyscy są przecież wolni! Nikt nikogo nie podejrzewa, nie będę aresztowany. Najlepszy dowód, że właśnie dołączam do licznej grupy oczekującej przewiezienia do miejsca zamieszkania.

Poznaję teraz nowe słowo, mamy pojechać do "obszczeżitja". Myślę oczywiście po polsku, co można zrozumieć, że będzie tam "wspólne życie". Chyba bez sensu, wykwit burżuazyjnej propagandy, że w Związku Radzieckim mają wspólne żony. Że tak nie jest, dowodzi oddzielna grupa samotnych dziewcząt i kobiet, która pojedzie innym autobusem do damskiego "obszczeżitja". Małżeństwa dostaną oddzielne "komnaty", co również może mylić. Nie będą to komnaty, lecz zwyczajne pokoiki w barakach.

Zatroszczyli się o nas: wszystko zostało zawczasu przygotowane, dobrze obmyślane, świetna organizacja, a najważniejsze - nikt nie musi o nic się martwić. Martwi się za nas władza, ludzie radzieccy, którzy nad tym czuwają. Czuje się tę opiekuńczą rękę, człowiek nie jest pozostawiony sam sobie. Wypada docenić takie przedsięwzięcie, wymagało bowiem niemało pracy, nie lada zabiegów. Niewykluczone, iż dziesięć dni podróży z pobliskiego Czelabińska mogło być spowodowane opóźnieniem w zapięciu wszystkiego na ostatni guzik. Musieliśmy czekać na trasie w wagonach, a biedni chłopcy z orkiestry trzy dni na dworcu.

Kolejna grupa żwawo wychodzi do autobusu. Nagle, gdy znalazłem się za drzwiami, smagnał mnie po twarzy niesamowity mróz. Aż zatkało. Spojrzałem wystraszony na kierowcę, a ten gestem - zwyczajnie zaprasza do środka. Zauważył naszą re-

akcję na temperaturę i głośno się roześmiał. Jest w watowanych spodniach, w takiej samej kurtce, w wołkowych, wysokich butach. Na głowie ma futrzaną czapkę, a na twarzy uśmiech *od ucha do ucha*. - Niczewo, przywykniesz - powiada z humorem. Czy można przywyknąć do : takiego mrozu? Później się przekonałem, że można. Tymczasem w autobusie rozgrzewa ~~myśl~~ myśl, że wreszcie skończyła się nasza tułaczka, wkrótce będziemy we własnym domu. Od samego początku czujemy opiekę i od tego też cieplej.

Usiadłem blisko sympatycznego kierowcy, bo stąd przez nie zamarznąłą szybę wszystko widać. Jedziemy w *wołę* głębokiej koleinie ośnieżonej drogi wzdłuż parkanu; obok połykują szynę tramwajową

Za parkanem olbrzymi kombinat hutniczy. Kierowca objaśnia: - Cztery wielkie ^{piece,} dwadzieścia martenowskich, ~~—~~ baterie koksownicze, walcownia. Trudno wszystko od razu wyliczyć - powiada z dumą. Jedziemy zbyt szybko, więc niewiele widać. Ale z lewej strony, za parkanem, wciąż huta i huta. W jednym rzędzie dużo wysokich kominów. Nie dymią czarnymi kłębammi, jak w Tomaszowie lub Łodzi. Niektóre wypluwają ogień, inne jakby dopiero miały zamiar to uczynić. W głębi *też* kominy, *tylko* niskie, pękate, które również nie dymią. Z nich wydobywa się olbrzymia ilość pary. - Opróżniają właśnie baterię koksowniczą - zauważa kierowca. Widać konstrukcję wielkich pieców z kłębowiskiem rur, a nad tym wszystkim unosi się chmura ognistordzawego pyłu. Spojrzałem teraz na prawo. Nie widać ulic, wszędzie drewniane baraki. Mignął centralny plac z olbrzymim pomnikiem Stalina, kilka większych budynków i znowu przysypane śniegiem baraki i baraki.

Rozumiem, że miasto jest młode, ma zaledwie dziesięć lat, więc nie może jeszcze być dużo murowanych domów. Na to później przyjdzie czas. Przede wszystkim trzeba ^{było} budować kombi-

nat, aby produkował stal.

Autobus nagle zahamował, wysiedliśmy obok przystanku, na którym zatrzymał się właśnie tramwaj. Słyszę, jak konduktorka informuje pasażerów: - Trinadcatyj uczastok. - Trzynasty był numer odcinka budowanej szosy i taka pozostała nazwa tej dzielnicy, o czym dowiedziałem się później. Znowu poczuliśmy smak prawdziwej zimy. Mróz skleja rzęsy, ale widać trzy duże baraki. Do jednego z nich prowadzi nasz kierowca. Śnieg po kolana, trudno dotrzymać kroku.

Zaskoczył nas niezwykle widok: Z prawej strony oświetlony teren, ogrodzony drutem kolczastym; takie same baraki, na wieżyczkach strażniczych wartownicy w kożuchach. Świdruje myśl: Czyżby przywieźli do łagru? Skądże! Okazało się, że to ponure sąsiedztwo jest przypadkowe. No, może niezupełnie, gdyż do niedawna w naszych barakach mieszkali więźniowie. Teraz jeszcze nie wiemy, że zwyczajnie przesunęli druty, aby trzy z nich przeznaczyć dla nas.

Duży jasny przedśionek pachnie świeżym wapnem. W kącie ciepły piec, z boku długie blaszane koryto - taka zbiorowa umywalka, oczywiście kipiatok, a nawet garnuszek. Przyjemne wrażenie psuje drobiazg: łańcuch przy garnuszku. Mały garnuszek i długi, gruby łańcuch. Nie pasuje. Wchodzę do naszego "obszczeżitja" pełen animuszu. Są cztery rzędy żelaznych łóżek, jaskrawe światło odbija się od bieli prześcieradeł. Pachnie czystością i, jak w przesionku, świeżym wapnem. Ktoś mnie prowadzi na miejsce. - Eto wasze kojka i tumboczka - wskazuje ręką sympatyczna dziewczyna o skośnych oczach. Siadam na tym łóżku i takiej rozkoszy nie zaznałem od przeszło czterech miesięcy. Łóżko sprężynujące, z materacem, na tym prześcieradło, poduszka z białą powłoczką i koc. Ściągam ze skostniałych nóg pantofle razem z kaloszami, palto kładę pod poduszkę, bo jest niewielka, po czym przymie-

rzam się do tego łóżka. Jeszcze za nisko pod głową, więc dokładam plecak. Słoik po dżemie wędruje do szafki i już jestem urządzony. Takich szczęśliwców było stu siedmiu.

Tej radosnej nocy nie zadałem sobie trudu liczenia, zresztą później też nie. Ta liczba utkwiała mi w pamięci mimo woli. Słyszałem ją codziennie przy okazji przekazywania łóżek przez zmieniające się dyżurne. Czasem powstawały trudności z liczeniem, bywało, że majątek nie zgadzał się. Raz było za mało kocy, raz za dużo poduszek. A powinno być wszystkiego po 107 sztuk. Kilka razy liczono.

Wciąż nie wierzę własnym oczom i jeszcze raz dotykam ręką czystego prześcieradła. Co za rozkosz rozebrać się, położyć na własnym łóżku, przykryć kocem. Obok, z prawej strony, oddzielone nocną szafką - łóżko Szymona. Już śpi. Sąsiad z lewej też naciągnął koc na głowę. Zerknąłem jeszcze na niewielkie podwyższenie, na którym stoi długi stół przykryty zielonym sukniem; spojrzałem na portret Stalina. Wkrótce zgasły żarówki i zapanał półmrok. Tylko słabe światło przenika z przedsionka, gdzie koło pieca krząta się dyżurna. Z przeciwległej strony niewielka żarówka oświetla postać pochyloną nad papierami. Czarne wąsy, fajka, skupienie nad pracą. Już zasypiam, ale wciąż widzę ten portret człowieka, któremu Związek Radziecki tyle zawdzięcza. Nie tylko. Jest nadzieją ludzi pracy na całym świecie. Dzięki niemu znalazłem schronienie, mam dach nad głową.

W nocy się obudziłem. Mój serdaczek z baranich ścinek okazał się za krótki, pęcherza nie sięgał, musiałem go przeziębic. Szybko się ubieram i wychodzę na skrzypiący śnieg poszukać ustronnego miejsca. Już świta. Ze wchodu, między górami, wylania się skrawek czerwonego

krażka. Nie czas jednak podziwiać piękno natury.

Nagle słyszę komendę. To z za drutów, ale nie był to głos wojskowych. Postacie snują się niemrawo. Tylko dwóch, chyba brygadzystów-przynagła takich samych jak oni więźniów doniosłym głosem: - Po piat' strojs, po piat', skorej! - Kolumna już uformowana, więźniowie wychodzą przez bramę. Na przodzie i z tyłu po jednym wartowniku w baraniicy do samej ziemi, na plecach karabin z długim bagnetem, przy nich pies na smyczy. Ci dwaj, co wydawali komendę, biegną teraz wzdłuż kolumny, pilnują porządku głośno pokrzykując. Za nią idzie już następna. A ja rozglądam się za wiadomym przybytkiem. Na środku ulicy, między barakami ustawionymi do siebie stroną szczytową, stoi pobielone wapnem coś raczej większego, niż się spodziewałem. Czerwoną farbą napis - "mużskaja". Rząd oczek, wszystko zamarzło. Wiadomo - mróz.

Nagle słyszę detonację, a za nią drugą i trzecią. Ziemia drży od wybuchów, na dach lecą odłamki, jak od pocisków. Skuliwszy się ^{wystraszony}, *usiłuje dociec* po co tu przyszedłem... Znowu detonacja, która przypomniała mi szosę pod Rawą 7 września ^{gdzie} leżałem w rowie pod gradem bomb razem z Dawidkiem. Ale gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Rawa? Mimo to stchórzyłem i niezbyt dokładnie zapinając guziki wybiegłem w stronę naszego baraku. Po drodze obejrzałem się w kierunku, skąd dochodziły odgłosy wybuchów, i od razu było jasne, że nie ma żadnego bombardowania. Widać, jak z pobliskiej góry unoszą się rdzawe obłoki pyłu. Wtedy zrozumiałem, że w ten sposób uzyskuje się cenną rudę żelaza. Nie ma tu żadnej kopalni ani szybów górniczych. Żelazną górę rozsadza się dynamitem. Po kawałku.

Już całkiem uspokojony wracam na swoje łóżko zdając sobie

sprawę, że do odważnych nie należę. Wstyd się przyznać. Dobrze, że nikt nie widział. Postanowiłem nikomu nie opowiadać o mojej rannej przygodzie. Wszyscy jeszcze śpią, a tu spod materaca mojego sąsiada coś kapie. Biedak też ma przeziębiony pęcherz, ale to wyłącznie jego sprawa.

Wciąż pozostaję pod wrażeniem czegoś ważniejszego, tego, co widziałem o świcie przed barakiem. W uszach dźwięczą nie tylko wybuchy, ale również komenda - Po piat' strojs! - Więźniowie już o brzasku byli gotowi w kolumnie do wymarszu. Skuleni z zimna, w łachmanach, obojętni na wszystko, truchcikiem przebierali nogami. A kim są ci, którzy ich poganiają? W ogóle to ponury widok i staram się o tym zapomnieć. Nie udaje się, wciąż rozmyślam. To są niewątpliwie przestępcy odbywający karę. Nie siedzą beczynn timer, pracują. Skąd się jednak wzięli? Czy tacy powinni być w tym kraju? Przestępstwo wyrasta przecież na podłożu ekonomicznym, z powodu bezrobocia, z niemożności znalezienia pracy i uczciwego zarobienia na życie. Podobnie jak prostytutka. Gdyby dla wszystkich była praca, kobieta nie sprzedawałaby swego ciała. Symbolem tak upokarzającego zjawiska jest kobieta na tle ulicznej latarni^A przyczyną tego wszystkiego jest bezplanowa, kapitalistyczna gospodarka. I nie może być inaczej, gdyż wynika to z jej wewnętrznych praw. O tym byłem przekonany. Natomiast w gospodarce planowej nie ma bezrobocia, a więc nie powinno być przestępstw. Tu *brakuje* ludzi do pracy, czego najlepszym dowodem nasza obecność.

Kto więc znajduje się za drutami z sąsiedztwa? Nie są to młodociani kieszonkowcy, jakich widziałem na dworcu w Smoleńsku. Byliby zresztą w zakładzie poprawczym, który przecież tak nie może wyglądać. Są to chyba przestępcy polityczni,

resztki klasy wyzyskiwaczy, którzy nie chcą się pogodzić z utratą swych majątków. Minęły wprawdzie 22 lata od rewolucji, ale wciąż słychać o wrogach ludu. W takim razie nie ma ich co żałować. Dyktatura proletariatu musi być wobec wrogów ludu bezwzględna - znalazłem wyjaśnienie./Dziś powinienem dodać: naiwne i zarazem okrutne./

Z tych rozmyślań wytrącił mnie ożywiony ruch. Nic dziwnego, ponad setka ludzi zaczyna krzątać się. Wkrótce ruch ten przerodził się w istny jarmark, chociaż nic się nie sprzedaje ani kupuje. A spowodowało to zjawienie się w baraku przedstawicieli różnych "cechów" z "tresta Magni^{to}stroj". Taka jest oficjalna nazwa zespołu przedsiębiorstw, które hutę nadal rozbudowują. Dziwne, że przedsiębiorstwa nazywają się tu cechami. Trust kolarzy mi się z kartelem i monopolem, czyli ze współczesnym kapitalizmem, a cech z tym, do którego ojciec należał. Z cechem krawców w Tomaszowie. W głowie mam galimatias, a to z powodu zbytńskiego przywiązywania wagi do nazw. Te słowa znaczą tu zupełnie co innego.

Mój "cech", w którym będę pracował, nazywa się "Żelidorstroj", z czego od razu się domyślam, co ten skrót oznacza. Będę budował "żelazną drogę", czyli linię kolejową. Świetnie, jak Kara Musfata, chociaż nie jestem przestępcą, aczkolwiek do wczoraj jeszcze byłem bezdomny. Sympatyczna urzędniczka z Otdieła Kadrow zapisuje na liście imię i nazwisko, wręcza karteczkę z pieczętą i zaopatrzeniowiec z tegoż przedsiębiorstwa od razu wydaje mi ciepłą odzież roboczą, nazywaną tu krótko "specowką"^x

x Obiegowy skrót nazwy ubrania roboczego - "specjalnaja odieźda". W rzeczywistości nie jest ani specjalna, ani wyłącznie robocza. Służy za normalny przyodziewek.

^{Zdają} sobie sprawę, że w naszym ubraniu nikt żywym by nie doszedł do pracy. W taki mróz! A cóż dopiero budować. Dostają bieleznię, watowane spodnie, fufajkę i kamasze z onucami. Ten, co wręcza to wszystko, powiada z uśmiechem: - U nas tylko dziewięć miesięcy zimy, a potem cały czas lato, lato i lato.

Z taką ilością waty nie boję się już ^{uralskiej} zimy. Jednak źle trafiłem, bo niektórzy dostali wysokie wojskowe buty, zwane walonkami. To bezcenna rzecz na tutejsze mrozy. Wszyscy są zadowoleni z kolejnego podarunku. Przymierzają, rozpoczynają wymianę między sobą różnych części "specowki". Stąd właśnie ten jarmarczny zgłęb. Ciepło w tym roboczym ubraniu, ale okaże się, że chodzić w tym będziemy również po pracy, także w święta. Według normy należy nam się również ciepła czapka. Zabrakło jednak w magazynie, więc dostajemy ekwiwalent pieniężny - 40 rubli. Możemy sobie kupić w sklepie. Podobno jest. Wszystko już załatwione i na zakończenie powiadają: - Otdychajcie! - Oczywiście, że oddychamy, nie może przecież być inaczej. Rozlega się śmiech, gdy ktoś tłumaczy, że chodzi tu o coś zupełnie innego - o wypoczynek.

Z czasem poznałem więcej takich tokich słów o innym niż w polskim znaczeniu. ~~W~~ polskie słowo "Żyd" ^{ono} jest w Związku Radzieckim obraźliwe, a za obrazę jakiegokolwiek narodowości grozi kara kilku lat więzienia. Należy więc mówić "Jewrej". Niekiedy powstaje kłopotliwa sytuacja; gdy ktoś umawiając się z Żydem zapowiada, że będzie go oczekiwał. Powinien użyć słowa "ożidat'", ale żeby uniknąć

obraźliwego skojarzenia ktoś wymyślił dowcipne słówko i powie, że będzie go "ojewreiwat". Wiele razy słyszałem taki dowcip: - "Czto nužno biednemu Jewreju? - Sto gram chleba i wagon masła". Ten dowcip niewinny - gorzej z anegdotą o treści politycznej. Właściwie nie z anegdotą tylko z tym, który próbuje za jej pomocą rozweselić towarzystwo. Powiedzą o takim, że "anegdotcziki postroili Biełomorkanał". Odważniejszy zareaguje ripostą: - Razem z tymi, którzy takich anegdot słuchają. Wynika z tego, że uczestnictwo w budowie osławionego kanału nie należało do przyjemności. O tym jednak dowiedziałem się znacznie później, gdy dostatecznie poznałem język rosyjski. Teraz kaleczę słowa i wiele rzeczy jeszcze nie rozumiem. Natomiast komfortowo "oddycham" w ciepłym ubraniu otrzymanym całkiem za darmo. Okazuje się, że będziemy tak odpoczywać cały tydzień, dostaliśmy bowiem na taki czas urlop. Jeszcze nie pracowaliśmy, a już mamy urlop. Wprawdzie bezpłatny, ale dobre i to.

Spece od spraw bytowych z "tresta Magnitostroj" postanowili, iż po trudach podróży powinniśmy odpocząć. Jesteśmy wyraźnie hołubieni i tylko się z tego cieszyć. Czasu mamy dużo, nic nie robimy, ale jeść trzeba. O tym również nasi opiekunowie pomyśleli. *Uruchomili* sklepik, specjalnie dla nas przeznaczony, dla "zapadników" - zgrupowanych w trzech barakach. Widzę, że niektórzy już się nawet posilają po dokonanych zakupach. Nie mam pieniędzy, nie licząc tych, które dostałem na czapkę. Ale żołądek nie może czekać póki zarobię, więc postanawiam "pożyczyć od siebie" z tych pieniędzy na czapkę.

Przed niewielkim nowym barakiem zebrała się grupa ludzi zaglądnąca przez okno pożądanym okiem. Nie tylko na arty-

kuły spożywcze, ale szczególnie na "manufakturę" - materiały, znane w Tomaszowie pod nazwą łokciowe. Miejscowi nie mają prawa tu kupować, stąd to zagładanie do środka. Ja zostałem uprzywilejowany, więc zaopatruję się w mydło, chleb i cukier /cukier w nieregularnych kawałkach/. Wbrew przypuszczeniu - za ladą → mężczyzna, ^{ani kobieta.} W średnim wieku, wysoki, barczysty z rzadką rudą bródką. Nosi śnieżnobiały fartuch i rozmawia właśnie z kimś chyba bardzo ważnym. To naczelnik "Żel-
dostroja", widziałem go przedtem w baraku. Ubrany jest w czarny do kolan kożuszek z włosami na zewnątrz, na nogach znane mi już walcówki. Są inne od tych, jakie niektórzy dostali. Bielutkie, wywinięte ← do połowy łydki, osadzone w kałoszach. Na głowie ruda czapa z lisa dodaje uroku okrągłej, rumianej twarzy. Sprzedawca wsypuje do siatki sporą ilość karmelków, wręcza jeszcze coś i naczelnik wychodzi ze sklepu zadowolony. Spojrzałem na półkę z płótnem, z kretonem w jakieś kolorowe ciapki i pospieszyłem do naszego baraku. Przedtem zauważyłem jeszcze papierosy - kupiłem paczkę. Nie dlatego, że palę. Atrakcyjna była nazwa - "Biełomorkanał".

Za podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego pusto, więźniów nie widać. Tylko wartownik na pomoście wieży z okrągłaków spogląda w naszą stronę. Ktoś powiada, żeby nie gapić się, nas to nie dotyczy. Szczypie w uszy, w nogi zimno, w zgrabiających rękach zakupy. Trzeba uważać na zwały śniegu i wystające gdzieś resztki drutu kolczastego. Wtem zatrzymuje mnie jakaś kobieta. W ręku trzyma pieniądze i powiada: - Synok, kupi mnie manufakturę. - Wzruszył mnie ten zwrot, dawno nie słyszałem słowa "syn" przypomniała mi się mama. ["]
Zodumotałem się na chwilę. - Ach, tak - chętnie,

dlaczego nie, ale pokazując zajęte ręce -dodaje: jutro kupię -
- zawtra. Cukier ledwo się trzyma w skąpym kawałku grubego pa-
pieru, wszystko może się rozsypać. Spieszę więc do baraku nie
spełniwszy prośby niemłodej już kobiety.

Chwilę usiadłem na swoim łóżku, ułamałem z bochenka kawałek
skórki i biegnę do przedsionka ze słoikiem po kapiatok.
Garnuszek z grubym łańcuchem nie był potrzebny, bo wystarczyło
odkręcić kurek, aby ze zbiornika poleciała gorąca woda. Słoik
jednak nie parzy, może dlatego, że palce mam-wciąż zgrabiałe.
Usadawiłem się przy mojej szafce, na której leży bochenek chle-
ba. Właściwie stoi, bo ma kształt odwróconego ściętego stożka.
Chleb razowy, z pszenicy, a smakuje jak kołacz na święta Rosz
Haszone. Jem ten chleb, popijam wodą zagryzając twardą rafina-
dą. Barwa cukru mięni się kryształem o niebieskawym odcieniu -
jak tomaszowskie Kolorowe Źródła.

Sporo tej babki ubyło, już najadłem się do syta, ale wody w
słoiku jeszcze pozostało, więc nadal rozkoszuję się smakiem
chleba. Nie przypuszczałem wtedy, że sam będę piekł taki chleb.
Oczywiście inaczej, niż robił to mój dziadek w piwnicznej pie-
karni przy ulicy Jerozolimskiej. Będę pracował w piekarni o
nazwie "Fabryka Chleba", jedynej dla półmilionowego już wów-
czas miasta. Sporo wody upłynie w Uralu, nim to się stanie.
Teraz rozglądam się za znajomymi, aby sobie pogadać, podzie-
lić się wrażeniami, utrzymać kontakt z kolegami z Włocławka.
Muszę się dowiedzieć, gdzie mieszka Ewa, Józek na pewno wie,
w którym baraku. Tak bardzo chciałbym ją zobaczyć!

Szymona nie ma na łóżku, zresztą nie byłby skory do rozmowy.
Stale zamknięty w sobie, snuje się po baraku, jakby kogoś szu-
kał. Chmielnickich w ogóle nie widziałem, widocznie trafili do
innego

"obszczeżitja". Kowadło i Dancygier gdzieś poszli. Tylko Tadeusza wszędzie pełno. Zdaje się, że i tu został komendantem, nawet awansował, bo ludzi znacznie więcej niż w wagonie.

Cukier oraz mniej niż połówę bochenka schowałem do szafki i tak sobie rozmyślam: - Władza radziecka dała mi dach nad głową, ubrała w ciepłą odzież, nakarmiła. Od wczoraj wymyty, nie gryzie i siedzę sobie w jasnym, ciepłym pomieszczeniu. Czy to nie szczęście? Słyszałem wprawdzie, że kto nie pracuje, ten nie je, ale wcale nie pracowałem, a porządnie sobie podjadłem. Widocznie to wszystko dali na kredyt i trzeba będzie ten dług wdzięczności spłacić.

Ciekaw jestem, jak będzie wyglądała praca przy budowie linii kolejowej? Czy też będę stachanowcem, bohaterem pracy socjalistycznej, jak ci przy budowie magistrali Turkiestan-Sybir? Czytałem o tej budowie, zwanej Turk-Sib. Nie wyobrażam jednak siebie na takiej budowie, a zwłaszcza w roli stachanowca. Za duży mróz, na te warunki trzeba się tu urodzić. A może przywyknę, jak powiedział kierowca autobusu?

Przypomniało mi się, że mam w kieszeni pudełko papierosów. Nie palę, ale postanowiłem spróbować "Biełomora". Na pudełku napis, który z trudem odczytałem: - "Narkompiszczeprom". Co to oznacza? Wtedy nie rozszyfrowałem długiego skrótu jeszcze dłuższej nazwy producenta owych papierosów - Ludowego Komisarjatu Przemysłu Spożywczego. Zaciągam się duszącym dymem papierosa z długim ustnikiem, zakrztusiłem się i myślą wróciłem do dzisiejszych zakupów. Przykro mi, że nie pomogłem kobiecie w zdobyciu jakiegoś kretonu, zwanego tu manufakturą. Zaczynam rozumieć, że budowa socjalizmu wymaga w pierwszym okresie pewnych wyrzeczeń. Nie może od razu być wszystkiego pod dostatkiem, nie każdy może kupić to, czego mu potrzeba.

Sklepik też nie był tak zaopatrzony w specjały, jak na przykład sklep pani Braun w Tomaszowie. Zresztą moi rodzice rzadko w nim kupowali. Wybór materiałów łokciowych również mizerny, nie da się porównać ze sklepem pana Brzozy lub Najdelwajsa. Na obfitość manufaktury przyjdzie czas i wtedy każdy otrzyma według potrzeb. Ale dlaczego miejscowi nie mogą kupować w naszym sklepie? Przecież wszyscy są równi. Są *chyba* równiejsi, ^{skoro} kupował elegancko ubrany naczelnik "Żel'dostroja"? ^{nie} z jakiej racji my, uciekinierzy z Polski, mamy być uprzywilejowani? Paradoxs. Mimo wszystko jutro muszę kobiecie pomóc w zdobyciu kretonu, tak jak obiecałem. "Bieżeniec" - przybysz z obcego kraju-pomoże w zakupie miejscowej obywatelce. Bywa i tak.

Papieros zgasł w połowie, wyrzuciłem go pod łóżko i rozejrzałem się po sali. Wróciła właśnie grupa z miasta; pojechali tramwajem, teraz opowiadają swoje wrażenia. Byli na obiedzie w jakiejś wielkiej jadłodajni. Nazywa się "Fabryka Kuchnia", ale powiadają, że nic nadzwyczajnego w tej fabryce nie było. Postanowiłem jutro tam pojechać, dawno nic gotowanego nie jadłem. Fabrycznego obiadu nigdy.

Zauważyłem, że niektórzy piszą listy do domu. Mój sąsiad też ma przed sobą kartkę papieru. Drapie się po głowie i dzieli się ze mną tym, o czym pisze: będzie pracował na państwowej posiadzie, którą dziś właśnie otrzymał. W Polsce nawet marzyć o tym nie mógł. Państwowa posada była dla Żydów niedostępna, tu zaś będzie rzeczywistością.

Przy stole nakrytym zielonym suknem siedzi większa grupa. Rej wodzi nasza dyżurna - pucocłowata Tatarka. Właśnie demonstruje, jak składa się kartkę z zeszytu, aby otrzymać zmysłny rożek. Zwinnie to robi, od razu ma list razem z kopertą.

Nawet zaklejać nie potrzeba. Ślini z wdziękiem ołówek, po czym pisze nasz adres. Pisać ani w ząb, ale odczytać wyraźnie napisany adres już potrafię. Okazuje się, że mieszkamy na ulicy Sacca i Vanzettięgo. Nazwiska znane; były protesty na całym świecie, gdy w Ameryce *wieżiono* tych imigrantów włoskich, robotników posądzonych o anarchizm i zabójstwo. Stracono ich na krześle elektrycznym, ale pamięć o nich pozostała, żyje w nazwie magnitogorskiej ulicy, jest symbolem ofiar burżuazyjnego bezprawia wobec proletariatu.

Postanowiłem też napisać do domu. Szymon już to robi. Kawalek ołówka mam w kieszeni, poprosiłem go o kartkę papieru i robię to samo. Tylko on pisze z prawa na lewo, a ja odwrotnie. Ale tak samo wracamy myślami do domu; znowu ciężko na duszy. Na pewno głodni i prześladowani. A jak wygląda nasz park w zimowej szacie, oglądany z okien naszego mieszkania? Próbuję to sobie wyobrazić, lecz obraz mać inny, zimowy pejzaż, dzisiejszy ponury widok *obozu za kolczastym drutem*. Szybko zapiisałem kartkę papieru i poszedłem w stronę podium. Wiem już, że to Krasnyj Ugołek /Czerwony Kącik/, chociaż nie mieści się w kącie i czerwieni raczej niewiele. Krasnyj Ugołek przeznaczony jest na rozrywki kulturalne, głównie na czytanie prasy. Nasza dyżurna wciąż przy stole w licznym towarzystwie. Ma powodzenie. Moją kartkę jednak wzięła przekształcając ją szybko w trójkątną kopertę. Mając wzór sam napisałem adres nadawcy.

Na stole kolorowe czasopismo, wystarczy spojrzeć i wszystko wiadomo. Sylabizuję jednak słowa: stachanowcy, udarniki, piatiletka. Największe jednak zainteresowanie wśród moich rówieśników budzi, oczywiście, sama dyżurna. Niby uczą się trudnych rosyjskich słów, ale coraz częściej słychać śmiech. Krzyżują się zalotne spojrzenia: obiecujące egzotycznej dziew-

czyny i pożądlive "zagranicznych" chłop^{ok}ów. Czarne, nieco skośne oczy Tatarki przestały patrzeć na fotografie stachanowców, pełne patosu radosnej pracy, lub zbudowanych na pustkowiu nowych fabryk.

Nastrój staje się wesoły, słowa polskie mieszają się z rosyjskimi. Atmosfera coraz bardziej swobodna. Nie mam jednak szans w tym towarzystwie, sami warszawiacy, z nimi nie wygram konkurencji. Trzeba się wycofać, czyli po prostu odejść. W pobliżu moja "kojka", usiadłem i popatrzyłem, jak się bawią. Wkrótce podszedł Tadeusz z naszym opiekunem, którego teraz poznałem. Nazywa się Wołodia. Mocno ścisnął dłoń i powiada, że kto chce, może jutro zwiedzić hutę. Cieszę się samą zapowiedzią zobaczenia z bliska słynnych pieców Magnitogorska. Tadeusz umieścił mnie na liście, a że jest komendantem ^(baraku) ma jeszcze wiele innych spraw na głowie. Ukradli komuś kalosze, szuka winowajcy, ^(kręc) zagląda pod łóżka. Pod moje również. Po jakimś czasie wrócił - żali się, że niewiele jest chętnych, którzy chcieliby podziwiać hutę. Wszystkiego jakieś dwanaście osób; zerka przy tym na moje kalosze nader podejrzliwie. Od czasu, kiedy gubiłem je w błocie nad Bugiem, nie były jeszcze zdejmowane z pantofli. Mocno przywarły do giemzowej skórki, więc nie powinno być wątpliwości, że należą do tego samego właściciela, co górna część dawno nie czyszczonych złotych pantofli. Tadeusz dokładnie je ogląda, jeszcze raz sprawdza ślad i jakby dla usprawiedliwienia powiada: - Nikomu nie należy wierzyć, ciebie znam, ale sprawdzić muszę. - Nim poszli dalej, rzucili okiem na rozbawione towarzystwo. Wołodia się uśmiechnął, ale Tadeusz zachował powagę.

Dobiega końca pierwszy dzień w "obszczejtju"; jakże urozmaicony. Gasną światła. Tylko jedna mała żarówka w Czerwonym

Kąciku oświetla portret na ścianie. Przy stole nie ma już gwaru. Za kotarą snuły się przez jakiś czas cienie, ale w końcu znikły. Długo jeszcze dochodził stamtąd przytłumiony chichot i cichy głos młodej Tatarki: - Nie nada, nie nada...

Nazajutrz Wołodia przyszedł dopiero koło południa. Pojechaliśmy tramwajem zwiedzać hutę. Konduktorka odrywa z uwieszonego na sznurku krążka bilety dla każdego. Płacimy po 20 kopiejek i po kilku przystankach wysiadamy. Nasz przystanek nie ma numeru odcinka szosy, nazywa się Zawoduuprawienie - od budynku, z którego kierują pracą kombinatu. Przed nami niewielki plac, pośrodku ogromny pomnik Stalina. Pierwszej nocy tędy właśnie przejeżdżaliśmy. Mróz, głębiej naciągam czapkę na uszy, przestaje szczytać. W ogóle to już prawie przywykłem, wcale nie odczuwam mrozu, aż nie chce się wierzyć. Na portierni Wołodia pokazuje listę opatrzoną trójkątną pieczętką, policzyli osoby i wkrótce stajemy przed jednym z czterech wielkich pieców. Prawdę mówiąc rozczarował. Ma kształt olbrzymiej gruszki przeplatanej grubymi rurami. Z góry, z nadjeżdżającego skipu stale coś się do tej "domny" wysypuje. A na dole - do jednej kadzi wylewa się lżejszy żużel, do drugiej zaś żeliwo. Ogromne to, huczą dmuchawy, ale całość jakby pozbawiona romantyzmu. Romantyczna okazała się opowieść Wołodii usłyszana później, w drodze do stalowni. W tym miejscu dziesięć lat temu była mała wioska o nazwie Magnitka, a budowę giganta rozpoczęli komsomolcy, którzy przyjechali tu na wielką budowę. Mieszkali w namiotach przy czterdziestostopniowym mrozie. Twardzi ludzie! A oto jeden z dwudziestu pieców martenowskich. Tu jest przede wszystkim ciepło, ba - gorąco. Przy piecu ludzie, których nazywają stallewarami. Nazwa odpowiednia do zawodu i czynności - gotują stal. Tak jak gospodyni do garnka z zupą dodaje szczyp-

tę soli i pieprzu, tak oni łopatom dosypują to i owo. Teraz z gotującej się w olbrzymiej wannie stali - człowiek z okularami na czole pobiera długą łyżką próbkę. A że nie da się tego skosztować - próbują w inny sposób. Robią to w laboratorium. Wołodia powiada, że bywa czasem tak jak z gotowaniem zupy. Może nie być smaczna, gdy czegoś nie włoży się do garnka. Stalownicy podobnie mówią, gdy wytop okaże się nie trafiony: czegoś dali za mało lub za dużo.

Fascynujący jest widok spustu stali. Pierwszy raz w życiu widzę coś takiego, sceneria jak w piekle - tylko grzeszników nie smażą. Właśnie przebijają długimi prętami przegrodę na rynnie i cała zawartość pieca spływa ognistym strumieniem do olbrzymiej kadzi. Taka pełna kadź waży - bagatelka - dwieście ton. Jak to przewieźć i rozlać na mniejsze porcje? Nie ma problemu, suwnica sprawnie z tym się uporała. Dwa haki jak ręce olbrzyma lekko przenoszą ten "garnek", a trzeci przechyla kadź i płynna stal napełnia rząd mniejszych tygli niczym filiżanki mlekiem.

Nie mniej interesujący okazał się "bluming", czyli walcownia zgniatacz. Na rolkach sunie ośmiotonowy blok rozżarzonej do białości stali, sunie prosto między walce ogromnej wyżymaczki. Walce gniotą stal jak ciasto - blok wydłuża się, jakaś łapa przewraca go na bok, by znowu trafić między walce. Wreszcie zjeżdża z rolek sztaba długa na kilka metrów. Przypomniało mi się, jak mama robiła kopytka. Inaczej wałkowała ciasto.

Dużo wrażeń. Oparłem się o stalową konstrukcję wielkiej hali, patrzę i oczom nie wierzę. Na ceowniku wytłoczony napis po polsku: PN-200 - Królewska Huta. Wołodia zauważył moje zainteresowanie zagranicznym napisem. - To było dawniej - powiedział - teraz sami budujemy. Sto tysięcy ludzi z

"tresta Magnitostroj" buduje. Niektóre maszyny też są już nasze. Ze Swierdłowska, z fabryki "Urałmasz". A ci specje zagraniczni, którzy dawniej tu byli, uprawiali sabotaż. - Z ulgą przyjąłem te informacje. Ale wciąż straszą tabliczki z niemieckimi napisami: Krupp, Siemens - Schuckert, M.A.N. Gdy wychodziliśmy, przejechała lokomotywa z mosiężną tablicą pod oknem maszynisty. Zdążyłem przeczytać drażniącą nazwę miasta - Berlin. Doznałem przykrego uczucia. Na wielkiej suwnicy w stalowni też był niemiecki napis.

Po wyjściu na plac przed hutą Wołodia pokazał nam półkolisty gmach dyrekcji i "gostinicę", czyli hotel dla przyjeżdżających z Moskwy na delegacje. Po przeciwległej stronie, za torami tramwajowymi - wielki gmach miejskiego komitetu partii. Z lewej strony, na niewysokim budynku, widoczne duże napisy: - "Gastronom" i "Restoran".

Doszliśmy do przystanku, mamy jechać do domu, na "trinadcatyj uczastok". Obok mnie Dancygier i Kowadło - moi znajomi z wagonu, a teraz z "obszczeżitia". Powiadają, że za tym dużym gmachem jest "Fabryka Kuchnia", gdzie można zjeść obiad. Poszliśmy razem w tamtym kierunku.

Wciąż pozostaję pod wrażeniem tego, co widziałem, ale drażni, że to właściwie niemiecka huta. Krupp, ten od armat, aż tu zawędrował. Dobrze, że to tylko maszyny. Kowadło tak to komentuje: - Ludzie radzieccy świadomie zacisnęli pasa, aby sprowadzić maszyny od kapitalistów. Za parę lat, gdy zbudują ciężki przemysł, fabryki fabryk, wtedy dogonią, a nawet przegodnią kapitalistów z ich techniką. - Odgadnął moje myśli. Gdy zapytałem Dancygiera, co o tym sądzi, powiedział, że teraz interesuje go wyłącznie obiad. Wiedziałem, że brak mu uświadomienia; ciemniak z włocławskiego jeszybotu - wiele od

takiego nie można się spodziewać. W życiu chyba żadnej świeckiej książki nie przeczytał.

W "Fabryce Kuchni" pełno ludzi. Prawie sama młodzież w naszym wieku. Niewielu widać starszych. Tłoczemy się przed kasą, ale kolejka niezbyt duża. Gorzej, że miejsca przy stolikach zajęte. Za obiad z trzech dań płacimy po cztery ruble, resztę dostajemy w postaci dwóch biletów tramwajowych. Przydadzą się. Przy drugim okienku odbieramy klopsik z kaszą owsiana, znane nam "szczy" oraz kisiel. Powstał problem z łyżką. Podobno są tacy nieuczciwi, którzy je sobie przywłaszczają. Sympatyczna kucharka spojrzała na nasz nietypowy wygląd i dała po jednej. Są drewniane, brązowe z okrągłą rączką przechodzącą w baniasty kształt. Później nosiłem taką łyżkę w bucie, tylko ze skróconą rączką - wygodniejsza.

Ktoś zrobił nam miejsce przy stoliku życzliwie zapraszając. Widocznie poznał w nas tych, którzy przyjechali z wyzwolonej Zachodniej Białorusi. Przytaskaliśmy jakąś ławkę, spożywamy obiad w szerszym towarzystwie. Ciekawi są wszystkiego, jakby nie wierzyli, co tu piszą o Zachodzie. Zadają mnóstwo pytań: - Czy obszarnik bił was nahajką, czy u was można było dostać cukier, czy było dużo żebraków? - Najlepiej po rosyjsku mówi Dancygier, i on też opowiada, jak było w Polsce. Ojciec miał sklep spożywczy, niczego mu nie brakowało, cukru również. A jak był mały, to w chederze bił go kańczugiem rebe. Dziwne, skąd on już potrafi mówić po rosyjsku? Rozumieją go. Przecież hebrajski nie jest podobny do tego języka.

Próbuję prostować wywody Dancygiera dodając, że byli bezrobotni, byli biedacy. A już do niego mówię: - U nas na Polnej - zwłaszcza w piątki - drzwi nie zamykały się od żebraków. Kowadło nic nie mówi, jakby zachowywał dystans, tylko

stale poprawia krawat przy koszuli w niebieskie prążki. Spoglądają na niego z odrobiną nieufności. W ogóle są zawiedzeni; nic się nie zgadza z tym, co od lat tu mówią.

Oddaliśmy w okienku blaszane talerze, drewniane łyżki i pojechaliśmy do "obszczeżitia". Kowadło powiada, że chce odwiedzić siostrę w sąsiednim, żeńskim baraku, a Dancygier Klarę. Poszedłem z nimi. Mężczyznom nie wolno wchodzić, ale na krótko odwiedzić siostrę pozwolili. Barak taki jak nasz tylko większe nieporządki. Wszędzie jakieś sznurki, porozwieszana damska bielizna. Zobaczyłem błękitne oczy Ewy. Były smutniejsze niż pierwszego dnia w wagonie, ale uśmiech taki sam. Kobiety też dostały ciepłą odzież, taką samą jak nasza, a także walonki. Uczą się w tym chodzić jak na szrudłach. Klara przyszywa jakąś klamrę do waciaka, jakby chciała temu nadać modny fason.

Wracamy do naszego baraku. Już w przedsionku zauważyłem ożywiony ruch przypominający wielkie pranie. - Co się stało, z jakiego powodu? - pytam zdziwiony. Okazało się, że z bardzo ważnego. Jutro wieczorem odbędzie się uroczysta akademia z udziałem dyrekcji "Magnitostroja". Będą też oficjalne osobistości. W drugiej części wystąpią artyści. Wszystko na naszą cześć. Skoro taka uroczystość, też muszę uprać koszulę. Do umywalki z trudem się dopchałem, gorzej z doprowadzeniem koszuli do czystego wyglądu. W końcu z tym się uporałem, chociaż niezupełnie. Białostocka przeszłość pozostała. Cóż, wypadnie skorzystać z szalika, wszystko zakryje. Każdy wyciąga swój zmięty garnitur, sprawdza ile wyszczuplał; wywatowane remiona wciąż jednak ujawniają nasz europejski rodowód. I tak na przygotowaniach przeleciał cały następny dzień.

Wieczorem pojechaliśmy do Klubu Budowlanych. Nie wszyscy wprawdzie, bo wielu to nie interesowało; ja oczywiście nie

mogłem się doczekać akademii. Szybko przebiegłem w pantoflach niewielką odległość z tramwaju do Klubu. Zmarzłem na kość, waciaki zostały przecież w baraku, ale żywy dotarłem na akademię. Miejscowi są sprytni, przyjeżdżają w walonkach, a pantofle wkładają w szatni.

W obszernej sali, udekorowanej transparentami i flagami, uroczysty nastrój. Napisy na transparentach takie same, jak przy powitaniu na dworcu, ale w jasnym świetle żyrandoli są bardziej wyraziste. Na scenie, za stołem nakrytym zielonym suknem - liczne prezydium. Na mównicy szklanka, obok karafka z wodą. Główny naczelnik "Magnitostroja" - Wenjamin Dymyszyc^x - rozpoczął właśnie przemówienie. Zaczął od powitania wyzwolonych z Zachodniej Białorusi, czemu towarzyszą liczne brawa; mówca też klaszcze, unosząc wysoko ręce nad pulpitem. Następnie mówi o osiągnięciach, planach na bieżący rok, a także o trudnościach z powodu braku ludzi. Liczy na nas, na młodzieżowy entuzjazm. Podkreśla ważność rozbudowy kombinatu oraz nadzieje, jakie wiąże z tym osobiście towarzysz Stalin. W tym miejscu rozlegają się długo nie milknące brawa. - Cały kraj to wielki plac budowy - kontynuuje mówca - potrzeba coraz więcej stali i my musimy temu sprostać. Wyzwoleni bracia włączają się do budowy kombinatu, aby tej stali było coraz więcej. Jak towarzysz Stalin zażąda cztery miliony ton stali, my damy pięć milionów! - W tym miejscu ktoś z sali krzyknął: - Sześć milionów - inny, że jeszcze więcej. Jak na licytacji. I znowu rozległy się brawa na cześć Stalina. Wszyscy klaszczą, ale nie wiadomo, kiedy wypada skończyć. Dopiero kiedy z pre-

^x W latach pięćdziesiątych dyrektor budowy huty w Indiach, później długoletni wicepremier Związku Radzieckiego.

zydium dano znak ręką - brawa umilkły. Wreszcie zarządzono przerwę.

W tym czasie miałem okazję z bliska przyjrzeć się naczelnikowi "Magnitostroja". Niewysoki, bujna czupryna kruczoczarnych włosów, energiczne gesty trzydziestolatka. Obstąpili go nasi "zapadnicy", podszedłem i ja. Słyszę, jak rozmawia po żydowsku, czemu przestałem się dziwić. W Kraju Rad wszystkie języki są równoprawne.

W hołu niejeden z miejscow^{ych} z zaciekawieniem przygląda się ludziom z Zachodu, tym, którzy przyjechali budować hutę. Sprawa to nam niekłamana satysfakcją. Wtem ktoś rzucił słówko o piwie. Rzeczywiście, w rogu bufet, tęga kobieta w białym ^{kiedys} fartuchu kwartą nalewa do słoików małe jasne. Podchodzę bliżej z myślą, że człowiek strzelił sobie kufelek z pianką. W Tomaszowie czasem zaglądałem do piwiarni Fajnera. Przed bufetem ustawiała się kolejka, podchodzą, płacą i piją. Blisko stoi chłopak o rok, dwa starszy ode mnie, łyknął okiem i pyta: - Chcesz naszowo piwa? - Nie czekając na odpowiedź wziął dwa słoiki, rzucił rubla i stanęliśmy pod oknem. Chcę zapłacić swoją dolę, ale machnął ręką, z czego wynikało, że funduje. Obejrzał mnie od stóp do głów, pokręcił głową, mlasnął językiem, po czym rzekł: - Kostiumczik u ciebia krasiwyj. - Przytaknąłem, przecież sam szyłem i strzepnąłem palcami pyłek na klapie. Teraz łyknąłem sobie i mówię: - Dobrze - chociaż wcale mi nie smakowało i, co gorsze, w ogóle nie przypominało piwa. O! Nasze tomaszowskie z browaru Knothego to było piwo! Musiał zauważyć moje rozczarowanie, którego nie dało się ukryć. łyknął tym samym co przedtem okiem, na twarzy pojawił się chytry uśmieszek.

- Eto nie piwo, eto chlebny kwas - wyjaśnił mój przygodny

znajomy. Jak na kwas całkiem dobry, wychyliłem słoik prawie do połowy. On też popija. Nagle, całkiem nieoczekiwanie, zapytał: - Bardaczkci u was jest? - Zdębiałem, na akademii takie pytanie? - Tak - odpowiedziałem niechętnie. - A ty był? - Nie, nie byłem. - Kak eto? Jest, a ty nie był?! - z niedowierzaniem *wzrusza ramionami*.

Żałuję, że wdałem się z nim w rozmowę, a wszystkiemu winien ten kwas. Zachciało mi się piwa! Rozmowa się urwała. Ludzie kierują się w stronę sali. Rad jestem, że wkrótce pozbędę się tego, który z zazdrością spogląda na Zachód. Zachciało mu się burdeli. Już odchodząc zdążył jeszcze zapytać: - Znajesz, czto naszemu bratu nužno? Wodku i babu! - zniknął i więcej go nie widziałem. Dziwny facet, zepsuł mi cały uroczysty nastrój akademii. Potrzeba więcej stali, a on wie lepiej, że co innego. Inni na pewno tak nie myślą.

Szybko przechodzę na widownię i nieomal ocieram się o głównego naczelnika. Ubrany jest w ciemny garnitur, białą koszulę, krawat. Nagle zauważyłem, że rękaw z prawej strony nieco się marszczy; nie najlepszy fachowiec szył ten garnitur. Ale wnet spostrzegłem, że takie głupstwa mnie się trzymają, patrzę na drobiazgi i przypomniało mi się żydowskie przysłowie: "To, czym się handluje - za sobą się wlecze". Wlecze się za mną to krawiectwo.

Na scenie już śpiewają pieśni na podniosłą nutę, potem wesole przyśpiewki, tzw. czastuszki. Na koniec ktoś gra pięknie na harmonii, a chór śpiewa "Podmoskownyje wieczera". Wszystko w wykonaniu amatorskiego zespołu budowlanych. Grają jak prawdziwi artyści. Bardzo się podobało; wracamy do "obszczeżitia" zadowoleni i w świetnym nastroju. Na naszą cześć taka akademii! Nikt się tego nie spodziewał.

I tak dobiega końca tygodniowy urlop. Jutro ostatni wolny dzień, kupię wreszcie tę zimową czapkę, bo uszy odmroziłem. Rano dostałem w naszym sklepiku chleb, prawie bez kolejki, spojrząłem na pustą półkę. Manufaktury już nie było. Żal mi się zrobiło, że nie pomogłem kobiecie, która pieszczotliwie powiedziała do mnie „synok”. Pocieszam się, że ktoś inny jej pomógł, naszym ten towar nie jest potrzebny.

Koło południa pojechałem do dzielnicy, w której są sklepy. Wsiadam na przystanku Socgorod, To skrót. Pełna nazwa - Socjalistyczne Miasto. Są tu wysokie, murowane domy, duży sklep i ogromny gmach teatru, podobny do Teatru Wielkiego w Warszawie. Wydaje się jeszcze większy.

Czapkę kupiłem za 18 rubli - najtańszą, bo muszę oszczędzać na chleb. Najważniejsze, że ma ciepłą osłonę na uszy, nie będą już marzły. Wracam do domu, ale po drodze wsiadłem na znanym już przystanku - Zawoduuprawlenie. Popatrzyłem na pomnik i <

poszedłem dalej w kierunku największego budynku w Magnitogorsku. Ma dziesięć pięter, dokładnie policzyłem i już wiem, co na tych piętrach się znajduje. Wzdłuż całego parteru - rząd okien wystawowych. Nic nie widać, bo do połowy żółte zasłony. Do gmachu przez duże oszklone drzwi wchodzi i wychodzi ludzie podobni do naszego naczelnika "Żeludorstroja". Postanowiłem z ciekawości zajrzeć przez okno. W jednym nieco odsu-

nięta zasłona ujawniła część wnętrza. I co widzę? Maszyny do szycia, na nich napis - Pfaff. Na czubku języka już miałem brzydkie słowo... Znowu niemiecka firma! Ale nie to mnie zdziwiło. Zdziwiło, że maszyny do szycia znajdują się w takim gmachu. W takim gmachu zwyczajna pracownia krawiecka?! Nie chce się wierzyć, że za tymi zasłonami szyje się garnitury. A może to nie zwyczajna pracownia? Wątpliwości zniknęły, gdy nad oknami zauważyłem duże litery wykonane z białego metalu: A T E L I E M O D.

Atelier?! Czytałem, że Charlie Chaplin wybudował w Hollywood własne atelier, ale filmowe. Żeby taką nazwą uhonorować mój fach, tego się nie spodziewałem. Przeszedłem jeszcze raz wzdłuż okien; między nimi ^(też) oszklone wejście, obok niewielka marmurowa tabliczka i ten sam napis, ale już mniejszymi, za to złotymi literami. Zamyśliłem się, a po chwili doszedłem do takiej konkluzji: Zawód krawca przestał mnie interesować, nawet w tak wytwornym wydaniu. Wojna wyrzuciła mnie z tych opłotków, z tego zawodu, którego nie chciałem. Nigdy już do niego nie wrócę. To już przeszłość. Stało się inaczej. Po kilku trudnych latach zakończyłem swoją bogatą karierę zawodową w Magnitogorsku właśnie tu, w tym eleganckim "Atelie Mod". Stało się tak, jak mawiał Szymon: - Schuster bleib bei deinem Leisten .

Na budowie

Skończył się urlop, idziemy do pracy. Z przedsionka dotarł głos: - Rebiata, paszli! - Tak odezwał się przyjaźnie, wręcz po swojsku nasz brygadzysta, zachęcając i mnie do wyjścia z baraku. Nie on jeden zabiera ludzi "obszczežitja", obcych twarzy widać więcej. Nawoływania z różnych stron i zgiełk jeszcze większy niż pierwszego dnia. Brygadziści przyszli po cenną siłę roboczą, określoną na kartkach w postaci listy nazwisk, przypuszczalnie według centralnie sporządzonego rozdzielnika. Niejedno przedsiębiorstwo wielkiego placu budowy pragnie uzupełnić swój stan osobowy.

Ja znalazłem się w grupie liczącej zaledwie osiem osób. Nim wyszliśmy, nasz brygadzysta przedstawił się: Chajrulin. Przyjrzałem mu się i odniosłem wrażenie, że jest bratem naszej dyżurnej. Jednej z trzech, nie odróżniam której, bo są do siebie podobne. Tak samo niskiego wzrostu, o śniadej twarzy i ciemnych skośnych oczach. I czemu się dziwić - jestem przecież w Azji. Wprawdzie niezbyt daleko, bo tuż za rzeką Ural, jednak już nie w Europie.

Geograficzne rozważania przerywała rzeczywistość. Zwały śniegu przed barakiem, trzaskający mróz, ledwie łąpię oddech. Tak mają wyglądać powszednie dni? Zgroza! Najgorzej, że w ogóle nie mogę wyobrazić sobie budowy linii kolejowej w takich warunkach. U nas w domu - gdy była kiepska pogoda, mówiło się, że na ulicy nawet psa z kulawą nogą nie widać. Kiedy i gdzie to było? Kiepska pogoda, co innego znaczyła. Trzeba wziąć się w garść, zapomnieć raz na zawsze o tamtych czasach. Pora pomyśleć o układaniu szyn kolejowych.

Pojedziemy chyba daleko pociągiem, odcinkiem wykonanej już trasy, gdzie dużo ludzi pracuje. Mimo mrozu. Nic takiego się nie stało. Pojechaliśmy tramwajem raptem jeden przystanek do pętli - tak blisko, że nawet za bilet nie zdążyliśmy zapłacić. Stąd na białym tle widać mały baraczek, do którego wąwozem ze śniegu właśnie idziemy. Na miejscu nikogo nie ma, nic się nie dzieje, tylko w oddali przez poranną mgłę rysują się kontury zabudowań, skąd dochodzą krótkie, krzyżujące się ze sobą gwizdy parowozów. Chajrulin pokazuje ręką w tamtą stronę. - *W tym roku* do dworca przedłużona będzie linia tramwajowa, tu, gdzie teraz stoimy, jest przeszkoda, latem płynie strumyk. Trzeba zbudować betonowy most, niezbyt duży, raczej mostek, ale fundamenty muszą być solidne, bo to górski potok. Nasza brygada ma wykonać wykop pod fundamenty. - *dodał Chajrulin.*

Jasne - będziemy kopać duży dół, ale na pewno ziemia zmarznięta, więc jak kopać? Brygadzista objął wzrokiem naszą skuloną z zimna gromadkę, chytrze po azjatycku się uśmiechnął i wskazując na pakamerę powiedział: - Wozmitie instrumenty. - Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni nie rozumiejąc,

o czym on mówi. Nikt z nas nie grał dotąd w orkiestrze i nie spodziewał się, że zaczniemy od muzykowania. Wystarczyło wejść do szopy, żeby wszystko się wyjaśniło. Zobaczyłem w kącie stertę żelastwa: oskardy, młoty, kliny. Nie było wątpliwości, że po rosyjsku to są właśnie instrumenty, czyli po naszemu - narzędzia. Niezbyt precyzyjne.

W ^(pakamery) dwa małe okienka, duży piec i oczywiście kipi-
tok. Ciepło. Obok pieca krząta się wysoki, lekko przygarbio-
ny mężczyzna, który na nasze: - Dzień dobry - starczym głosem
odpowiedział - Zdrawstwuji. Właśnie przygotował dla nas
potrzebne narzędzia. Łopaty z kawałka dykty przymocowanej do
kija. Tym będziemy odgarniać śnieg na placu pod przyszłą bu-
dowę. Od tego zaczynamy. Dużo śniegu napadało bądź nawiało z
gór; będzie tego z metr. Starczy roboty na cały dzień. Na wierz-
chu) ^{śnieg} jeszcze biały, niżej już zbity, zmieszany z rdzawym py-
łem. Nie widać nas z tych zwałów. Uwijamy się, bo to rozgrze-
wa, tylko wciąż zimno w nogi. Po jakimś czasie z pakamery wy-
chyla się głowa Chajrulina. - Rebiata, pieredur - rozlega się
głos. Od razu zrozumiałem, o co chodzi, o przerwę na papierosa.
Rozgrzewam skostniałe nogi, zdjąłem czapkę, czuję przyjemny
chłodek. Unosi się para. Nie myślę o zapaleniu papierosa, w
innym celu tu przybiegłem.

Brygadzysta przedstawia nam cieślę. Nazywa się Nikitycz.
Właśnie skończył swoją robotę. Stylisko do siekierki już go-
towe, wypieszczone, o zmyślnym kształcie, jak instrument, na
którym ~~nie~~ zaraz zagra. Cieśla opiera się o byle jak zbity
z desek warsztat, z kieszeni wyjął mały woreczek i coś w ro-
dzaju książeczki. Okazuje się, że to gazeta złożona w taki ^{Плак} kształt.
Oderwał jedną kartkę, zwinął w szpiczasty rulonik,
zagiął w pewnym miejscu i z woreczka wsypał coś podobnego do

sieczki. Jasne, że z tego będzie skręt do palenia. W Karolinowie chłopci też palili skręty; tam po raz pierwszy zakrzusiłem się mocnym dymem z machorki. Przypomniało mi się, że mam w kieszeni "Biełomory", więc częstuję Nikitycza. On jednak odmawia twierdząc, że papierosy są duszące. Trudno, sam sztachnę sobie ze dwa razy - mamę przecież pierękur i rozglądam się za ogniem. Właśnie robi się; pierwszy raz w życiu widzę wiaki szczególnie sposób. W ustach cieśli fajeczka z gazety, dłuższa od jego rudej bródki, a w palcach trzyma trzy rzeczy: krzemień, kawałek stali i gruby knot skręcony z waty.

Niedługo trwało krzesanie ognia i już przypalam swego "Biełomora". Nikitycz głucho zakasłał, splunął w kąt ^{poczym} zachwalając swój tytoń, delektuje się dymem "samosiejki". Tak nazywają tu- tejszą machorkę; ← twardą, drobno siekaną - tylko ^{w/} gazetecie można z tego zrobić skręta. Brygadzysta w ogóle nie pali tytoniu. Zamiast palenia zażywa coś oryginalnego. Wyjął z kieszeni buteleczkę z jakimś brązowym proszkiem, nasypał szczyptę na dłoń, napluł, uformował to palcem w kuleczkę i wsunął pod język. Też pochwalił ten specjał przyrządzony według własnej recepty. Nie powiedział jakiej. Zabrał się do pisania, z czego wynikało, że pierękur się skończył.

Nogi jeszcze nie odtajały, znowu wychodzimy na mróz. Mój przyjaciel od łopaty powiada, że nasz brygadzysta będzie teraz pisał sprawozdanie z wykonania planu, będzie "rozmnażał" produkcję budowlaną jak Lejzorek króliki. Wyjątkowo złośliwy facet. To prawda, że tak opisywał to Erenburg w swej satyrycznej powieści. Ale satyra zawsze przejaskrawia, żeby było śmieszniej. Rzeczywistość jest inna, a tu na pewno. Wystarczy spojrzeć, jaki wielki kombinat zbudowano. *Zbudowano nie* na papierze, on faktycznie istnieje. Tak mu odpowiedziałem. Znowu

wzięliśmy się za łopaty i tak zeszło do obiadu. Na obiad - chleb i kipyatok. Nasz cieśla, a także brygadzysta jedli to samo, jeśli nie liczyć przyniesionych ze sobą - starannie zawiniętych w szmatkę - kartofli "w mundurkach".

Po obiedzie Chajrulin wyszedł razem z nami, spojrzał na zwały śniegu, zagadkowo się uśmiechnął, pokiwał głową, co mogło oznaczać, że za mało roboty widać, że śnieg nie we właściwym miejscu zgarnięty lub jedno i drugie. Nic nie powiedział, tylko znakiem ręki wskazał, gdzie ma być wolny placyk na składowanie desek do szalowania, które jutro mają przywieźć. Niedaleko stąd widać budkę. Wyszła z niej kobieta z chorągiewką w ręku, przełożyła zwrotnicę, potem pociąg z rudą skręcił w stronę wielkich pieców. Dużo wagonów jedzie w tamtą stronę, wszystkie mają specjalny kształt, żeby ruda - po uruchomieniu mechanizmu - sama wysypywała się od spodu. Kobieta znowu przełożyła dźwignię i wkrótce przejechał kolejny pociąg z rudą. Chajrulin objaśnia; - Wagony pojedą do Kuźniecka, blisko, "tylko" dwa tysiące kilometrów; tam też zbudowano taki kombinat. Stąd wożą rudę, a w drodze powrotnej węgiel. Dobrze to pomyślane, wagony nie jadą puste. - Bogaty nasz kraj, samowystarczalny, od nikogo nie jest zależny. - Za parę lat zobaczycie, jaki u nas będzie dobrobyt. Wsio budiet! - mówi Chajrulin i dodaje: - Wszystko zależy od rozwoju przemysłu ciężkiego, od produkcji stali. U kapitalistów są kryzysy, załamanie gospodarki, u nas nieprzerwany rozwój. Nigdzie na świecie tak szybko nie rośnie przemysł ciężki, a rozpoczęliśmy prawie od zera. Pod względem tempa wzrostu już prześcignęliśmy kapitalistów.

Brygadzysta sobie poszedł, chwilę jeszcze odpoczywamy i oparciu o łopaty podziwiamy kombinat. Znajdujemy się od strony

północnej, nieco wyżej - wszystko widać jak na dłoni. Najbliżej nas - piąty wielki piec w budowie. Cały w rusztowaniach. Dalej rosną następne piece martenowskie. Ogromny teren to jeden wielki plac budowy. Moi koledzy nie są specjalnie tym zachwycony, a jeden nawet powiedział, że to go mało interesuje, że z tego nic nie można ugryźć. Widać słabo sobie podjadł, stąd brak entuzjazmu.

Ja też nie więcej zjadłem, mimo to podziwiam panoramę. Widoczność dobra, wszystko blisko. Z lewej strony naturalna góra rudy. Słynna Magnitnaja. Widać, jak przesuwają się wysoko na tarasach wagony załadowane tym cennym surowcem. Z prawej, na przeciwległym krańcu, nad rzeką Ural, wielka elektrownia. Dużo potrzeba energii, aby to wszystko wprowadzić w ruch. Dymi rząd niskich, stalowych kominów, nad nimi czarny obłok przesuwający się na wschód. Podziwiam dymiące kominy, symbol przemysłu; chciałoby się, żeby było ich jeszcze więcej. Las kominów to znak naszych czasów, produkcja dóbr materialnych. Ale w Związku Radzieckim przemysł nie wzbogaca kapitalistów, tylko służy ludziom pracy. O tym byłem przekonany.

Czas wziąć się za robotę, odgarnąć śnieg, tym bardziej że dokucza mróz. Pomachałem łopatą i od razu zrobiło się cieplej. I tak upłynął pierwszy dzień na budowie.

Już było ciemno, gdy wracaliśmy do domu. Po drodze pomyślałem o kupnie chleba w naszym sklepiku. Okazało się, że nie będzie to prostą sprawą. Wszyscy, którzy wrócili z pracy, chcą to właśnie uczynić. Przed sklepi^{kiem} tłok. Chleb niedawno przywieźli, ludzie długo czekali, teraz wszyscy chcą od razu kupić. Czekali również miejscowi, którzy postanowili w naszym sklepiku zaopatrzyć się w tę najważniejszą dla nich rzecz. Nagle powstał tumult, coś w rodzaju buntu. Kierownik sklepu oświadczył,

że sprzedawać będzie tylko "zapadnikom", gdyż to ich sklep. Hm?! Sklep wyłącznie dla nas? *Rzeczywiście, tak było od początku.*

Pierwszy raz zachwiana została moja wiara w ustrój radziecki. Miejscowi krzyżacy: - Wszyscy są równi, my nie gorsi od przyjezdnych! Widziałem zaciśnięte pięści, jakby komuś grozili, jakby chcieli roznieść tę budę. Nie wiem, jaki był rezultat, zrezygnowałem z zakupów - pojechałem do "Fabryki Kuchni". Gdy wróciłem, Szymon właśnie skończył kolację, odkładał chleb do szafki i przymierzał, jak założyć kłódkę. Zapytałem o dzisiejsze zakupy.

- Chleb dostałem, ale długo trwało zamieszanie, nieprzyjemnie to wyglądało, w końcu sprzedawca zagroził milicją. Gdy się nieco uspokoiło, tłumaczył, że takie ma polecenie, od niego nie zależy, komu ma sprzedawać. Milicjant sam się zjawił. Jedni odeszli zrezygnowani, inni ustawili się w długiej kolejce. Nastąpił rozejm. Miejscowi udawali, że nie są Rosjanami, a milicjant i sprzedawca też udawali, że nie rozpoznają, kto jest kto. I tak chleba dla wszystkich nie starczyło; *ja dostałem ostatni kilogram - zakończył Szymon.*

He rozpoczął na nowo: - Najgorsze są nasze kobiety. Zdaje im się, że powinny być uprzywilejowane, że im się to należy. To nazywa się hucpa. Ja nie zapomniałem, jak w Tomaszowie stałem przed piekarnią w kolejce, gdy podszedł jakiś Volksdeutsch i krzyknął: - Juden raus! - Czyżby już zapomniał?!

Zdjąłem waciak i poszedłem sobie wzdłuż łózek, niczym w alejce wśród szpaleru zieleni. Byłem ciekaw, co tam ludzie mówią o pierwszym dniu pracy na budowie. Może inni ciekawszą robotę dostali? Dancygier zaprasza, żebym usiadł na jego łóżku, zamierza opowiedzieć o swojej pracy. Nareszcie ma zawód, został "takełaźnikiem". Na sąsiednim łóżku też usiadło kilka osób; z zaciekawieniem słuchamy, co to za fach. Dancygier opowiada, że trafił do brygady montażowej, montują kon-

strukcję stalową nowej spiekalni rudy. Praca ← ciekawa, nawet wesoła. Dziwię się, moja nie była wesoła, słucham więc z uwagą, co robi "takełaźnik".

Robotą dyryguje brygadzista, jak niewielką orkiestrą, a "instrumenty" - łom żelazny i linka stalowa. Na kupie leży masa żelastwa do montażu, ale jeden człowiek nawet nie ruszy tego z miejsca. I tu przejawia się cały kunszt brygadzisty. Pokazuje, w którym miejscu podważyć łomem, gdzie podłożyć okrągłaki i jak wszyscy razem mają zgodnie popychać żelazo do przodu, pod komendę. A komenda jest śpiewna. Brygada sama ustala takt i rytm. Dancygier wstał i zademonstrował, jak to się odbywa: zaparł się nogami o łóżko, na którym siedzimy, jakby je chciał ruszyć z miejsca, zgiął kark i tak śpiewnie skanduje: - Raz, dwa wzięli! - Tu zrobił pauzę, bo ciężar wtedy nieco się przesunął, po czym nastąpił dalszy ciąg: - Jeszcze wzięli! - Znowu pauza i dalej: - Raz, dwa drużno! Na chuj nużno. - Ta część daje już nikły efekt, to już formalność dla dodania sobie animuszu. Barwnie to kolega odstawił, a słowa tak szybko podchwycił, z akcentem - słychać pochwały. Zadowolony z siebie, skwitował nasze uznanie za opanowanie jędrnego słownictwa jakimś hebrajskim przysłowiem. Niestety, nie zrozumiałem słów ani sensu. Mama miała rację namawiając mnie, że bym uczył się biblijnego języka.

Dancygier opowiada, że pół dnia przesuwali różne żelastwo, dopiero po obiedzie montowali. Ale komenda już nie była po rosyjsku. Kiedy za pomocą wciągarki element konstrukcji *ma isć* do góry, brygadzista woła - wira, jak do dołu - majna. W końcu ją spawają lub przykręcają śrubami. Ciekawa robota. Dancygier dostał brezentowe rękawice, bo jak na mrozie dotknąć gołą ręką żelaza, to ono parzy. Obiad zjadł w stołówce spie-

kalni rudy i nie narzeka. Głośno tam, bo obok miałą rudę, ale również ciepło od pieców, gdzie ten proszek od razu spiekają. A moja grupa - włączył się Kowadło → - trafił na gaz-golder. Dziwna nazwa, bo to zwyczajny zbiornik gazu obok kokso- ni. Może nie zwyczajny, ma ze sto metrów wysokości. Na zewnątrz, z rusztowań izoluje^(my) go właśnie płytami. Też ciekawa robota, ale na takiej wysokości jeszcze zimnej.

Najbardziej ceni się pracę w pomieszczeniu. Chłopak z Warsza- wy pochwilił się zawodem ślusarza; w rodzinnym mieście robił pre- cyzyjne matryce do produkcji różnych znaczków przypinanych do klapy. - Na przykład Ligi Obrony Powietrznej, Ligi Morskiej i Kolonialnej, Różne.

Tu trafił "bo specjalności", czyli do swego zawodu ślusarza. Remontuje kotły i betoniarki. Jest zadowolony, bo nie pracuje na mrozie.

Wszystkich zadziwił facet w żółtej skórzanej kurtce. Zaanga- żowali go do szkoły, będzie uczył języka angielskiego. Żeby nie było wątpliwości, zademonstrował, jak poprawnie mówi się po an- gielsku. Wysunął koniec języka trzymając go między zębami i za- czął seplenić. Delektował się wytworną angielszczyzną. Widocz- nie tak trzeba. W końcu schował język i powiedział normalnie po rosyjsku: - Błat wysze narkoma. - W ten sposób wyjaśnił, jak mu się udało znaleźć pracę w szkole. Na pewno przechwałki, że już ^{mu} znajomości, takie, co wszystko mogą załatwić. A swoją drogą dziw- ne to: Wszyscy podpisali kontrakt na robotę w budownictwie, a wielu wcale nie pracuje w tej dziedzinie.

Ktoś opowiada o swojej pracy przy formowaniu składu pocią- gów. Rozczepia jedne wagony i łączy inne. Zimno i niebezpiecz- nie. Sąsiad z drugiego rzędu łóżek włączył się do rozmowy: - Wiecie co zrobił mój obrotny ziomek z Radomia? Wszedł do pra-

cowni krawieckiej i z głupia frant zapytał, czy nie potrzebują "dobrego krawca z Warszawy". Zaznaczył lojalnie, że już ma przydział do pracy przy układaniu rurociągu. Zapisali, jak się nazywa, dokąd dostał skierowanie, i kazali przyjść jutro do pracy. Powiedzieli, żeby o nic się nie martwił, zadzwonią gdzie trzeba i "wsio budiet w poriadku". Jeden tak zauważył: - Wszyscy podpisaliśmy wprowadzić jakieś papiery, ale to mogło być tak na niby. Trudno zrozumieć jak się sprawy mają. A może rzeczywiście podpisane przez nas papiery nie są wcale kontraktem na rok pracy w budownictwie? - Pogadaliśmy jeszcze o tym mrozie i wróciłem na swoje łóżko. Nikt się nigdy nie dowiedział, co podpisał w Białymstoku.

Rano brygadziści nie przyszli po nas, sami znamy drogę do pracy. Z mojej grupy zjawiała się piątka, trzech ma gorączkę i zostali w baraku. Ale w pakamerze "czarnoraboczych" więcej niż wczoraj; przysłali miejscowych. Są też dwie kobiety i teraz nasza brygada liczy 10 osób. Zaczynamy kopać dół, właściwie kuć, bo ziemia oczywiście zmarznięta i twarda jak skała. W ruch poszły oskardy, tylko iskry lecą. Rezultat wciąż mizerny: skruszył się czubek, tępy "instrument" oddaje tylko głuche odgłosy, a urobku tyle, co kot napłakał. Miejscowi doradzają, żeby użyć klina, więc podpatrujemy, jak oni to robią. Klin wziąłem solidny, łatwo się nie stępi, trzeba tylko głęboko wbić go w zmarzniętą ziemię. Najlepsze wyniki daje praca zespołowa; rytmiczne uderzenia trzema młotami na długich trzonkach. Młoty są ciężkie, ponad dziesięć kilo każdy. Bijemy w trójkę, w takt na trzy czwarte: raz, dwa trzy, raz, dwa trzy, jak do walca, i rezultat jest widoczny. Notujemy zwycięstwo nad twardą przyrodą. Kawałek ziemi odskoczył. Znowu szybkie uderzenia młotami i kolejny sukces. Tym razem odłamała się

spóra gruda. Klin u nasady nieco się spłaszczył, ale nadal odłamuje po kawałku ziemi. Ciepło. Nogi jednak wciąż marzną.

Kobiety kują oskardami, systematycznie, niespieszno, jakby całe życie to robiły. Urobku mają więcej niż my, bez młotów i klina. Patrzę z uznaniem na radzieckie kobiety. A dotąd słyszałem, że kobiety to słabe istoty.

Nareszcie pora na pierekur. Biegniemy nie tyle popalić, ile rozgrzać nogi i odsapnąć. W kącie widać gotową tablicę, na której będą wypisywać nazwiska przodowników pracy obok procentów wykonania normy. Ciekawe, czy ja się na niej znajdę? Za wcześnie jeszcze o tym myśleć. Teraz poznajemy naszych współtowarzyszy pracy. Stanowimy przecież jedną brygadę. Budzimy wśród nich zrozumiałe zainteresowanie; pierwszy raz widzą ludzi z zagranicy. Są już w sile wieku, włosy z przyprószoną siwizną, tylko jedna kobieta wygląda na 30 lat. Ktoś zapytał, skąd pochodzę, z jakiego miasta? Chciałem powiedzieć, że z Tomaszowa, ale zdałem sobie sprawę, że ta miejscowość nie może tu być znana, więc powiadam, że ze stolicy Polski, z Warszawy. Wszyscy wzruszyli ramionami, z czego wynika, że o takim mieście nie słyszeli. Mówię teraz, że blisko Łodzi rezonans natychmiastowy. - O! Znaju, znaju - odezwało się kilka męskich głosów. Widać, że Łodzi słyszeli. - Najlepszą manufakturę z Łodzi przywozili - powiedziała niemłoda już kobieta. - Babka opowiadała.

Pierekur szybko się skończył, a gdy już wyszliśmy na mróz, ta sama kobieta tak do mnie rzekła: - Synok, bolsze swojej Arszawy nie uwidzisz. - Pokiwała głową i głośno westchnęła. Znowu byłem wzruszony serdecznym zwrotem - synu, ale jeszcze bardziej zdziwiony tonem politowania nade mną. A może nad sobą, że tu się znalazła? Kto wie? Może przypomniała jej się rodzinna

wioska, kwitnąca jabłoni w ogródku....

Nadal walę młotem, a dźwięki jakby powtarzały słowa: "Nie uwidzisz Arszawy, nie uwidzisz"... W czasie krótkiej przerwy zapytałem kobietę skąd pochodzi, i wycucie nie zawicoło. Okazało się, że z Ukrainy. Zostali wywiezieni w czasie kolektywizacji rolnictwa. Tak jak od początku przypuszczałem. Najstarszy z nich wypowiedział słowa zaprawione drwiącym uśmiechem: - My rozkułaczynyje - a inny dorzucił: - Wtedy, kiedy było "gołowokrużeniye od uspiechow"^X. - Aha! - myślę sobie. - To są właśnie kułacy, o których Stalin mówił, że zostali zlikwidowani jako klasa. - Żeby się upewnić, pytam: - Wy kułacy? - Odpowiedź była jednak przecząca. Starsza kobieta zaczęła dłużyć oskardem, rozejrzała się, czy nie ma obcych, i szeptem powiedziała kim są. ^{-My} krestianie - biedacy. Pochodzą ^{my} z jednej wioski, tacy nawet średniakami nie byli; *nas tu przywieźli*, a prawdziwi kułacy - ci, co mieli dużo ziemi, uciekli do Moskwy, tam się mają całkiem dobrze, są na stanowiskach. Zabiła mi ćwieka, będę miał nad czym rozmyślać. Jednak nie wtedy rozmyślałem o "Arszawie", ani o chłopach z Ukrainy zesłanych na budowę do Magnitogorska. Na wszystko przychodzi swój czas.

Zbliża się przerwa obiadowa, a cała nasza piątka, jak się okazuje, nie kupiła wczoraj chleba, więc jesteśmy - mówiąc wulgarnie - c głodnym pysku. /Ukradkiem wyjąłem z kieszeni kawałek cukru. /Postanowiliśmy powiedzieć brygadziście, że jeden z nas chce wyskoczyć po chleb dla całej piątki. Zgodził się, nawet zaproponował, że ułatwi dla nas zakupy bez kolejki. Jedzie właśnie do biura i po drodze to załatwimy. Zabrał jakieś papiery, ja wziąłem od każdego po rublu i poszliśmy. Widocznie

^X Zawrót głowy od sukcesów. Tytuł słynnego artykułu Stalina o przegraniach w czasie powszechnej kolektywizacji. (r.s.)

przypadłem mu do gustu, skoro Chajrulin na dobre się rozgadał.

Nim weszliśmy do tramwaju, zdążył powiedzieć: - *Унос в Мгнитце, до недавна "wsio było"*; chleb bez kolejki - wsio. Sielotki, sachar, wsio, wsio. Jakby przede mną się usprawiedliwiał lub szukał przyczyn obecnych trudności, *так uzasadnia* braki w zaopatrzeniu: - Sporo ludzi trzyma krowy, wykupuje chleb na karmę, bo jest tani. Poza tym winni są przekłeci Finowie. Związek Radziecki zaproponował im odsunięcie swojej granicy dalej od Leningradu, bo przebiegała za blisko miasta, kolebki rewolucji. Finowie nie zgodzili się nawet za rekompensatę i wspomagani przez Francję wojują z nami. Niedługo ich załatwimy i będzie *znova wsio*. - Czy dużo jeszcze pozostało do zajęcia całej Finlandii? - zapytałem. - Tylko niewielki kawałek - odpowiedział Chajrulin. Przekonany byłem, że ma rację. Wszystkiemu winne są krowy i Finowie. I z takim przeświadczeniem weszliśmy do naszego sklepu bez kolejki. Gdy wróciłem z dwoma bochenkami chleba, miejscowi już zjadali kartofle "w mundurkach".

Nabrałem sił po obiedzie i ze zdwojoną energią dalej waliłem młotem. Nawet wzbudziłem zainteresowanie krzepkich Ukraińców. Jeden z nich mnie pochwalił: - Młody, chuderlawy, a tak zdrowo rabotajet. - Wbiło mnie w dumę uznanie współtowarzyszy pracy, więc zadowolony z siebie dalej pokazywałem, co potrafię. Tak do końca dnia wywijałem młotem.

Wróciłem do baraku nieco zmęczony, odłożyłem resztę chleba do szafki i nagle poczułem, że nie potrafię zdjąć z siebie waciaka. Ba, nie potrafię zrobić żadnego ruchu! Stać mogę, chodzić również, ale z resztą ciała znacznie gorzej. Usiąść ani położyć się nie mogę bez dokuczliwego bólu. Ktoś zauważył, że dziwnie się zachowuję. Zjawił się Tadeusz i dwóch chłopaków,

aby zaprowadzić mnie do punktu sanitarnego. Spory kawał szli ze mną, przestraszeni bardziej ode mnie. W punkcie sanitarnym zapytali, co się stało? Odpowiadam zgodnie z prawdą: - Zdorwo ^orabotał. - Młoda lekarka uśmiechnęła się, dała proszek na rozluźnienie mięśni i od razu poczułem się lepiej. Myślę, że nie bez wpływu był czarujący uśmiech lekarki. Wróciliśmy do baraku, ale rozebrać się nadal nie potrafię. Najładniej pozbyć się rękawów z fufajki. Pomógł Szymon i w końcu znalazłem się na łóżku pod kocem.

Rano prawie nic nie bolało, tylko ręce wciąż sztywne, jak nie swoje. Na szczęście wszyscy, którzy nie pracują w pomieszczeniach, zwolnieni są z pracy. Tadeusz ^(tak) oznajmił, bo ~~wtedy~~ ^{grubo} poniżej 40 stopni, a ustawa przewiduje, że przy takiej temperaturze na zewnątrz nie można pracować. Siedzimy więc w ciepłym baraku, setka ludzi dodatkowo ogrzewa, popijamy kapiatok. Życ, nie umierać.

Około południa przyszedł ktoś z grubą teczką. Powiedział, że jest lektorem komitetu miejskiego partii, będzie "czytał" lekcju". Byliśmy zdziwieni. Nie przyszedł przecież do szkoły, i co on będzie czytał? Wnet się okazało, że będzie miał wykład na temat sytuacji międzynarodowej. Usiadł za stołem w naszym Czerwonym Kąciku, z teczki wyjął kilka broszur, przygładził resztkę włosów na prawie łysej głowie i zaczął prelekcję. Szybko się ubrałem, usiadłem bliżej na jakimś łóżku i razem z innymi zamierzam słuchać wiadomości ze świata. Dawno nie czytałem gazet, więc ciekaw byłem, co nowego się wydarzyło.

Nasz wykładowca niewiele od siebie mówi, więcej cytuje z broszury. Dobrze nie rozumiem jeszcze po rosyjsku, ale sens jest taki: - Żyjemy w epoce gnijącego kapitalizmu, który nazywa się imperializm, i on nieuchronnie rodzi wojny. Taka imperia-

listyczna wojna rozpoczęła się o miasto Danzig, po czym lektor zacytował znane oświadczenie Wicześlawa Mołotowa z 31 października 1939 roku wygłoszone na V Sesji Rady Najwyższej ZSRR. O tym, że państwo polskie - "ten pokraczny twór Traktatu Wersalskiego" - już nie istnieje i jeszcze coś, czego dobrze nie zrozumieliśmy. W kółko powtarzał o imperialistycznej wojnie między Polską a Niemcami, nie wymieniając jednak napastnika. A my przecież wiemy, kto rozpętał wojnę! Kiedy dodał, że w Niemczech też rządzi partia socjalistyczna tylko o dodatkowej nazwie "narodnaja" - po sali przeszedł głuchy pomruk. Ktoś mówi cicho do sąsiada: - Niemcy to faszyci, zbrodniarze, oni napadli na nasz kraj, zniszczyli nasze domy, a powód to wcale nie "Danzyg". Faszyci chcą cały świat zawojować. Co on gędzi? - Sąsiad trąca go w bok, żeby przestał gadać, może się narazić. Trzeba pamiętać gdzie jesteśmy - powiedział zniżając głos do szeptu.

Prelegent zauważył dezaprobatę słuchaczy, zbyt wielu kręciło głowami. Nie było jednak odważnych, żeby głośno się sprzeciwić. Kowadło tak powiada do mnie: - Ten facet w ogóle nie zna się na polityce, powtarza tylko to, co wyczytał w broszurce. W rzeczywistości dalekowzroczna polityka radziecka pozostała antyhitlerowska, Stalin wie, co robi. Przykry nastrój rozładował człowiek z bródką: - Er wajst nysz fyn zajne hend in fyjs, fyn zajne łyngyłejbe^x. - Inny dorzucił sprośne powiedzonko i

← od razu humor się poprawił. Lektor włożył broszury do teczki, zawiedziony, że taki materiał może nie być

x Nieprzetłumaczalne powiedzonko. Oznacza kogoś, co nie ma pojęcia, o czym mówi. Dosłownie: nie wie o swoich rękach i nogach, o swoich płucach i wątrobie /jldysz/.

wiarygodny. Wkrótce poszedł sobie, mierząc wzrokiem "zapadników", tych, którzy nie wierzą w oficjalne materiały.

Po tygodniu jeszcze raz do nas przyszedł. Też miał ze sobą teczkę, ale żadnych broszur tym razem nie wyjmował. Zraził do siebie wszystkich i niewielu było chętnych do słuchania następnej "lekcji". Skromniejsze też miał zadanie. Tym razem osobiście zapraszał do zajęcia miejsca przy stole w Krasnom Ugołku. Starał się być uprzejmy, pytał, czy przy^ywkleiliśmy już do mrozów.

Dzisiejszy temat pachnie filozofią: - "O wierzeniach religijnych jako przeżytkach w ludzkiej świadomości". Prelegent mówił ze swadą, widoczna była rutyna doświadczonego agitatora. Chciał również zatrzeć poprzednie niemiłe wrażenie. Zapomniałem, co powiedział o owych przeżytkach i ich istocie. "Lekcja" trwała niedługo. Skończywszy wykład, wyjął z teczki plik materiałów piśmiennych i kolorowe ołówki, zachęcając do zrobienia gazetki ściennej. Na naszą uwagę, że nie znamy języka rosyjskiego, odpowiedział: - Nie jest ważne, w jakim języku będziemy pisać; może być po polsku. Ładnie się wyraził: --"W Związku Radzieckim każdy może pisać w swoim narodowym języku". - To mi się podobało.

Odchodzimy od stołu, a Kowadło tak skwitował dzisiejsze spotkanie: - Mówiłem ci, że on nie zna się na polityce, to specjalista od ateizmu, tylko w tym się wyznaje. - Więcej do nas nie przyszedł. Papier się przydał, ale gazetka ścienna nigdy się nie ukazała. I tak oto zakończyła się próba uświadczenia nas przez osobę oficjalną. Życie okazało się lepszym nauczycielem.

Zaledwie dwa dni nie byłem na budowie. Dzisiaj mróz podobno

zelżał, mówią o 35 stopniach więc normalnie pracujemy. Rezultat wciąż mizerny; ziemia jak granit, iskry nadal lecą od oskardów. Stępione narzędzia zabrali do kuźni, przywożąc w ich miejsce nowe; niedługo jednak wytrzymały. Kilka uderzeń i już nie ma czubka. Do młota mam awersję, do ręki go nie biorę. Zresztą miejscowi też coraz rzadziej stosują kliny. Wynik jest niewspółmierny do wysiłku. Niewielkie dołki już wydłubane, ale fundament ma być na głębokości ponad dwóch metrów. Nie wyobrażam sobie, kiedy my to wykonamy.

A tymczasem mamy przerwę na papierosa, która - jak wiemy - tylko tak się nazywa. Poza Nikityczem nikt nie pali. Nasi kułacy są wcale sympatyczni, odpoczywamy pijąc kapiatok rozmawiając sobie w najlepsze. Czyżby rzeczywiście byli aż takimi wrogami? My pytamy, jak było na Ukrainie, a oni o życie w Polsce. Rozmawiamy jak przyjaciele, mimo że są "zlikwidowaną klasą". Nie zauważyłem jednak najwyższego z nich, tego z jasnymi jak len wąsami, więc pytam, gdzie jest ich ziomek. Nie ma brygadzysty, swobodnie można porozmawiać. Dowiaduję się, że ten, o którego pytam, został "progulszczikiem". Nie znam tego słowa, nie rozumiem, co to znaczy i jaki to ma związek z jego nieobecnością. Zaczyna się skomplikowany sposób tłumaczenia. Każdy stara się wyjaśnić, o co chodzi. Pada słowo "progul", ale z tego nic nie wynika. Najmłodsza z nich, a wiem już, że nazywa się Galina - zdjęła gruby wełniany szal z głowy, złociste loki wysuwają się spod białej chustki, ręce oparte na biodrach; z wdziękiem unosi ramiona i rytmicznie tupie grubymi walonkami. - Eto znaczyt gulliat' - powiada. Inny tłumaczy, że "progulka" to spacer, np. z dziewczyną. *W koniecu zrozumiałem, że zamiast pracowoc - dzień przechulał. Ale chyba się pomyliłem, bo z naszych ktos' dosadnie po-*

wiedział: - Nie przyszedł, bo w dupie ma taką robotę.

Galina poprawia włosy, klaszcze w dłonie najwyraźniej zdradzając ochotę do tańca. Co tu ukrywać, kułaczka zaczyna mi się podobać. Wesoły nastrój zepsuł najstarszy z nich. Nasz Jura - powiada - za ten progul będzie musiał za karę odpracować ilość tam dni w I.T.K. I żeby nie było nieporozumień od razu dodał: - Skrót ten oznacza "Insprawitel'naja Trudowaja Kolonna". Przeszło bawić. rozszyfrowanie nowych słów, nowych znaczeń; będzie po prostu moim sąsiadem za drutami. Okazuje się, że oni muszą się meldować co jakiś czas w milicji, są obywatelami drugiej kategorii; "pasport" mają z paragrafem nr 38.

Dopiero teraz przypomniałem sobie rozmowę w baraku. Mówili, że nie wolno nie pracować; wydali specjalny dekret, który przewiduje kary za takie przewinienie. Nie rozumiem, dlaczego siedzenie w domu uznali za przewinienie: nie chce pracować - jego rzecz. A w ogóle z czego można żyć nie pracując? Dobrodziejstwo, gdy ma się pracę. Tymi myślami podzieliłem się z kolegą, ten jednak nazwał mnie zwyczajnie frajerem. - Nie widzisz, że wprowadzili pracę przymusową - dodał. Wzięliśmy się do roboty i na ten temat więcej nie było rozmowy. Trzeba będzie zapytać Tadeusza, jak to jest z tym dekretem o "progulach". Jutro "wychoďnoj" - dzień wolny, czasu będzie dużo, więc wszystkiego się dowiem.

Najgorzej, że skończyły się pieniądze. Przedwczoraj pożyczyłem na chleb, a do wypłaty jeszcze cały tydzień. Dzisiaj od innego pożyczyłem dwa ruble i pojechałem po chleb do "Gastronomii". Nasz sklepik już zlikwidowali, przestaliśmy być

lepsi od obywateli Związku Radzieckiego. I dobrze, i źle. Krępuje uprzywilejowanie, ale teraz trudniej coś kupić do jedzenia. W kolejce nieoczekiwanie spotkałem Szampanera. Wpuścił mnie ukradkiem przed siebie i opowiada, że kilka dni temu przyjechał drugim transportem z Białegostoku. Chętnych nadal *bardzo* dużo, ma być *trzeci transport, a potem czwarty.* Spytałem, czy witała ich orkiestra. Był zdziwiony, że nas tak uroczyście przyjęli na dworcu. Nie chciałem wierzyć. Zdążył już spotkać braci Chmielnickich - mieszka obok nich. Powiedział, że umówili się na jutro, mają razem pójść do łaźni. Poprosiłem, żeby wstąpili do mnie. Wróciliśmy razem, Szampaner mieszka gdzieś za ostatnim przystankiem.

Nazajutrz przyszli wcześniej *mi oczekiwaniem.* Każdy miał zawiniątko pod pachą, mydło i ręcznik, a oprócz tego coś do sprzedania. Też są bez pieniędzy. Przed łaźnią pójda na "tołczok" - tak w tutejszej gwarze nazywa się bazar. Wiedzą, gdzie *←* jest, i słyszeli, że rzeczy z Polski cenią tu wyżej niż w Białymstoku. Pomyślałem o swoim plecaku. Nigdzie nie będę podróżował, koc mam państwowy, szybko więc przywróciłem pierwotne przeznaczenie narzuty. Po lewej stronie już mocno przybrudzona, trzeci miesiąc wyciera przeciw różne kąty i nic dziwnego, że tak wygląda. Za to strona prawa - jak nowa. Plusz mieni się zielenią przetykaną czerwonym wzorem. Pojechaliśmy handlować. A jednak wahałem się, szkoda mi było narzuty, to przecież pamiątka z domu. Od najdawniejszych lat przykrywała moje łóżko. **Mama** opowiadała, że był to ślubny prezent od jej brata, Motla, a mojego wujka. Sam tknął ją na ręcznym warsztacie w piwnicznej kuchni mego dziadka. To było 35 lat temu, cenna pamiątka przeszłości. Z żalem sprzedawałem narzutę na magnitogorskim bazarze.

Szampaner zniknął mi z oczu. Pochłonął go tłum kupujących i sprzedających z ręki bardzo używane rzeczy, jak tu mówią - barachło. Niektórzy sprzedają swoje przydziałowe ubrania, buty i walonki. Marzę o takich walonkach, są jednak za drogie, nawet za dwie narzuty nie kupię. Mam już dosyć bazaru, idziemy do łaźni. Nie musimy pytać o drogę, sporo ludzi podąża w tamtą stronę, łatwo się zorientować. Zwracają^{naszą} uwagę pary małżeńskie, mają bowiem osobliwe akcesoria ze sobą. Mężczyźni niosą za pachą blaszaną miednicę z uchwytemi, a kobiety miotełkę z brzo-zowych gałązek. Słychać przyjazne powitania: - Dobrom parom! - Co kraj, to obyczaj.

Po kąpieli poszliśmy do "Fabryki Kuchni", zjedliśmy po dwa obiady i w miarę syci postanowiliśmy pojechać w stronę teatru. Okazuje się, że gmach widoczny z przystanku Socgorod to cały kompleks kulturalno-oświatowy. Takim na miarę socjalistycznego miasta. W części frontowej, za kolumnadą - wielki budynek teatru. Grają *I n t r y g ę i m i ł o ś ć* Schillera. W bocznych skrzydłach mieści się Klub Metalurgów z biblioteką i czytelnią. Tu są sale dla amatorskich zespołów artystycznych, różnej działalności kulturalnej lub oświatowej. Dochodzą dźwięki harmonii i bałajki, a w sąsiedniej sali czyjeś niewprawne palce mocując się z klawiaturą fortepianu. Zwiedzam to wszystko z riekłamanym podziwem; naocznie przekonałem się, jak w Związku Radzieckim dba się o kulturę. Przed nami obszerna sala. Młody człowiek przechadza się między stolikami z figurami szachowymi. Chwilę popatrzy, przesuwając figurę i idzie do następnego stolika.

Przeszliśmy do biblioteki, ale polskich książek, niestety, nie było. Za biblioteką obszerna sala czytelników, sporo gazet i czasopism. Czytających niewielu, może dziesięć osób. Usiadłem przy stoliku, wziąłem do ręki gruby miesięcznik w szaroniebieskiej okładce o nazwie "Bolszewik". Zajrzałem do środka i zdębiałem. Na pierwszej stronie wydrukowane przemówienie Hitlera. Nie chce się wierzyć, że coś takiego tu zobaczę. Przeczytałem tytuł i odłożyłem czasopismo jak coś nieczystego. Po chwili jednak jeszcze raz wziąłem je do ręki, przerzuciłem strony i pokazałem moim kolegom. Pokiwaliśmy głowami nad przewrotnością polityki ^{nad diabelskim sejnsem} i od razu przypomniał mi się nasz prelegent. Może w tym artykule przeczytał o hitlerowskim socjalizmie z przymiotnikiem narodowy?

Z niesmakiem opuszczamy czytelnik, dosyć mamy tego klubu. W drodze do tramwaju zagadała nas jakaś młoda para. Ona - wysoka brunetka, on - znacznie niższy, krępy, o energicznych ruchach. Poznali w nas "zapadników", i jak inni są ciekawi, jak było u kapitalistów. Zaproponowali, żeby do nich wstąpić "na czaj". Mówią, że blisko, obok przystanku pokazując piętrowy dom, w którym mieszkają. Zauważyłem, że aż nadto kontrastuje z okazałym gmachem Klubu Metalurgów, nie mówiąc już o teatrze. Chmielnicy nie wykazują ochoty; młodszy skarży się na jakieś dolegliwości, poszedłem więc sam.

Mały pokój, żelazne łóżko, ^{nocka} szafka - jak w moim "obszczeżitju". Na stole deska kreślarska, rulony rysunków, książki. Przedstawili się: - Budiem znakomij - Serioża i Natasza. - Se-

rioża kończy zaoczne studia, właśnie szykuje pracę dyplomową - mówi jego żona. Za szafkę odstawili deskę kreślarską, a ^{na} jej miejscu pojawił się samowar. Chwalą, że z Tuły, od babuszki dostali, a Serioża przerobił go na prąd. Zaspokajam ich ciekawość, jak potrafię, od razu prostując, że nie pochodzę z Białorusi. - Opowiadam o Polsce, wciąż o jednym i tym samym: O Rawie, Tomaszowie, o tym, co o Niemcach słyszałem w Białymstoku, o rozstrzeliwaniach, o wywóźce do obozów. O wojnie, jaka dotknęła nasz kraj, rozpętanej przez hitlerowców. Popijając herbatę z karmelkiem mówię oczywiście o tym, co widziałem dziś w czytelni, co miałem w ręku. Gospodarze zauważyli moje wzburzenie, gdyż nie sposób było tego ukryć.

Natasza, żeby rozładować nieprzyjemny nastrój, powiedziała po włosku: - Eto "salto mortale", nie takie rzeczy się dzieją. Pracuję w bibliotece - opowiada. - Z komitetu partii dostaliśmy portret jakiegoś ministra z poleceniem, aby powiesić obraz na ścianie w czytelni. Przesyłka z Moskwy szła dość długo, trochę zeszło, nim zdjęli stary i powiesili ten nowy. Aż tu nagle telefon: - Zdjąć ze ściany! Po jakimś czasie nadeszły nowe portrety. I tak w kółko.

- Serioża dodaje z uśmiechem. - Bez poł litra nie rozbieżosz. - Pijemy kolejną szklankę gorącej herbaty i lody całkiem topnieją.

Zmieniamy temat. Opowiadam, gdzie pracuję, jak trudno przyzwyczaić się do tutejszych mrozów i że mój brygadzista nazywa się Chajrulin. Okazuje się, że Serioża dobrze go zna. Przychodzi czasem do ich biura coś uzgodnić. Mówi o nim z uznaniem. - On dobrze pisze - dodaje z uśmiechem. Nie rozumiem, co to znaczy. Wkrótce sam się przekonałem, na czym to polega. Krótko

mówiąc - za pomocą ^(tzw.) długiego ołówka wykonuje się plan. Im więcej szczegółowych norm, tym łatwiej. Chajrulin podobno jest mistrzem w tej dziedzinie, ale na pewno nie jedynym.

Pożegnaliśmy się jak przyjaciele, z obietnicą ponownych odwiedzin. Jechałem do "obszczeżitia" w przekonaniu, że o Hitlerze mamy jednakowe zdanie. Przemówienie wodza Trzeciej Rzeszy w radzieckim czasopiśmie nie dawało mi jednak spokoju. Nie mogłem się z tym pogodzić. Kończył się wolny dzień, bardzo urozmaicony, ale dane mi było jeszcze posłuchać dyskusji o "progulach" i "progulszczykach". W Czerwonym Kąciku, w dość dużej grupie, o tym właśnie rozmawiano. Nie rozprawiali o etymologii słowa "progul" - obojętne, z czego się wywodzi. Z hulania, po którym ma się kaca, czy z przyjemnego spaceru. Efekt ten sam, to znaczy nie ma żadnego efektu. Nie ma pracy, mimo iż pracy w bród i starczy dla każdego.

W tym duchu mówi Tadeusz, tłumacząc istotę dekretu o "progulach". ^{Tak} dowodzi: - W kapitalizmie istnieje bicz bezrobocia, przymus ekonomiczny dla tych, co pracę znaleźli. Strach przed jej utratą powoduje dyscyplinę. Za bramą fabryk czekają bezrobotni. W socjalizmie takiego zjawiska nie ma i być nie może. Tu wszystko uregulowano normą prawną, i jak każde prawo należy je przestrzegać.

Plan) ^{(też} jest prawem, a gdy ktoś nie przychodzi do pracy, uniemożliwia wykonanie planu. Dlatego dekret prze-

widuje dla takich kary. Różne, począwszy od potrącenia z zarobków.

Gdy Tadeusz skończył, niektórzy przytakiwali. Ktoś dodał, że musi być porządek, a w tak wielkim kraju, takie dekrety są wręcz konieczne. Większość jednak nie zgadzała się z tym. Padały argumenty o ograniczaniu wolności, że człowiek staje się dodatkiem do planu, pozbawia się go prawa wyboru miejsca pracy i zamieszkania. Zainteresowała mnie filozoficzna uwaga Tadeusza: - Wolność to uświadomiona konieczność. Poszedłem sobie, aby w ci-szy rozważyć ten zawiły problem. Własne łóżko to najlepsze miejsce, ale zmorzył mnie sen i nie pamiętam, jak rozwiązałem dylemat - wolność a konieczność w aspekcie dekretu o "progulach". Przedtem znowu pomyślałem o przemówieniu Hitlera, wyłożonym w publicznym miejscu. Nie! Każdy uczciwy człowiek potraktuje to jak zadrę w zdrowym ciele.

W nocy przyśniła mi się Galina. Zalotnie się uśmiecha, przytupując do tańca walonkami. Ale nadjechała wielka limuzyna z odkrytym dachem i Galina uciekła. I wtedy ujrzałem sześcioro niemieckich oficerów ze skierowanymi w moją stronę pistoletami.

Jak w Rawie. Limuzyna zatrzymała się przed naszą budową, a ja - śmiertelnie przestraszony - skryłem się w dołku, z takim trudem wykutym w zmarzniętej ziemi. Od razu poznałem tego z przodu przy kierowcy, poznałem wąsik i włosy zaczesane na czoło. Trzymał w ręku znany mi z czytelnicy miesięcznik w szaroniebieskiej okładce, wymachiwał nim i głośno krzyczał. Oj, jak głośno krzyczał, po prostu wydzierał się niesamowicie, jak na Parteitagu w Norymberdze, transmitowanym w zeszłym roku przez radio. I teraz tak wrzeszczał, aż łóżko się trzęsło i chyba od tego się przebudziłem. Nie pamiętam, gdzie schowała się Galina.

NIEUDANA UCIECZKA

Pewnego dnia niespodziewanie zostaliśmy obywatelami Związku Radzieckiego. Bez żadnych formalności, starań z naszej strony, nie pytani nawet, czy wyrażamy zgodę na zmianę obywatelstwa. Po prostu wymieniono nam tymczasowe zaświadczenia - te, które mieliśmy za ledwie kilka tygodni - na stałe "pasporty". Tak nazywają się po rosyjsku dowody osobiste. W sztywnej czarnej okładce, jak dla wszystkich obywateli radzieckich (z wyjątkiem chłopów), z rubryką "narodowość", oraz według jakiego dokumentu wydano. W naszych napisali oczywiście "so słow", gdyż - jak już wspomniałem - polskich dokumentów się nie uznaje. Różnią się jednak od normalnych bardzo istotnym szczegółem. Znaczone są piętnem paragrafu nr 38.

Jak wiemy, nasi kułacy z budowy też mają "pasporty" z tym samym paragrafem. Zostaliśmy więc obywatelami drugiej kategorii. Może trzeciej - kto wie? Żadnych informacji na ten temat nie udzielono. Czy warto zastanawiać się nad tym? Warto, ale nie mamy na to żadnego wpływu, nie od nas zależy decyzja wyboru obywatelstwa, a tym bardziej, do jakiej kategorii zostaniemy zaszeregowani. W takich lub podobnych wypadkach mówi się: - "Nie razsużdat", naczałstwo łuczszje znajet" - co w wolnym tłumaczeniu oznacza: Nie mądrzyć się, kierownictwo lepiej wie, jak ma być. A gdyby ktoś szukał sprawiedliwości, to w tym duchu mają inne powiedzonko: "Moskwa daleko". Pozostaje więc tylko pogodzić się z faktem, jeśli chce się uniknąć zatargu z władzą.

Wygładziłem moje zmięte banknoty ze sprzedanej narzuty, włożyłem je do "pasportu" i schowałem do kieszeni. Cenny do-

kument niedługo tam spoczywał. Już po kilku dniach wyciągnęli w zatłoczonym tramwaju. Zgłaszam kradzież w milicji, spisują protokół. Naczelnik pyta, w jakich okolicznościach to się zdarzyło. Mówię, że był tłok w tramwaju, stałem na przednim pomoście, powstało zamieszanie i nagle poczułem, że nie mam dokumentu z pieniędzmi. Takie szczegóły nie są dla sprawy istotne, ważniejsze co innego: kiedy to się stało - konkretnie w jakim czasie. Mówię - zgodnie z prawdą - że jechałem sobie zwyczajnie do centrum. Nie "na robotu" i nie "s raboty". Po prostu się przewietrzyć. Naczelnik kiwa głową, jakby nie mógł sobie poradzić ze sporządzeniem protokołu. Dostałem nowy "pas-port", podpisuję protokół. Przeczytałem, że jechałem "na robotu". Niech mu będzie!

Najgorsze, że znowu nie mamna chleb. Widać Pan Bóg mnie ukarał za sprzedanie rodzinnej pamiątki. Żałuję, ale dzięki tej narzucie podjadłem sobie. Mamie o tym nie napiszą, a wujek zza oceanu nigdy się nie dowie. Pożyczam od jednego lub drugiego po rublu, aby przetrwać do wypłaty. Powinna być lada dzień, ostatniego dnia miesiąca, nigdy jednak nie wiadomo, kiedy będzie. A na budowie zaszła istotna zmiana. W nocy przyszła specjalna ekipa, założyli ładunki wybuchowe, które wyrwały sporą dziurę. Łatwiej teraz tę dziurę powiększać. W ruch poszły taczki, robota nabrała tempa. Na głębokości prawie dwóch metrów nie są już potrzebne oskardy, tam cieplej, można normalnie kopać sztychówką. Mokrą glinę ładuję na pomost, na nim stoi Galina i przezuca ją wyżej na następny pomost. Zgodnie współpracujemy, ale ja narzucam tempo. Urobek nie może leżeć, za chwilę zamarznie w jedną bryłę. Galina uśmiechnie się czasem z pomostu, poprawi zalotnie gruby wełniany szal i jak zawsze odsłoni na czole śnieżnobiałą chustkę sięgającą figlarnych oczu.

Może płótno pochodzi z łódzkiej fabryki Poznańskiego? Nie sądzę, za dużo czasu upłynęło. Kiedy Poznański przestał na eksporcie manufaktury zarabiać złote ruble, jej jeszcze na świecie nie było. Chociaż nie wykluczone, że chustkę mogła dostać od babki lub matki.

Muszę ją zapytać, czy jest panną, może poszłaby ze mną do kina? W Klubie "Stri^otelej" wyświetlają film "Czapajew"; we dwójkę całkiem inaczej się ogląda. Galina niczego sobie babka, kto wie, czy oparłbym się jej i nie zdradził idei powszechnej kolektywizacji; ocieszyć jedną biedną kułaczkę - niewielki grzech. Dancygier opowiada, że w jego brygadzie tak z niego pokpiwają: - Życ, pożywiosz, no nie zachocysz. - Nie wierzę, żeby aż tak źle było! Jak dotąd czuję się całkiem dobrze.

Nadal pogłębiał wykop pod fundament; pokazała się woda, a glina przybrała konsystencję papki. Galina w dalszym ciągu przerzuca ją na górny pomost. Przestała się jednak uśmiechać, nie ma lekko i nie do uśmiechów. Łopata ciężka, mokra glina przymarza, coraz trudniej unieść ją do góry. Nie dziwię się brakiem zainteresowania moją osobą. A zdawało mi się inaczej; widziałem już kułaczkę w miłosnym uścisku.

Nareszcie wypłata, dostałem 99 rubli i jakieś kopiejki. Aron, ten dowcipniś powiada, że zainkasował więcej niż dwa paragrafy. Ten zawsze się mądrzy, coś wymyśli. Lepiej porównać, ile chleba i obiadów z tego będzie. Liczymy, ale rachunek nie wypada korzystnie. Może należy się więcej, za mało wypłacili, dlaczego akurat taka kwota? Pytam Chajrulina, z czego to wynika, skąd taka dokładność - do kopiejki. Brygadzista pokazuje gruby cennik, w~~tręku~~ ołów~~ek~~ i powiada: - Łatwo sprawdzić

ile się należy, mogło być . . .
znacznie mniej, gdyby^m trzymał się ściśle cennika. Chajrulin pokazuje tabele. Dziesiątki pozycji, setki liczb w wierszach, kolumnach, według kategorii i cen za jednostkę wykonanej pracy. Wybrał^{em} pozycje najlepsze z możliwych - dodał konfidencjonalnie. - Wliczyłem nawet znaczną część tego, co zrobił wybuch ładunku dynamitu. - Najważniejsze, że plan został wykonany, pochwałę w dyrekcji. Ma rację, Serioza przecież mówił, że on "dobrze pisze". Chajrulin wspomniał jeszcze, że wydajność pracy musi stale wzrastać. Co jakiś czas otrzymują nowe normy, wyższe od poprzednich, ale tym nie warto się przejmować. Temu, co dobrze pracuje, krzywdy nie robi. Poklepał mnie po ramieniu i schował swój "długi ołówek".

W baraku wszyscy są rozczarowani zarobkami. Wielu dostało jeszcze mniej ode mnie, a ci, co pracowali przy odśnieżaniu - wręcz grosze. Przyszłość rysuje się ponuro, nie wystarczy na wyżywienie. Każdy liczy, ile kosztuje obiad, chleb, mnoży przez trzydzieści i wychodzi, że nawet na połowę miesiąca za mało pieniędzy. Jeden tak powiada: - Marks udowodnił w Kapita-le, że wartość siły roboczej określona jest wartośc^{ią} środków niezbędnych do utrzymania robotnika, do odtworzenia zużytych sił. My dostaliśmy znacznie mniej. - Widać, facet wykształcony, bo jeszcze mówił o wartości dodatkowej, o części nieopłaconej pracy, ale przerwali mu jego uczone wywody. Doszli do wniosku, że na zupę z chlebem wystarczy. Niezadowolone jednak pozostało. Inny powiada, że Stalin na pewno o tym nie wie, bo gdyby wiedział, byłoby inaczej. Moskwa jest przecież daleko.

Ja nie mam powodu do narzekania - poszczęściło mi się, trafiłem do dobrego brygadzysty, ale ogólny nastrój mnie się udzielił.

Pragnąłem podzielić się z bratem, w jakich żyję warunkach więc napisałem do niego list do Kowla. Coś mnie skusiło żeby ujawnić rozczarowanie, może nawet więcej. Na dowód przytoczyłem rachunek kosztów wyżywienia, cenę klopsika z kaszą i oczywiście ujemny bilans. Po dwóch tygodniach dostałem odpowiedź. Druzgocąca: - „Wymieniasz wielkie idee na małe klopsiki”. J przyjemna: - „Wysyłamy paczkę z wędzonym boczkim”.

Udało mu się z żoną pozostać na miejscu. Pracują w szkole, są nauczycielami. Zdaję sobie sprawę, że to wyraz dużego zaufania władz, przecież szkoła to wychowanie młodzieży.

Był też znamienity dopisek:

„Radzę tego rodzaju listów więcej nie pisać, będzie zdrowiej nie tylko dla Ciebie”. Zastanowiłem się nad tym. Wykazałem niewątpliwie słabość charakteru, uległem wpływom zasłyszanych rozmów, ludzi mało uświadomionych - malkontentów, którzy nie doceniają dobrodziejstwa pracy i dachu nad głową. Trudności są przejściowe, jak tylko minie zima, na pewno będzie lżej. Zawsze i wszędzie początki są trudne, trzeba wziąć się w garść.”

Ale co oznacza przestroga? Czy ktoś mógł przeczytać mój list? Czy prywatny list może być niebezpieczny? Chwilę pomyślałem nad tym. Przestroga musi jednak mieć uzasadnienie. Na pewno mają rację, muszą być jakieś ważne powody. Małe klopsiki, a tak duże problemy.

Któregoś dnia z domu nadeszła

paczka wraz z listem. Na wszystkim masa pieczęci ze znakiem swastyki; swastyką znaczone są również znaczki pocztowe, dodatkowo jeszcze z nadrukiem: Winter Hilfe. U nas - niedawno jeszcze - też była dobroczynna akcja, tzw. pomocy zimowej. Pamiętam, że przez radio nadawali koncert z dużej sali w Warszawie. Śpiewał Klepura, dochód przeznaczony był właśnie na pomoc zimową. Tę paczkę przysłali mi rodzice. Paradoksalne i nieprawdopodobne: z tomaszowskiego getta do Magnitogorska. Ale to fakt. Nie słyszałam, żeby jeszcze ktoś dostał paczkę z Generalnej Guberni lub z terenów przyłączonych do Rzeszy.

Poznałem charakterystyczne pismo Feli, z drżeniem rąk otwieram kopertę. W prawym rogu data: 1 III 1940 roku. Minęły ponad cztery miesiące, kiedy opuściłem rodzinny dom, a wydaje się, że znacznie więcej czasu upłynęło. Dowiaduję się, że przeprowadzili się na sąsiednią ulicę Cichą, do pokoiku w drewnianym domku państwa Weneckich, a oni zajęli nasze mieszkanie. Nie ma ani słowa o getcie, w którym już wówczas przebywali. W liście było wzruszające pytanie - kto ceruje mi skarpetki! Mój Boże, już dawno zapomniałam, że coś takiego istnieje. Być sytym i nie marznąć - oto, co teraz najważniejsze. Minęły czasy, kiedy dbało się o elegancki wygląd. Tu wydaje się to mało istotne, wręcz niepotrzebne, odbiegające od normy, nawet rażące. Zresztą skarpetki są mało przydatne, onuce są cieplejsze. Ale pytanie w liście ma inny wymiar, jest wyrazem matczynej troski, urasta do symbolu. I tak ^{to} przyjąłem.

W paczce była ciepła bielizna, koszule, wełniane skarpetki zrobione na drutach i spodnie przysłane kiedyś przez wujka z Ameryki. Z sąsiedniego łóżka pada uwaga: - Widocznie tam nie jest tak źle, skoro rzeczy przysyłają.

Zarabiamy mniej, niż potrzeba na skromne wyżywienie. Pomyslałem o palcie, które łatwo sprzedać. Kiedyś było przedmiotem dumy, sam je szyłem. Teraz leży przeważnie pod materacem i mało mnie interesuje. Sprzedałem je bez żalu za czterysta rubli, co wydawało mi się sumą zawrotną. Równowartość czterech moich pensji. Kupujący był bardzo zadowolony, podał mi rękę i szczerze powiedział: - Bolsze takowo palto nie kupisz. - Nie bez podstaw tak sądził.

Już połowa marca, a wiosny jeszcze nie widać - tyle tylko, że dzień dłuższy i zelżały mrozy - w dzień słupek rtęci nie spada poniżej 15 stopni. Robotna budowie posuwa się do przodu; wykopano już bardzo duży dół, nawet przystąpiono do szalowania.

Nadal)

kopię mokrą glinę, nabrałem wprawy, nie narzekam, ale na Galinę coraz rzadziej spoglądam. Co by nie powiedzieć - nie mam szans. Zresztą z ITK wrócił Jura, jej sympatia, który drwi sobie z moich załatów. Opowiada, że mieszka za dworcem na "posiołku", a jemu i jego ziomkom całkiem nieźle się powodzi. On ma własne kartofle, kozę, niektórzy nawet krowy trzymają. Po drugiej stronie rzeki, jak okiem sięgnąć - niezmierny step z urodzajną ziemią. Siano też ze stepu przynoszą. Ziemi dużo, każdy może wziąć, ile tylko potrafi sam ręcznie obrobić. Z tego, co on opowiada, wynika, iż działka jest podstawowym źródłem utrzymania bardzo wielu rodzin, a zarobki są tylko dodatkiem, pracę zaś wykonują z obowiązku. Byli chłopcy nieźle sobie radzą; znacznie lepiej od innych. I nie dziwię się ich kondycji fizycznej. Zdziwiłem się czymś innym: figuruję na tablicy przodowników pracy. W zeszłym miesiącu obok liczby 120 procent, a w tym już - 140 procent, Coraz lepiej! Widocznie Chajrulin stara się nie gorzej ode mnie.

Tymczasem w baraku nastroje coraz gorsze. Wieczorami, jak zwykle przesiadujemy na łózkach i w gromadkach stale powtarza się ten sam temat: warszawiacy opowiadają o sklepie Pakulskiego, o sklepie Braci Jabłkowskich, co kupowali, a zwłaszcza co jedli w domu. O tym rozprawiają tak obrazowo, jakby delektowali się smakiem. Ciągłe mówi się o jabłkach, których tu oczywiście nie widać. Warzywa też należą do rzadkości, a kapusta w naszym "szczy" to zielone liście. W domu samemu się szatkowało i kisilo w beczce na zimę. Była bielutka; na wspomnienie jej kwaśnego smaku leci ślinka. Obsesyjnie wracamy każdego wieczoru do tego samego motywu, zwłaszcza jadła zaprawianego cebulką i czosnkiem. Ogarnia nas coś w rodzaju zbiorowej halucynacji, jakby wyobraźnia chciała skompensować istniejące braki. Co tu ukrywać - panuje rozczarowanie, bo przecież w tak bogatym kraju "wszystko powinno być".

Nagle zaprzestano rozprawiać o obfitości wszelakiego dobra w kapitalistycznej Polsce, pojawił się bowiem nowy temat: Komentowano ile na sali pustych łóżek, kto dziś wyjechał, kto będzie następny. Duch ucieczki krąży w powietrzu, dociera do wszystkich i tylko o tym się teraz mówi, jedyna rozmowa w baraku. Jedni pochwalają ucieczkę z Mągnitogorska, inni ganią. Do tych ostatnich i Szymon należał. Wczoraj jeszcze mówił o dezercji, o zerwaniu kontraktu, o zagarnięciu odzieży zimowej. Dziś jednak zmienił zdanie, skoro mi się zwierzył, że i jego łóżko już jutro pozostanie puste.

- A co z kontraktem? - spytałem Szymona. W odpowiedzi zmrużył jedno oko, co mogło tylko oznaczać niewiarę w podpisany w Białymstoku papier. Natomiast jasno przedstawił swój zamiar.

- Pojadę do miasta, znanego z przemysłu włókienniczego - do Iwano^{wo}-Wozniesieńska; w swoim zawodzie mam nadzieję zarobić na utrzymanie, a na pewno skończę z kuciem kilofem na mrozie. Żałuję, że wcześniej nie wyjechałem, bo jeszcze dwa tygodnie temu władze nie bardzo tym się interesowały - teraz widać zmianę. Są przypadki, że tajniacy wyprowadzają z pociągu. Nic nie mówią, nikogo nie aresztują, tylko każą czekać, aż pociąg odjedzie. Niektórzy po kilka razy próbują, aż się uda. I ja muszę spróbować - dodał ściszywszy głos.

Nazajutrz wieczorem Szymon zabrał swój węzelek i poszedł na dworzec. Odprowadziłem go. Takich jak on było kilkunastu. Jedni rozsiedli się w wagonie i tych od razu wyprowadzili, inni czekali z wejściem do pociągu, aż rozlegnie się gwizdek naczelnika stacji. Szymon wybrał odpowiedni moment; widziałem, jak szybko wskoczył na stopnie i zaraz zniknął za drzwiami ubikacji. Tego dnia pojechało tylko kilku. Reszta wróciła, by następnego wieczoru ponowić próbę. Powinno się udać, niczym nie ryzykują, nikomu nie grożą za próbę ucieczki, za naruszenie przepisów.

Przy przechodzeniu granicy koło Małkini przynajmniej mówili:

- Dawaj nazad. - Tu cisza, każą tylko zaczekać, aż odjedzie pociąg.

Ja nie mam zamiaru nigdzie się ruszać. Dancygier i Kowadło też nie myślą o wyjeździe. Powiadają, że nie ma sensu na nowo zaczynać tułaczki. Tutaj też w końcu nadejdzie wiosna i będzie

lżej. Magnitogorsk ma na pewno priorytet w zarobkach i w zaopatrzaniu, przecież to oczko w głowie - sam Stalin nad tym czuwa, tu wykuwa się przyszłą potęgę Związku Radzieckiego. Na ich postanowieniu mogło zaważyć jeszcze co innego. Dancygier otrzymał list od rodziców. Nie był wysłany z ich miasta, lecz z jakiegoś Majdanka. Napisali, że wszyscy Żydzi zostali z Włocławka tam wywiezieni. Kowadło ma najgorsze przeczucie, a Ewa już postanowiła nigdzie nie jechać. Nikt nie wiedział, gdzie znajduje się Majdanek, nie wiedzieli, że przejdzie on do historii, tak jak Treblinka. Do historii ludobójstwa.

Ewa dostała kiepską pracę; na trzy zmiany i marnie płacną. Przekłada zwrotnicę w rejonie wielkich pieców. Praca ciężka i niebezpieczna. Stale manewrują wagony, na których są tygle z płynnym żeliwem. Przy nagłym zahamowaniu zdarza się, że chluśnie ognista lawa. Mimo to postanowiła zostać.

W baraku jakoś ucichły rozmowy o wyjazdach, ale wciąż coraz to inne łóżko pozostaje wolne. Przestałem się tym interesować. Po pracy zająłem się czytaniem. Po rosyjsku już rozmawiam używając prostych słów, ale dotąd nic nie czytałem. Kupiłem więc gazetę i zabrałem się do nauki. Trudność sprawia jeszcze przyswojenie alfabetu. Wciąż myślę łacińskie litery, które w języku rosyjskim znaczą co innego. Litery H nie ma i Hitler nazywa się Gitler. Najlepiej, żeby w ogóle się nie nazywał. Żydzi jak chcą kogoś dosadnie przekląć, ^{to} tak mówią: "Oby dziecko jego imieniem nazwali!" /czyli po śmierci/

Gazetę "Magnitogorski Raboczijskij" czyta się dość łatwo. Słownictwo proste, problematyka na ogół znana - współzawodnictwo pracy, doniesienia o nowych rekordach wydobywania węgla, o zobowiązaniach przekroczenia planów. Na pierwszej stronie artykuł z "Prawdy" o aktualnej polityce partii, cy-

taty wypowiedzi Stalina. Reszta strony pierwszej i dwie następne poświęcone są listom do Stalina. Wiele załóg informuje wodza o swoich sukcesach, zobowiązuje się jeszcze lepiej pracować. Gazeta jest ilustrowana portretami przodowników pracy na tle spustu stali z pieca martenowskiego lub wznoszonych budowli. Są także zdjęcia o siewach na południu kraju, uśmiechniętych traktorzystek. Jak ulał do moich wyobrażeń o sukcesach budowniczych socjalizmu; tych wyobrażeń zrodzonych przed laty wśród zieleni nad Pilicą.

Podszedł Tadeusz i rzucił od niechcienia: - Co nowego w gazecie? Chyba to samo, co wczoraj i tydzień temu -

nie kryjąc przy tym grymasu twarzy. Po chwili dodał przyjaznym tonem: - Miejscowi też nie wykazują zainteresowania prasą, czytaniem gazet. Owszem, ludzie kupują, ale głównie do innych celów, przeważnie na skręty do machorki.

Najważniejsze, że minęły ostre mrozy, przyzwyczailem się do fizycznej pracy, lepiej się odżywiam. Mam jeszcze pieniądze za sprzedane palto, więc czasem zaglądam do bufetu na dworcu. Można tu dostać omlet, nawet pierożki. Zdaję sobie sprawę, że przy tak rozrzutnym trybie życia pieniędzy na długo nie starczy. Co jednak robić, praca ciężka - nie można żyć tylko wspominkami.

o tym, co jadło

się kiedyś w domu. Taka rozmowa tylko rozdrażnia. Ciągłe ten sam refren: o smażonej wątróbce z cebulką, o marynowanym śledziu, szczypiorku i wielu innych, smacznych rzeczach. Jeden wspomniał nawet o kromce podpieczonego chleba, natartego zębkiem czosnku. Bez granic jest ludzka fantazja. Wszystkim zachciało się cebuli i czosnku. Nic dziwnego, sam do tych wspomnień dorzuciłem plasterki gęsiej kiełbasy o czosnkowym smaku. Rozbra^{nia}nia na ten temat zawsze pozostawia osad nie spełnionych marzeń. Co gorsza - utwierdza w przekonaniu, że w Magnitogorsku tych domowych wspaniałości chyba nigdy nie będzie. Postanowiłem zerwać z grupowym podniecaniem się, nie będę w takich rozmowach uczestniczył!

Pojechałem do klubu "Stratelej", chciałem zapomnieć o szarej codzienności. W klubie mało ludzi, ktoś gra na harmonii, poza tym nic szczególnego. W kinie wyświetlają film "Czapajew", ten sam, który już dawno chciałem zobaczyć. Kupiłem bilet, kasjerka jakoś długo odlicza kopiejki, ślizgając wzrokiem po obcej twarzy. I ja na nią popatrzyłem. Niczym nie przypominała pani Berenstein z kina "Odeon", która - jak wiadomo - była bardzo elegancka, *nie tylko w okienku kasy. Podziwiałem ją kiedyś na ulicy Jeruzolimskiej. Ta niczym się nie wyróżnia; w fufajce jest podobna do wielu innych.* Musiałem jednak ją zainteresować, skoro mi się przygląda.

Z zachwytem oglądam film. Legendarny dowódca cwałuje na koniu i gromi białe wojska kontrrewolucji. Samorodny talent. Plan dowodzenia pułkami układa za pomocą kartofli. Niestety, ginie w nurtach Uralu. Gdy wychodziłem z kina, kasjerka jakby na mnie czekała. Zapytała, jak mi się film podobał, wymieniliśmy kilka zdań, po czym podała mi rękę. Usłyszałem, że na-

zywa się Marusia i jeśli mam ochotę, możemy wyjść razem, bo pracę już skończyła. Dawniej spacerowałem z dziewczyną. Zadowolony z przypadkowej znajomości kątem oka zerkam na Marusię. Ona też przygląda się chłopakowi z zagranicy. Podoba mi się, ale daleko jej do subtelnej urody Ewy. Odprowadzam ją do domu, mijamy wielki dom z napisem "Atelie Mod" i rozpoczynam rozmowę właśnie od mody. Nie jest w tej materii zorientowana - co więcej, nie wie, co to w ogóle znaczy. Długo tłumaczę na czym polega moda używając różnych porównań. Wreszcie mówię, żeby sobie wyobraziła suknię całkiem jeszcze dobrą, nie znoszoną, w którą nie ubiera się, gdyż przestała być - no właśnie - modną. Nie potrafiła tego pojąć, dałem więc spokój.

Następnego dnia w niedzielę - też poszedłem do klubu ^{i znowu} /odprowadziłem Marusię. Powiedziała, że rodzice zapraszają, chcą mnie poznać, chętnie porozmawiają z takim, który przyjechał z Zachodu. Już blisko Socgorod, ale budynki wciąż podobne do baraków, tyle że piętrowe, pomalowane kiedyś na żółto. Na piętrze duży pokój, piec połączony z kuchnią, w rogu przyzma kartofli. Tegoroczne zbiory z działki. Rodzice i młodszy od Marusi o kilka lat Saszka, są wyraźnie uradowani niecodziennym gościem. Na stole przestała trzeszczyć niewielka skrzyneczka nie całkiem jeszcze zmontowana. Nie przypuszczałem, że tajemnice radia mogą być dostępne dla młodego chłopca. W Tomaszowie tego nie widziałem. Lamy i śrubki znikają, a na ich miejsce pojawia się talerz z zupą. Barszcz ukraiński z mięsem łaskocze podniebienie; potem herbata z karmelkiem, druga i trzecia. Rozmowa staje się raczej monologiem, to ja opowiadam o moim rodzinnym domu, o wojnie i jej skutkach. Gospodarz domu czasem tylko ożywi zmartwioną twarz. Wydaje się czymś zakłopotany. Tym przypomina mojego ojca, który stale się martwił brakiem pracy. Ojciec Marusi - majster

w walcowni - nie powinien mieć tego rodzaju zmartwień. Ma przecież stałą pracę i prestiżowe stanowisko. Natomiast matka wzdycha i z zainteresowaniem słucha o czym mówię. Widziałem łzy w jej oczach. Rozmowa urwała ^{się} w samą porę. Saszka zdjął bałajkę ze ściany i na prośbę siostry rozweselił towarzystwo, zmienił nastrój. Ładnie grał i śpiewał, a jedną zwrotkę z piosenki zapamiętałem:

Pomniat psy atamany,

Pomniat polskie peny

Konarmiejskie naszi klinki.

Sospodarz, spojrzawszy w moją stronę, zauważył grymas na twarzy, więc żeby rozładować przykre wrażenie, obrócił to w żart: - Jaki z niego pan? U nich wszystko zaczyna się na pan. Zamiast powiedzieć zwyczajnie tufel, mówią pantufel. - Uśmie- / ałem się serdecznie. Język polski nie był mu obcy, tak jak wojna domowa. Pochwalił się, że w 1920 roku był pod Lwcowem z armią Budionnego.

Jeszcze raz spotkałem się z Marusią. Odprowadziłem ją do domu i w ciemnym zakamarku korytarza ściskaliśmy się. Ona chichotała, a i mnie było przyjemnie. Tylko jak wracałem do "obszczeżitia", zdawało mi się, że zdradzam Ewę. Miałem nadzieję, że kiedyś będzie moja na zawsze.

Któregoś dnia, na początku kwietnia, w baraku zjawił się Chmielnicki. Wiesz - powiada - jutro zamierzam stąd wyjechać, pojedę na Ukrainę. A brat? Brat na razie zostaje w Magnitogorsku, a jak tylko się urządzę na nowym miejscu, on do mnie przyjedzie. Chmielnicki wyciąga rękę na pożegnanie. Puste łóżka przypominały o naszej ósemce z budowy, z której tylko trzech zostało, zazdrościłem mu, że pozbędzie się długiej zimy, nie będzie kuć zmarzniętej ziemi, wkrótce ujrzy wiosenną zieleń, i nieoczekiwanie podjąłem decyzję wyjazdu. Pojadę z nim. Zaskoczony moim

nagłym postanowieniem, zapytał drwiąco: - Masz już dosyć budowy przemysłu stalowego? - Nic nie odpowiedziałem, poprosiłem tylko, żeby po mnie wstąpił, pójdziemy razem na dworzec. Sam ^ybyłem zdziwiony nagłą decyzją, nawet o Ewie nie pomyślałem. Rano nie poszedłem do pracy i jak tylko zjawili się Chmielnicy, zabrałem węzełek i bez żalu opuściłem barak. Wczoraj o tej porze nie przypuszczałem, że dziś w jakiejś mierze zostanę dezertorem. Żegnajcie wielkie piece Magnitogorska!

Za drutami cisza, więźniowie nie powrócili jeszcze z pracy, pada śnieg, jakby zima miała dopiero się rozpocząć. Na Ukrainie już na pewno ciepło, niedługo zakwitną sady. Najpierw czereśnie, później jabłonie. Tak rozmyślałem aż do dworca. I na peronie przy świszczącej parą lokomotywie, która wkrótce wyruszy w drogę do Czelabińska.

Rozglądam się, ilu przyszło naszych. Widzę zaledwie kilku - widocznie ci, co mieli wyjechać, zrobili to wcześniej. Niewiele myśląc wsiadamy do pociągu i zajmujemy miejsca w otwartym przedziale. Już po paru minutach ktoś w białym kożuszkach kazał nam wyjść z nim na peron. Pociąg odjechał, podszedł jeszcze jakiś cywil, o czymś porozmawiali, a my wracamy w stronę miasta. Ale oni idą za nami - w stałej, dość bliskiej odległości. Chmielnicki postanowił oderwać się od nich: gwałtownie skręcił w lewo i zaczął uciekać. Pobiegli za nim. Skorzystałem z tego i niezbyt szybko oddaliłem się w prawą stronę. Wkrótce obu nas zaprowadzili do pobliskiego posterunku milicji. Sprawdzili zawartość naszych węzełków, czy nie ma rzeczy skradzionych, a ten w cywilu - niewiele starszy ode

mnie - zaczął głośno komentować próbę naszego wyjazdu: - Wa-
żęszą się bez celu, podróży im się zachciało! - I dalej w
tym duchu coraz bardziej podnosił głos. Widocznie był zły, bo
musiał nas gonić, ale także dumny, że nas złapał. Chmielnicki
nic nie mówi, tylko potulnie wciągnął głowę w ramiona. A we
mnie, nie wiadomo czemu, nagle wstąpił duch przekory, i co
gorsza - sam się zdziwiłem - przyjąłem jakąś nienaturalną po-
stawę. - Czego na mnie krzyczysz! - powiedziałem jeszcze głoś-
niej od niego. - Przybyłem do wolnego kraju, chcę zmienić miejsce
zamieszkania i nie widzę w tym nic złego! - Niestety, na tym
nie poprzestałem. Młodego cywila zdziwił mój tupet, wydawał
się tym zaskoczony, i mylnie oceniłem, iż zaimponowałem mu
śmiałością. Poszedłem więc "za ciosem", nie zniżając tonu po-
wiedziałem: - Wiesz, kim ja jestem? - *Zwolennikiem komunizmu,*
← zawsze broniłem Związku Radzieckiego!
- I jeszcze coś w tym duchu głośno mówiłem. Nagle mi przer-
wał stanowczym głosem: - Nie kriczy! - Gdy pogroził palcem,
otrzeźwiałem. Drwiąco się uśmiechnął, jak na kiepskim przed-
stawieniu, i nagłym ruchem wziął słuchawkę do ręki. Nim wy-
kręcił numer, usłyszałem, jak do Chmielnickiego powiedział: -
Idi damoj! - Mnie zaś złym spojrzem^{em} wskazał oddzielny pokój.
Zostałem sam i pomyślałem, że skończyła się zabawa w bona-
tera. Kolegę zwolnił, a na mnie się zemści. Wkrótce zostałem
wezwany. Usiadłem przy stole, na którym leżała kartka papieru.
Mam pisać życiorys. On też wziął ołówek do ręki. Wreszcie cał-
kiem oprzytomiałem. Piszę i tak sobie myślę: - *Ale ze mnie btazen.*

← Mój cywil
też skończył pisanie. Przypiął swoją kartkę do mojej i włożył
obie do papierowej teczki. Nic nie mówi, o nic nie pyta.

Po godzinie zawieźli do aresztu. Najpierw prowadzili w dół po

schodkach, potem po ~~krętych~~ korytarzach, ^{wreszcie} znalazłem się w pojedynce. Co za ironia losu! W Polsce chwiliwą władzę Kraju Rad, a ta posadziła. Nie strach przed wyrokiem i więzieniem, ale wstyd nie dawał mi spokoju. Właśnie wstyd.

Rano była wizytacja, jakby obchód w szpitalu, tylko bez białych kitli i badań. Wojskowy informował zwięźle starszego rangą w eleganckim uniformie, ten pokiwał głową i przeszli dalej. Po dwóch dniach zawieźli do ogromnego więzienia, gdzieś za miastem. Pieniądze zdeponowali, rzeczy mam ze sobą.

W obszernej celi ponad dwadzieścia osób; położyłem na chwilę węzełek i rozejrzałem się za wolnym łóżkiem. Są takie same jak w "obszczeżitju", z materacami, tylko bez prześcieradeł. Ale moich rzeczy już nie było. Szkoda skarpet, ^(szkoda) koszul wysłanych z domu. Nie usiłuję nawet dojść, kto ukradł.

Wbrew przypuszczeniu nie była to złodziejska cela. Takich przestępców było czterech lub pięciu. Pozostali to ludzie stateczni, згомплоножени. Jeden siedzi za jakąś awarię; nie dopilnował czegoś. Inny za pożar w pakam/erze na budowie, jeszcze inny za wykolejenie wagonów, za powstałe straty. Zgodnie powiadają, że ktoś musi przecież odpowiadać, ponieść karę. Ze wszystkimi żyję w zgodzie, a jednego złodziejaska próbuję nawet nawrócić na drogę cnoty. Przekonuję, że jak nadal będzie kradł, wpadnie znowu do więzienia. Wielokrotny recydywista na moje argumenty odpowiada rozbrajająco szczerze: - W każdej pracy zdarzają się wypadki, na budowie nawet śmiertelne. - Dałem spokój. Bliższą znajomość zawarłem z pewnym księgowym. Był rozmowny i nie ukrywał, że w tym fachu łatwo o duże pieniądze.

W więzieniu nauczyłem się czytać i przyznaję, że byłem pod urokiem Pawki Korczagina - bohatera powieści Nikołaja Ostrow-

skiego Jak hartowała się stal. Wieczorem ktoś improwizuje własną powieść "w odcinkach". Żywo opowiada, a przed snem, w najciekawszym miejscu, kończy słowami: - Ciąg dalszy nastąpi.

Wielu interesujących ludzi wtedy poznałem. Z różnych środowisk, z różnych stron wielkiego kraju: z Dalekiego Wschodu, z Kaukazu, Syberii. Na początku lat trzydziestych panował głód i ludzie rozjeżdżali się na wielkie budowy, gdzie "dawali" chleb. Tak znaleźli się w Magnitogorsku. Tu, w więzieniu nie ma głodu, chociaż racje żywnościowe nader skromne. Można jednak, co jakiś czas coś dokupić na podstawie "wypiski" z depozytu. Jak widać, nie narzekam na warunki więzienne. Gdyby nie ten wstyd. Posadzili przecież przyjaciele, i tylko mnie, bo o innych nie słyszałem.

Dwa razy byłem na przesłuchaniu i znowu powtarzałem życiorys, ale ku mojemu zaskoczeniu śledczy nie wspomniał o moich sympatiach politycznych. Zdawkowe pytania dotyczą celu niedoszłej podróży. To wszystko. Sam byłem zdziwiony obrotem sprawy. Czyżby młody cywil nie napisał, czym się chwaliłem? A może minął czas polowania na ^{szpiegów} polskich i teraz nastał okres ochronny? Natasza mówiła przecież, że bywają tutaj nieoczekiwane zmiany, takie "salto mortale".

W połowie czerwca na "spacerze" zauważyłem, że już nie ma zimy, całkiem ciepło. Widziałem nawet zieloną trawkę i

pierwsze żółte kwiatki zwane u nas mleczem. Zateęskniłem za wolnością. W piękny słoneczny dzień zawieziono mnie do sądu na rozprawę. W ciasnym baraku odczytano akt oskarżenia, z czego wynikało, iż miałem zamiar zostać włóczęgą, ale milicja przeszkodziła temu. Dostałem pół roku więzienia z zaliczeniem odbytej kary w stosunku dwa do jednego. W baraku przez zakratowane okno przyglądam się zieleni; skąpej wprawdzie, ale autentycznej zieleni. Mój Boże - o tej porze już dawno kąpałem się w Pilicy. Tu wiosny nie było, od razu lato, choć kwiatki przed więzieniem przypominają tamtą porę roku.

Po kilku dniach odebrałem depozyt i już za bramą natknąłem się na samego naczelnika. Spytał, czy mnie ktoś z więźniów nie skrzywdził, czy mam jakąś skargę na administrację. Nie, wszystko było w porządku, ale nagle mi się przypomniało, że pierwszego dnia ktoś ukradł moje rzeczy. Gdy powiedziałem mu o tym, nie zdziwił się, tylko brwi uniosły się do góry, zmierzył mnie od stóp do głów, ^(i w kącikach ust zjawił się uśmiešek!) kazał zaczekać i zniknął za bramą. Wkrótce zjawił się z moim węzełkiem. Aż trudno uwierzyć w taką sprawność służby więziennej. Tak szybko znaleźli, i - co dziwniejsze - niczego nie brakowało. Obaj byliśmy zadowoleni, choć oczywiście z różnych powodów. Podał mi rękę i gestem ojcowskiej przestrogi powiedział: - Więcej tu nie wracaj!

W radzieckim więzieniu przesiedziałem trzy miesiące i nic złego nie mogę o nim powiedzieć; jeżeli o celi ze śmierdzącą paraszą wolno się tak wyrazić, jeżeli o zamkniętej w czterech ścianach przestrzeni i skrawku nieba nad koszem za kratą można tak mówić. Można, bo złe czasy miały dopiero nadejść. Na wolności w latach wojny.

Pojechałem na drugi koniec miasta do swoich w "obszczeżitju" wiedząc, że formalnie nie mam prawa tam mieszkać.

Tylko pracujący dostaje łóżko i nocną szafkę. Po prostu nie miałem wyboru.

Z tramwaju, wzdłuż znanej mi szosy, spoglądam na kombinat; naten sam miloch, który trzy miesiące temu był w zimowej szacie. Nadal z budynku elektrowni dymią niskie stalowe kominy, z koksowni co jakiś czas unoszą się takie same kłęby pary. Tylko na tle kopiastych hałd węgla kumulusy wydają się bielsze. Ale tak samo jak zimą rząd kominów wzdłuż pieców martenowskich akcentuje panoramę miasta, a z rejonu wielkich pieców bez przerwy suną obłoki rdzawego pyłu.

Za rzeką widać Europę - zielony step, rozległy aż po horyzont, obramowany daleko łagodnymi szczytami gór. Między górami wyłania się czerwona tarcza słońca, jakby zastanawiała się, czy skryć się za stepem, czy podążyć dalej na zachód, gdzie jest mój dom. Raczej był. Teraz tam samo południe. Bzy już zapewne przykwitły, ale w parku tuż za oknem pachnie jaśminem. Nie. Tak było dawniej, zeszłej wiosny. Z domu przy parku wróg wyrzucił. I tak spoglądając na zachodzące słońce myślami wróciłem do Tomaszowa, do mojego rodzinnego miasta. Nagle ten obraz zasłonił jakże inny. Tutejszy. Z lewej strony kombinat, z prawej nikła zieleń żywopłotu widoczna tylko w dzielnicy Socgorod wokół gmachu Klubu Metalurgów. W mieszkalnej części miasta, wzdłuż głównej szosy, ani jednego drzewka, nic, co by kołło oko tak stęskione widoku zielonego koloru. Wszędzie szare baraki ustawione, jak kompanie wojska na wielkiej defiladzie, gotowe do wymarszu w stronę wielkiej huty. Dalej naturalna góra rudy, której starczy na sto lat.

Wreszcie mój przystanek. Widać już wieże wartownicze i druty Wychowawczej Kolonii Pracy. Do obozu wraca właśnie

~~W~~ oddział więźniów, prowadzony przez apatycznych strażników i rosłych energicznych brygadzystów. Nic się nie zmieniło, może tylko odzież inna - letnie kachmany. Wracają również moi koledzy z "obszczeżitja", których jak i mnie zaskoczyła wiadomość, iż nikt nie będzie tu nocował. Wydali decyzję opuszczenia wszystkich baraków przyległych do obozu. Chyba znowu przesuną druty tak, jak było do naszego przyjazdu. Mamy się przenieść do nowego lokum o dziwnej nazwie-Chimlaboratorium. Nikt nie rozumie, co ta nazwa oznacza, poza skojarzeniem chemii i laboratorium. Na szczęście nic z tych rzeczy, to tylko dawna nazwa budynku, w którym według projektu miało być laboratorium chemiczne huty. Widocznie coś się zmieniło, może aparatury nie dostarczono lub na skromniejszą skalę laboratorium urządzono gdzie indziej. Tak czy owak część pomieszczeń dopiero teraz wykończono i oddano do zamieszkania dla "zapadników". Nie na długo. Po pół roku znowu wróciliśmy do baraków, z tym że znacznie gorszych niż poprzednie, daleko za miastem, bez dyżurnej i Czerwonego Kącika. Teraz jednak pokoje pachną świeżością; dla każdego standardowa żelazna койка i tumboczka. Pełny komfort, z centralnym ogrzewaniem, umywalką i nawet ubi- kacją na korytarzu.

Dołączam do moich kolegów, zająłem wolne łóżko jako osiem- ^{w pokoju} nasty i już mieszkam. W tym rozgardiaszu nikt nie byłby w stanie sprawdzić, czy mam do tego prawo. Sam uważam się za upraw- nionego, przecież zacznę wkrótce pracować. Już nawet wiem gdzie.

W więzieniu poznałem autentycznego "zapadnika"; nazywał się Poliszczuk, pochodził z Łucka, ale nie wiem, co go tu przygnało. Nie wiem nawet, za co siedział. Wyglądał na zło- dziejaszka, chociaż do tego się nie przyznawał. Mówił, że pra-

cował w warsztatach kolejowych jako tokarz, że tu zdążył się już nauczyć tego zawodu. Nikła część z tego, co powiedział, okazała się prawdziwa, tylko tyle, że tam pracował, ale w charakterze czyściciela kotłów. Najważniejsze, że dzięki

niemu ziściło się moje marzenie i zostałem tokarzem. Szkoda, że tylko rok pracowałem w zawodzie o tak dużym prestiżu

Napaść Niemców na Związek Radziecki spowodowała ogromne spustoszenie, wiele rzeczy obróciła wniwecz. Również taki drobiazg jak mój nowy zawód.

Wróćmy jednak do naszego Chimlaboratorium, w którym mieszka kilkuset "zapadników", gdzie wiele interesujących rzeczy można się dowiedzieć. W ciągu trzech miesięcy - w czasie kiedy siedziałem w więzieniu - prawie wszyscy rzemieślnicy przestali pracować na budowie. Doceniono w końcu ich kwalifikacje zawodowe, zwłaszcza krawców, których zalicza się tu do elity.

Przy wielu przedsiębiorstwach powstały warsztaty, jako gospodarstwa pomocnicze świadczące usługi dla swoich pracowników, a patronowały temu związki zawodowe. Jednakże przy tak wielkim zapotrzebowaniu na usługi tylko kierownictwo miało szansę z tych usług korzystać. "Naczalstwo" było więc tym osobiście zainteresowane. Niektórych specjalistów zatrudnili w biurach; zdarzało się nawet na średnich stanowiskach kierowniczych. Oczywiście nie od razu.

Ja myślę o znalezieniu warsztatów kolejowych, odszukaniu kolegów, o spotkaniu Ewy. Powinna tu być. Tego dnia nie widziałem jej, natomiast ktoś mi powiedział, że mój partner od niedosłej ucieczki od dawną jest na Ukrainie. Zazdroszczę mu. Jest tam, dokąd podążało zachodzące słońce, bliżej domu. Niestety, listy z domu przestały nadchodzić.

C y n g a

Portiernia przy wysokim murze okalającym kombinat, jednora-
zowa przepustka zezwalająca na wejście. Przede mną rozległy te-
ren parowozowni poprzecinany torami kolejowymi. Dziesiątki pa-
rowozów, setki wagonów, warsztaty naprawcze. W głębi duża hala
"mechaniczekowo cecha", którą wskazuje ręką wartownik. Poszed-
łem w tamtym kierunku, zajrzałem do środka. Ustawione rzędem
tokarki, przy nich ludzie, masa strużyn i pełno gotowych części
do parowozów. Obok hali niewielka przybudówka. Tu mieści się biu-
ro; na pierwszym piętrze gabinet naczelnika, do którego wchodzi
się przez sekretariat. - Proszę wejść, towarzysz Matwiejew przyj-
muje - powiedziała sekretarka. Stałem przed biurkiem, przed
człowiekiem w kolejarskim mundurze. Podał rękę, kazał usiąść
i życzliwie mi się przygląda. Nie miał wątpliwości, w
jakim celu przyszedłem. Coś nieskładnie bąkam, coś mówię o za-
miarze zostania tokarzem, ale zamiast odpowiedzi - ciepły, ła-
godny uśmiech. Czuję, że przypadłem mu do gustu, a co najmniej
mogę liczyć na życzliwość. Jego ojcowskie spojrzenie może ozna-
czać tylko jedno: chęć przyjscia z pomocą młodemu człowiekowi,
który znalazł się w obcym mieście, daleko od rodzinnych stron.
On nie ma złudzeń, kim jestem: uciekinierem z Polski, ofiarą hitle-
rowskiego ^{najazdu.} Pierwszy to przypadek i nic dziwnego, że mnie wzruszył.

- Czy sam przyjechałeś, czy masz tu rodziców? - padło pyta-
nie. - Widocznie wiedział, jaka będzie odpowiedź, skoro od razu
dorzucił: - A z czego będziesz żył? Uczeń dostaje tylko dziewięć-
dziesiąt rubli na miesiąc, nie starczy na wyżywienie. Chwilę później

zjawił się starszy człowiek, ^(w dwadzieścia sekund na ręce) któremu stanowczym głosem powiedział: - Iwanie Sergiejewiczu, ten chłopak będzie u nas uczniem w "mechanicznym cechu", a w przyszłości zatrudnimy jako tokarza. Proszę przyjąć go do pracy z pensją dwieście dziewięć rubli, tak jak przewiduje tabela dla pracownika fizycznego na placu. - Urzędnik skwitował polecenie naczelnika krótkim: - Poniał - z czego wynika, że nie może być dyskusji, a tym bardziej sprzeciwu. Wszystko będzie tak, jak sobie życzy szef. Naczelnik wstał z biurka zadowolony z siebie, jak każdy, kto spełnia dobry uczynek, uścisnął mocno rękę i krótko powiedział: - Jutro rano należy zgłosić się do majstra. Nazywa się Kuzniecowa. Życzę powodzenia - usłyszałem już w drzwiach.

W dziale zatrudnienia kazali napisać podanie, a także życiorys. Pierwszy raz w życiu, ale nie ostatni pisałem na... tapecie. Cóż, papier ~~rzecz~~ deficytowy, trzeba go oszczędzać na ważniejsze cele. Wzorek był delikatny na białoczerwonym tle; bardzo ładny. Jak się zdaje, również ładnie napisałem podanie po rosyjsku. Przydała mi się edukacja w więzieniu. Ale skrawek tapety nabrał dopiero pełnego wyrazu, gdy pojawiła się na nim akceptacja na ukos i niewyraźny ^(zamasykany) podpis czerwonym ołówkiem. Pieczętki już były zbędne, psułyby harmonię kompozycji. Personalny sporządził jednak o wiele ważniejszy dokument. W sztywnej czarnej okładce zapisywał dane personalne i dziewicze miejsce rozpoczęcia pracy zawodowej. Jakbym przedtem nigdzie nie pracował. - Eto książka truda, bez tego nigdzie nie przyjmą cię do pracy - wyjaśnił, wszystko razem schował do papierowej teczki.

Nazajutrz poznałem Mitię. To mój nauczyciel - jak się okazało - wspaniały młody człowiek. *Wysoki wzrostem i usmiechem - tej twarzy; przywitał mnie* w niewielkim pomieszczeniu, w którym *zobaczyłem* dwie tokarki. Jedna nowoczesna, a druga, na której ja będę pracował, pamięta czasy przedostatniego cara. Najważniejsze, że się kręci, a jeszcze ważniejsze, że Mitia przyjął mnie jak brata. Od razu zostaliśmy przyjaciółmi. Zaczynam od ubrania roboczego, od "specodzieźdy", krótko zwanej "specówką". Wystarczy napisać podanie, oczywiście również na tapecie, kilka podpisów, pieczętek i już paradyję w niebieskim kombinezonie.

Podziwiam maszynę, przy której pracuje Mitia. Nowiusienka, ze skrzynią biegów, nie jak większość napędzanych pasem transmisyjnym. Na korpusie duży wytłoczony napis: - DIP, czyli dognać i pieręgnat' - wiadomo kogo - nie trzeba pisać. Mitia pokazuje nóż tokarski, ma przyspawaną końcówkę z supertwardego materiału, który nazywa się - "pobiedit" - zwyciężyć. Moja maszyna archaiczna nie dogoni i nie zwycięży; przy większych obrotach cała drży, może się rozlecieć. Ale ma też zalety, bo wszystko widać jak na dłoni. / jaki sposób zmieniają się obroty, jak sprzężony jest przesuw suportu przy toczeniu odpowiednich gwintów. / wszystko zależy od doboru *różnej*

wielkości kół zębatych; *leż obok na kupie*. Trzeba tylko wiedzieć, które wybrać i jak je zmontować. Mitia mnie tego nauczył, nawet podstaw teoretycznych. Potrafię obliczyć obwód koła i znaleźć potrzebne przełożenie. To ciekawsze niż automatyczna skrzynia biegów i bezduszne przekładanie dźwigni. Niestety, na mojej tokarce wydajność . . . znacznie mniejsza i nauka niełatwa. Wiele zawdzięczam mojemu nauczycielowi; wiele trudu włożył, aby nauczyć mnie tak wspaniałego zawodu.

Nie chwaląc się, byłem pojętym uczniem, szybko opanowałem główne zasady pracy na tokarce. A była to zasługa Mitia. Miałem dług wdzięczności wobec niego, więc chcąc się czymś odwzajemnić postanowiłem go nauczyć języka niemieckiego; przynajmniej kilka słów. Zresztą sam mnie o to prosił i w wolnej chwili tak mu zaśpiewałem:

Deutschland, Deutschland über alles

Über alles in der ganze Welt...

Zbyt późno się połapałem, że to "nieprzyzwoita piosenka". Mitia jednak zdążył już zapamiętać słowa i na złość ją śpiewał. Śmiał się i lekceważył przestrozę, żeby więcej jej nie powtarzał. Nauczyłem go kilka innych, jakby dla odtrutki, wciąż jednak wracał do tej pierwszej. Na przekór. Byliśmy przyjaciółmi i mile wspominam ten, niestety krótki, okres naszej przyjaźni. Kilka dni po napaści Niemców został zmobilizowany, jak wielu innych z naszego wydziału. Więcej o nim nie słyszałem.

Przez sześć miesięcy byłem uczniem. W tym okresie dostawałem stałą pensję, potem pracowałem już na akord. Ale to, co robiłem, długo jeszcze nadzorował Mitia. W wolnych chwilach opowiadał mi o swoim kraju, o Tomaszowie, o trosce losem najbliższych. Pocieszał mnie, jak tylko mógł, i nieraz mówił:

- Wrócisz do swoich. - Czułem, że sam w to nie wierzy, starał się tylko [↓]potrzymać mnie na duchu. Zastępował mi brata, którego tak mi tu brakowało. Pracując już samodzielnie zacząłem, o dziwo, dużo zarabiać, nie mniej niż wykwalifikowani tokarze. Tajemnica tego fenomenu była prosta, a przyczyna tkwiła w procedurze nie całkiem legalnym. Toczyliśmy części do parowozu, ale nie do magazynu, jak robił to główny wydział, lecz doraźnie - na awaryjne potrzeby.

Przychodzi maszynista *zatraskany jakąś awarią* i tak powiada: - Zdiełaj ^(chujami)takię - pokazując zniszczony sworzeń z pękniętą tulejką. Po godzinie maszynista odbiera nowe detale, sprawdza i w dowód wdzięczności za szybkie wykonanie kładzie na tokarce zlecenie z potwierdzeniem przyjęcia potrójnej ilości. Nie mieliśmy z Mitią wyrzutów sumienia za te drobne oszustwa. Różaj premii, odmiana "długiego ołówka" na budowie. Dużo mieliśmy takich klientów.

Pewnego dnia zauważyłem, że mam nabrzmiąte krwawiące dziąsła. Zmartwiony tym odkryciem, zwiergam się Miti, a on na to: - Eto cynga. - Nie wiem, co to za choroba, nigdy o takiej nie sły-
szałem. Wyjaśniło się, gdy Mitia powiedział mi wiersz:

My nadrywalis' pod znojem, pod chołodom
↓
S wieczne sognutoj spinoj
Żyli w ziemiakach, borolis S gołodom
↓
Mierzli i mokli, boleli cyngoj.

Zrozumiałem, w czym rzecz; dotknęła mnie choroba katorżni-
ków. Przygnębiony *i zły na świat* - poszedłem do polikliniki. Starsza już wiekiem lekarka pyta, co mi dolega, a ja zamiast odpowiedzi jednym tchem wyrzuciłem z siebie: - Cynga, cynga!...
- Jakbym tylko co wrócił z zesłania, a ona ponosi za wszystko winę. Reakcja była natychmiastowa: - Eto u was cynga, u nas

niet - powiedziała z nie ukrywaną irytacją w głosie. Zasko-
zony tym, pomyślałem sobie: Ale baba ma hucpę, niczym na-
sza gospodyni z ulicy Polnej. Zresztą była do niej podobna.
Nie warto kruszyć kopii o to, gdzie rozpowszechniona jest ta
"wstydliva" choroba. Dałem spokój, choć miałem ochotę posprze-
zać się. Chciałem powiedzieć, jej że w Polsce cynga w ogóle
nie była znana; w każdym razie ja o takiej chorobie nie sły-
szałem.

Tego samego dnia znalazłem się w szpitalu, w baraku, jak
wszystkie inne, daleko za miastem. Tylko przybudówka izby
przyjęć była murowana. Pocięśli, że to nie groźnego, trzy
razy dziennie dostaną winogret i po dwóch tygodniach wrócę
do pracy. Nieco uspokojony pomyślałem, oczywiście, o winogre-
nach, przynajmniej zielonych, o ich kwaśnym smaku, takich jak
tomaszowskie. Znowu mi się zdawało, że znam już rosyjski, to-
też nie innego nie mogłem skojarzyć. Nie dostałem oczywiście
żadnych winogron; zaledwie sałatkę jarzynową, jeżeli kartofle
z odrobiną cebuli tak można nazwać.

W szpitalu było też kilku "zapadników" chorych na cyngę ^{(-kolegów z baraku,}
i od nich się dowiedziałem, że choroba ta nazywa się po polsku
szkorbut. Już drugie lato mieszkamy w Magnitogorsku, a ostatnie
jabłko jedliśmy półtora roku temu wyjeżdżając z Białegostoku. Od
tego czasu żadnych owoców ^{nikt z nas} nie widział. Żeby chociaż ulęgałki
były lub mirabelki. Niestety, o takich wspaniałościach można
tylko pomarzyć. Rozprawiamy o tym i marzymy tak, jak dawno
temu w "obszoceżitju". Jeden z naszych refleksyjnie zauwa-
żył: - Żydzi od dawna wiedzą, że bez czosnku i cebuli nie
można żyć. - Nie tylko mówiono o braku witamin i magnitogorskiej
rzeczywistości. Padają nawet wypowiedane szeptem obelżywe słowa
pod adresem ustroju

radzieckiego. Może depresja w ten sposób dała o sobie znać? Może znaleźli potwierdzenie tego, o czym już dawno wiedzieli?

Nie podzielałem tych opinii, starając się usprawiedliwić występujące niedomagania przejściowymi trudnościami. Mówiłem jednak bez większego przekonania, nie tak jak niegdyś. *A koledzy przekonują: - Głowym okiem widać świat, który nie przystaje do wyobrażeń o socjalizmie - tego radzieckiego, owocującego cynką. I do mnie dotarło, że*
← wspaniały gmach mojej wiary zaczyna się z lekka chwiać.

W Magnitogorsku widziałem dzielnicę o nazwie Beriozka, z pięknymi willami wśród brzózek. Przed każdą willą ogródek, gospodyni podlewa kwiatki. Inne życie. Tu mieszka "naczelstwo" najwyższej rangi. A może moja wizja równości jest tylko utopią? Lekko pociągnąłem palcem po nabrzmiąłych dziąsłach i zaróżowioną maź wytarłem szmatką. Położyłem się na wznak. Nade mną, na białym suficie pełza to w jedną, to w drugą stronę beztroska pluskwa. O niczym nie myślę i przygnieciony ciężarem katorżniczej cynki leżę bez ruchu. W końcu wstałem, znowu usiadłem na łóżku i znowu dotknąłem obolałych dziąseł. Prawdę powiedziawszy niezbyt obolałych. Może bardziej boli sama świadomość choroby, choroby zesłańców na Sybir. *Miałem nadzieję, że wyjdę ze szpitala wyleczony z cynki. Może również z innej przypadłości: - Z utopijnych marzeń o socjalistycznym ustroju, który ma przynieść powszechny dobrobyt i szczęście ludzkości. Tyle przecież o tym mówię.*

Katwo mówić o ludzkości, trudniej z własnymi kłopotami. Boję się spotkania z Ewą; czy zechce na mnie spojrzeć? Przecież

^{moje} stracić wszystkie zęby. Powiedziałem jej, że ją kocham. To było *kilka dni* temu, gdy pojechaliśmy w piątek na majówkę. Brzozowy lasek za dzielnicą Bieriozka pachniał niczym zagajnik nad Pilicą. Z Józkiem rozmawiałem o Krótkim kursie WKP/b/, o trudnym czwartym rozdziale, ale tak naprawdę więcej myślałem o jego siostrze niż o dialektyce i walce z odchyleniami w partii w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Klarowna książka, spójna treść, znam ją niemal na pamięć - *mówi Józek*. Chyba nie doceniasz wagi tego dzieła. Już *Targumentu*: - Podobno sam Stalin ją napisał. Ale ważniejsza *była* Ewa i Józek jakby to spostrzegł, bo ciągle odwracałem głowę, skąd dochodził jej głos. W połowie zdania przerwał długi wywód, po czym wpatrzony w zielone liutki lekko kołyszących się brzołek gdzieś sobie poszedł. Krótko, zaledwie kilka minut, udało mi się być sam na sam z Ewą. Zdążyłem jednak jej powiedzieć o moich uczuciach i wtedy właśnie ją pocałowałem; zdawało mi się, że za chwilę zarzuci mi ramiona na szyję. Przeszkodziła jednak *wszędobylska Klara*, a przed nią nikt się nie ukryje. Sądzi, że dostanie królewicza z bajki. A i Ewie też zapewne sugeruje, żeby rozejrzała się za lepszą partią. Chyba wpaść w kompleks niższości? Zupełnie nie wiem, czym Ewie zaimponować? Popełniam również błąd taktyczny: chodzę zamyślony, wzdycham, oczu od niej oderwać nie mogę. A dziewczyny lekceważą takich chłopaków. Wiele mam powodów do przygnębienia. Gdyby zechciała przynajmniej mnie odwiedzić, ale ona nawet nie wie, że *choruje*. Ewa na pewno darzy mnie uczuciem, wyczuwam to z jej spojrzenia. Obawiam się jednak, czy nie weźmie u niej górę rozsądek. *Starsza: o ponad rok* - odcie mnie, ma małą maturę, a moja nikła wiedza, wynik niewielu przeczytanych ^{przeważnie o tematyce społecznej} książek, *chwilami ją irytuje*. Pozycja zawodowa też żadna. Jakie mam szanse? Czuję, że ona

zainteresowana jest domem, założeniem rodziny, a ja jeszcze o tym nie myślę.

Od połowy czerwca wszyscy są *dziwnie czymś prze-* ^{jęci} jakieś niejasne przeczucie zakłóciło dotychczasowe życie. Agencja TASS podała niepokojące oświadczenie. Nie ma jeszcze ogłosów werbli, nie wzywa się do walki ze śmiertelnym wrogiem, ani słowa o mobilizacji, o grożącym niebezpieczeństwie. Przeciwnie, stosunki z Niemcami są nadal bardzo dobre, przyjazne, nacechowane współpracą, tylko zachodni dziennikarze coś węższą - głosi to oświadczenie. Mimo to niepokój w szpitalu *wzrasta*, jakby nikt nie wierzył w "zaprzeczenie TASS". Każdy mówi: - Coś w tym musi być. - Kilka dni później, gdy ^{niedzielne} w południe jadłem mój ^(e) wiłgret, nie było już wątpliwości. Na salę wleciała pielęgniarka i od progu zawołała dramatycznym głosem: - Towariszci, wojna; przez radio przemawia Stalin! - Zerwałem się z łóżka i pobiegłem do świetlicy. Z głośnika rozlega się głos informujący o przekroczeniu państwowej granicy Związku Radzieckiego przez wojska niemieckie, o toczących się już walkach. Nie był to jednak głos Stalina, przemawiał Mołotow. Mówił przygnębionym głosem, zawiedziony, że Niemcy zdradzili; jakby po nich, coś innego można się było spodziewać. Ostatnie jednak zdania podtrzymały mnie na duchu: "Wróg będzie pokonany. Nasze będzie zwycięstwo". Wróciwszy na salę zastanowiłem się: - Dlaczego wódz nie przemówił? Takie wydarzenie, a On milczy?

Cały personel załamuje ręce, pielęgniarki płaczą, tylko mój sąsiad powiedział coś zupełnie w innym duchu: - Damy im takiego łupnia, że się nie pozbierają. Napoleon był nie mniej ważny od Hitlera, a skończył na wyspie. Jak jej tam było? Bodajże Gelena.

Następnego dnia, prawie wyleczony, poszedłem do pracy. Nic

się nie zmieniło, tak samo rozlega się stuk kotlarzy. Miroszników z wąsami à la cesarz Wilhelm wymienia zużyte obręcze kół na nowe. Brygady remontowe Filimonowa i Wasiliewa robią okresowe przeglądy parowozów, a w moim dziale bez przerwy obracają się wrzeciona obrabiarek, przy których tak jak zawsze pełno jest strużyn. Tylko jedna brygada została bez majstra. Ta nieobecność ma związek z ogłoszoną pożyczką państwową. Oczywiście dobrowolną, w wysokości miesięcznych poborów. Ja też zadeklarowałem. Ale ten właśnie majster, osrebrnych włosach i szerokim uśmiechu, którego ciepło zwali Wasia - musiał coś niewłaściwego powiedzieć i od tygodnia nikt go już nie widział. O tym dowiedziałem się później. Kiedy zapytałem Mitię, gdzie Wasia, skrzyżował po dwa palce obu rąk i wtedy wszystko zrozumiałem. Dodał jeszcze krótko: - Propaź - z czego wynika, że na pewno dostanie paragraf nr 58 jako wróg ludu. Szkoda mi go, był sympatyczny, wszyscy go żałują, może dlatego tym się zainteresowałem. Wkrótce zapomną o nim, tym bardziej że wszystko teraz przyćmione zostało wielkim wydarzeniem: wojną, zdradziecką napaścią Niemców. Nikt się tego nie spodziewał, wojna spadła jak grom z jasnego nieba. Ciekawe, że nikt nie słyszał o "zaprzeczeniu TASS". Mało kto słuca radia, a jeszcze mniej czyta gazety. Widocznie ludzie dość już mają ciągłego powtarzania tego samego: o wykonaniu planu i nowych zobowiązaniach produkcyjnych.

A Mitia tak samo pracuje przy tokarce, jednak to już inny człowiek. Ledwie go poznaję. Zawsze skory do żartów, spoważniał, jakby już siebie widział w śmiertelnym zmaganiu z wrogiem. Znowu powiedział: - Deutschland - ale jakże innym tonem. Tym razem nie gniewałem się na niego, nauczyłem go nowego słowa: "Kaputt" - i teraz wszystko już w porządku.

Po kilku dniach poszedłem na bazar zaopatrzyć się w cebulę, bardzo drogą - jedyne skuteczne lekarstwo na cyngę. Przed domem partii wielka mapa z chorągiewkami w miejscach, gdzie toczą się walki. Nie są tam, gdzie być powinny. Czytałem wiele razy, że w razie wojny wróg zostanie pobity na swoim terytorium. Woroszyłow mówił przecież, że nie pozwolą, aby "ktokolwiek rył nasz ogród". Jeszcze dźwięczy w uszach rytmiczny krok żołnierzy Armii Czerwonej i dziarski śpiew piosenki: "Jeśli zawtra wojna..." Później sam ją śpiewałem, byłem bowiem pewny, iż Związek Radziecki nie da się zaskoczyć. Zostałem srodze zawiadziony.

Mapa wisi obok dużego plakatu malowanego ręcznie w takim samym stylu jak przed kinem "Modern" w Tomaszowie. Tylko osoby inne. Zamiast kowbojów - Murzyn Johnson usiłuje położyć na łopatkach - też nie ułomka - Iwanowa. Ten plakat zawsze tu wisiał, nieraz mu się przyglądałem. O zapasach w cyrku rozprawiły w czasie przerw brygady remontowe. Wiedziały nawet, jakiego użyć skutecznego chwytu, aby zwyciężyć Amerykanina, a spory rozstrzygano w sposób pogładowy. Mnie plakat przywołał z pamięci amerykańskiego boksera, który znokautował osławionego Schmellinga. Teraz nikt nie patrzy na sugestywne postacie; każdy spogląda z niepokojem na wetknięte chorągiewki. Są jeszcze przy samej granicy. Może jutro przesuną na zachód?.. Niestety. Ze zrozumiałych względów mapa wisiała tylko trzy dni. Dużo więcej dni czekaliśmy na przemówienie Stalina. Wreszcie - prawie po dwóch tygodniach długiego oczekiwania - rozległ się z głośników jego głos. Pamiętam to przemówienie jak dziś. A był to głos bez patosu, słowa bez efekciarstwa tak charakterystyczne dla innych przywódców. Stalin nie był oratorem, mówił powoli nieco ochrypłym głosem, lekko seplenił,

nawet można było zauważyć nierosyjski akcent. Nie to było istotne. Dowiedzieliśmy się gorzkiej prawdy. Wojskom hitlerowskim udało się zagarnąć całą Litwę, część zachodniej Białorusi i Ukrainy. Lotnictwo faszystowskie bombarduje Murmańsk, Kijów, Odessę, Sewastopol. Stalin mówił bez ogródek o sprawie życia i śmierci narodów ZSRR, nie obiecywał szybkiego zwycięstwa, nie rzucał słów na wiatr. Było oczywiste, że wojna będzie długa i krwawa.

Tymczasem wiadomości są z każdym dniem coraz: gorsze. Z głośników padają słowa budzące niepokój: - Nasze wojska ostawili gorod... - Każdego dnia nowe miasto, nawet kilka. Rozmiary klęski dały się zauważyć nawet w Magnitogorsku. Napływały dziesiątki pociągów ze sprzętem zdemontowanym z ewakuowanych zakładów Ukrainy. Fabryki nad Dniepru pośpiesznie rozładowywano, a następne pociągi przywoziły urządzenia z hut zagłębia donieckiego; potem już z centralnej Rosji. Tu je montowano, aby znowu dawały produkcję potrzebną dla frontu. Stal i pociski.

Powiększono również nasz wydział obróbki mechanicznej. Moja archaiczna tokarka poszła wreszcie na złom. Na jej miejscu zainstalowano nowoczesną, do wydajnej i precyzyjnej obróbki. Przyszli nowi ludzie o dużym stażu zawodowym, wobec których moje kwalifikacje okazały się nader skąpe. Żeby mnie gdzieś upchnąć, zostałem skierowany do przyzakładowej szkoły dla maszynistów parowozu. W ten sposób - nie z własnego wyboru - ^(w kieszeni) zmieniłem zawód. Kiedy spadł pierwszy śnieg, miałem już świadectwo "pomocznika maszynisty parowozu" i z tego tytułu wrzucałem węgiel do paleniska. Ściślej - mokry miał węglowy zmieszany z koksikiem. Nie jest to zwykła czynność, wymaga nie lada umiejętności. Jak już wspomniałem, byłem zdolny, więc po ja-

kim czasie i tego się nauczyłem.

Drzwiczki do paleniska nie mogą stać otworem, nastąpiłaby strata ciepła. Żeby temu zapobiec, maszynista - *patrzeć oknem na szlak kolejowy* - długą dźwignią rozsuwa połówki drzwiczek, ^{(I to} w momencie, gdy zbliża się moja łopata; po czym zamyka, gdy ja w tym czasie robię obrót ciała i nabieram kolejną porcję węgla. *Wzrost mam określony*, choć na początku zdarzało się, że nie zmieściłem się w rytmie dwutaktowym i trafiłem nie tam, gdzie trzeba. Węgla też nie wrzuca się zwyczajnie, byle jak. Musi być rozłożony równomiernie, na całej powierzchni rusztu tylko jedną warstwą. Polubiłem tę pracę, traktowałem ją z całą powagą, mimo że mój szef nie był sympatyczny. Nie prowadziliśmy żadnych prywatnych rozmów, wykonywałem tylko polecenia. Czasem - jakby w nagrodę za dobrą pracę - pozwalał na krótki czas manewrować parowozem. Najtrudniejsze jest przekazywanie maszyny nowej zmianie. Musi być wyczyszczona naftą "na glanc", opróżniony popielnik, oczyszczony ruszt paleniska. Jak zwykle, nie narzekam.

Któregoś dnia byłem świadkiem zdarzenia, które mną wstrząsnęło, nie mogę więc tego pominąć. W czasie, gdy oliwiłem żołądkę, podsłuchiłem rozmowę kilku osób ewakuowanych z Ukrainy. Jedną z kobiet zwierza się mojemu maszyniście: - Po co myśmy tu przyjechali? Żydzi, członkowie partii, pracownicy NKWD mają powody do ucieczki przed Niemcami, ale my? Niemcy nareszcie zrobią porządek, zniosą kołchozy i w sklepach będzie wsio. Najwięcej uciekło Jewrejów; mają się oni czego obawiać. Nabrać pieniędzy, teraz wszystko wykupują. Widzieliśmy to na stacjach. Skończyły się im sklepiki i lekka praca, żaden z nich nie zabrudził sobie rąk w kopalni albo hucie. Nam nie handlować ani rządzić, tylko pracować. - I tak dalej w tym

duchu. Stałem jak wryty. Za dużo oliwy nalałem do panewki i nie tam gdzie trzeba. Niemcy coraz bliżej, a tu takie głosy! Nie ukrywam, że zwątpiłem w trwałość Związku Radzieckiego. Mój maszynista słuchał, mówił coś szeptem, ale nie rozumiałem słów. Nie był oburzony, a ja myślałem, że inaczej zareaguje. Może szkoda mu było tych ludzi? Musiałby donieść, a za szeptaną propagandę dają 10 lat. A może sam pochodził z tamtych stron i pamiętał wieś bez kołchozów? Trudno dociec. Gdy zabierali się do odejścia, popatrzyłem na nich. Przyjrzał mi się najmłodszy z nich i syknął:- Abrasza!

W baraku opowiadałem o tym kolegom; nie chcą wierzyć, uważają to za odosobniony przypadek. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o nacjonalistach ukraińskich, o armii Własowa ani o Babim Jarze, o którym po latach Jewtuszenko napisze wiersz. A Niemcy wciąż idą do przodu, są pod Moskwą. Czy zapanują nad światem? Jeden tak powiada: - Rosjanie celowo wciągają ich coraz głębiej, idzie sroga zima; właśnie w Moskwie utracą łeb Hitlerowi, spotka ich klęska jak niegdyś Francuzów.-Westchnęliśmy z ulgą. Oby tak było.

Miasto pęcznieje. Przybywają tysiące ewakuowanych. Kolejki po chleb coraz dłuższe. Wyczekujemy po kilka godzin na mrozie, aż przywiozą. Aby utrzymać porządek, ktoś wpadł na praktyczny pomysł. Kopiowym ołówkiem pisze na dłoni bieżący numer, według kolejności, ale napluć każdy musi sam. Nawet dzieci już znają ten wynalazek; bawią się w "oczered", pluja i mażą coś na rączkach.

Minęły czasy komfortu w "obszczežitju" z Czerwonym Kącikiem; centralne ogrzewanie w Chimlaboratorium też już dawno za nami. Teraz mieszkam w zapluskwionym baraku w małym pokoiku z czterema kolegami. Nie jest ciasno, bo pracujemy na różne zmiany.

Moimi przyjaciółmi są teraz bracia o nietypowym nazwisku - Murżan. Są bliźniakami, podobni do siebie jak dwie krople wody. W tym samym baraku - *za ścianą naszej „komnaty”* - mieszkają dziewczyny, a wśród nich też bliźnięta. Bracia Murżan "chodzą" z nimi, oczywiście parami. Jak im się to nie popłacze - sam diabeł nie dojdzie, wszak są cztery różne możliwości. Dopiero po długim czasie rozpoznałem, kto jest kto i z kim. Wrócili do kraju zarejestrowani w Urzędzie Stanu Cywilnego w zupełnie innej konfiguracji, niż się spodziewałem.

Murżanów poznałem jeszcze w "Rabfaku", na wieczorowych kursach przygotowawczych przy instytucie górniczo-hutniczym. W kancelarii przyjęli moje świadectwo ukończenia szkoły podstawowej, zdałem egzamin z języka rosyjskiego i algebry, o której tu po raz pierwszy słyszałem. Pomógł egzaminator. Dawno już zrezygnowaliśmy z nauki, zbyt dużo czasu poświęcamy w kolejce po chleb.

Pod koniec października do Murżanów przyjechali ich rodzice. Wyglądali jak starzy ludzie, a mieli po czterdzieści parę lat. Przybyli z tajgi gdzieś koło Archangielska. Nigdy nie zapomnę tego widoku ludzkich wraków, którym wolność przyniósł układ Sikorski - Majski. Widziałem, jak łapczywie jedli po połówce marchwi zdobytej przez jednego z synów. Długo nie cieszyli się synami i wolnością. Wkrótce zmarli. Pomyślałem o moich rodzicach.

Pracuję dalej na parowozie na trzy zmiany, przesiąknięty naftą i smarem również po pracy, gdyż nie mam w co się przebrać. Coraz rzadziej się myję - dokucza głód, ogarnęła apatia. W baraku zimno, przykrywam się siennikiem kolegi z innej zmiany.

Pewnego dnia wezwali mnie do Działu Zatrudnienia, gdzie

znany nam urzędnik oznajmił, iż zostaje skierowany do innego przedsiębiorstwa. Skrupulatnie mnie rozliczył i wręczył czarną książeczkę. Mam się zgłosić gdzieś w pobliżu walcowni do tylko co zmontowanej fabryki przywiezionej z Ukrainy. Tam będzie kotłownia - nowe miejsce pracy dla palacza. Okazało się, że owe przedsiębiorstwo jeszcze nie istnieje, kotłowni też nie było. Jedynie majstra odnalazłem, ale ten spojrział na mnie, jak na intruza i powiedział: - Nieprędko będzie zmontowana, jeszcze w częściach leży na placu, dopiero kopniemy dół pod fundament.

Co mam robić? Wprowadzono racjonowanie żywności, na razie nie pracuję, nie dostałem kartek, więc nie mam co jeść. Nawet zupy nie kupię. Jakoś się zgadzało, że w "Fabryce Chleba" doręczo zatrudniają chętnych do pracy. Niektórzy prosto z nocnej zmiany przychodzą pod bramę piekarni, aby tam się dostać. Rzecz jasna nie w celu dodatkowego zarobku. Powiadają, że można tam znaleźć wybrakowany chleb i najeść się do syta.

Ranitko już byłem przed bramą, skąd pachniało chlebem. Wyszedł człowiek w czarnym kożusku z pustym rękawem, rozejrzał się po gromadce oczekujących, ale tylko niewielu chętnych zabrał do środka. Widać znał już tych, co nie mieli szans dostania się do "sezamu". - Mało z takich pożytku, choć tylko chleba się najeść; śpię na stojąco, a tu trzeba pracować - mówi mierząc nas wzrokiem. Mnie - nową twarz - od razu zabrał. Z zapalem wziąłem się do piłowania okrągłaków, potem w rękę poszła siekiera, znakomicie zaostrażająca apetyt. I wreszcie upragniona przerwa obiadowa. Teraz rozglądamy się za najważniejszą rzeczą - za kawałkiem chleba. Ale Sosnowski - nasz kierownik - dobrze wie, po co tu przyszliśmy: - Chodźcie, chłopcy, ze mną, nie szwendać się, chleb kupicie w bufecie. - Miłe zaskoczenie. Każdy kupił pół bochenka chleba po cenie komercyjnej, trzy razy wyższej od oficjalnej, *tej na kartki,*

← ale jakże niskiej. Grosze w porównaniu z ceną na bazarze. Doceniają naszą pracę, bo "Fabryka Chleba" została ogołocona z mężczyzn. Pozostały niemal wyłącznie kobiety, jeszcze kilku staruszków, paru inwalidów i to wszystko. A kto wykona ciężkie roboty? Radzieckie kobiety potrafią i murować, i tynkować, i łopatą wywijać, ale co chłop, to chłop.

Wyładunkiem worków mąki z wagonów zajmują się brygady więźniów. A każdy więzień jak tur; kilka razy z nimi pracowałem i miałem okazję podziwiać ich krzepę. Nie dorosłem im nawet do pięt, chociaż chwalili, że parę godzin wytrzymuję tempo. Osiemdziesiąt pięć kilo - to nie przelewki. W Tomaszowie też podziwiałem tragarzy, ale wtedy nie przypuszczałem, że kiedyś temu podołam. Widać zmęźniałem i sprawia mi to satysfakcję. Codziennie w ciągu kilku tygodni przychodziłem tu do pracy; nigdy nie sprawdziłem, czy moją kotłownię już zmontowali. Uważałem się za stałego pracownika "Fabryki Chleba", mimo że formalnie nim nie byłem. Każdego dnia płacili dniówkę - bez żadnych zobowiązań z obu stron. Najważniejsze, że wracałem z pracy syty, można powiedzieć, na zapas. Nadwyżkę chleba zamieniałem na cukier i cenną cebulę. Stać mnie nawet było na kupno fufajki, prawie nowej.

Codziennie się myłem, minęła depresja. Sosnowski wyraźnie mnie faworyzował, nie było wątpliwości, czy wpuści za bramę. Przypominał mi Matwiejewa z dobrotliwym uśmiechem. Inne miał jednak motywy, nie kierował się ojcowską opieką, choć nie mogę tego wykluczyć. Przede wszystkim cenił sumienną pracę, nie tylko wysiłek, ale i jej poważne traktowanie. Wiedziałem, że w dosłownym znaczeniu pracuję na chleb i nie ociążałem się w robocie.

Pewnego dnia palacz z kotłowni nie przyszedł do pracy. Zmarł

i ja zająłem jego miejsce. Miałem kwalifikacje o wiele wyższe, niż wymagane są przy zwykłych kotłach. Kocioł parowozu mówi sam za siebie. Przeszedłem krótką, ale dobrą szkołę. Od razu poczułem się wyróżniony, kimś ważnym z tytułu pełnionej funkcji. Wszak byłem fachowcem, dostawałem nawet codziennie szklankę mleka przewidzianą dla pracujących przy szkodliwej dla zdrowia pracy. Nie tylko tym byłem uprzywilejowany. Korzystałem z bufetu, gdzie czasem mogłem zjeść porcję zimnych nówek. W wolnej chwili, jak pan na włościach, przechadzałem się po halach. Ode mnie bowiem zależało, czy piece będą miały dosyć ciepła, a zatem ^{przewidzianą} wydajność.

Bardzo się starałem, by nie zawieść zaufania na tak ważnym stanowisku. Miałem też powodzenie u kobiet. A jakże! Może mi się tylko zdawało, że im się podobam? Chwilami wątpiłem, czy pył węglowy na twarzy dodaje męskiej urody. A jednak nie myliłem się. Gdy przechodziłem obok nich, uśmiechały się do mnie, podrzucały nawet pierniczki lub obwarzanki. Przypadłem im do gustu, musiałem im się podobać, zalotne spojrzenia i chichoty to wyrażały. Nie zdawałem sobie sprawy, że mężczyzna - byle jaki - stał się cenny, albowiem niejedna młoda mężatka póź roku ^{już} nie spała ze swym partnerem. Dla mnie nie mniej cenne niż miłe uśmiechy były pierniczki. Takie rzeczy też tu się piekło, mimo że była wojna. Drewno, które na początku mojej kariery w "Fabryce Chleba" rąbałem siekierą, używane było właśnie w dziale "konдитerskom". Wyrosy cukiernicze były przeznaczone dla dzieci w żłobkach lub dla cnorych w szpitalach. Może jeszcze dla kogoś w willach z osiedla Bieriozka?

Koledzy w baraku mi zazdroszczą. - Jemu się udało - mówią. - Zyje w dobrobycie, jakby wojny nie było. - Przynosiłem czasem w kieszeni suchary zdobyte nie całkiem legalnie i często-

wałem nimi. Pochodziły z pękniętego papierowego worka; zbierałem na śniegu i chowałem do kieszeni. Worki sucharów ładowano na wagony, przeznaczone były dla wojska, a nadzorował sam szef produkcji. Nazywał się Kramer. Jedno oko miał szklane, ale dobrze widział, wszędzie zaglądał i pilnował porządku. Pewnego dnia nie przyszedł do pracy. Był Niemcem z miasta Engels nad Wołgą; pojechał ze swymi ziomkami gdzieś daleko, skąd rzadko się wraca.

Niespodziewanie, a było to w połowie stycznia 1942 roku, jak zjawa wszedł do baraku Beniek Dancygier. Wyglądający, sła-
niał się na nogach, łańchmany wisiały na nim jak na kijach. Pozna-
łem go po oczach mimo czarnych obwódok. Twarz szaroziemista,
wydłużony nos - mówił za siebie. Nie ten sam, z którym je-
szcze pół roku temu byłem na majówce za Bieriozką. Pomyślałem
o sobie: też już nie ten sam. Czułem się jednak w pełni sił,
nawet zmęźniałem od fizycznej pracy.

Dancygier miał zamiar pójść do swoich z Włockawka, do Józka
i Ewy, ale nie doszedł do śródmieścia, obawiał się bowiem spot-
kania znajomych z pracy. Nie wiedział, że tu mieszkam, wszedł
do najbliższego baraku koło ćworca, gdzie zdawało mu się, że
ktoś mówi po polsku. Zapytałem, czego się obawia, i wtedy uszy-
szałem słowo, którego się przeraziłem: - dezterter. Z frontu?
Jak to się stało? Gdy podjadł sobie chleba z kipiátkom za-
czął opowiadać. Cały się trząszł, kiedy mówił, co przeżył.
Jeszcze przed miesiącem był "takiełaźnikiem", zresztą od samego
przyjazdu do Magnitogorska. Nagle został zmobilizowany do woj-
ska, tak mu powiedzieli; był przekonany, że pojedzie walczyć
z Niemcami. Na komisji w Wojenkomacie dostał pół bochenka

chleba, trzy dni jechał w towarowym wagonie, lecz nie do ko-
szar na przeszkolenie. Już w wagonie wiedział, że nie będzie
w wojsku, tylko w "trudarmii", zwanym także "stroitelnym ba-
talionem" lub krótko - "strojbatem". To różnica jak niebo i
ziemia. Wszyscy mieli "pasporty" z paragrafem nr 38,
nie podlegali więc obowiązkowi normalnej służby wojskowej. On,
z setką innych, trafił do jakiejś osady górniczej za Swierdłow-
skiem, do kopalni rudy cynku bądź ołowiu - dokładnie nie wie.
Pracowali w głębokich wyrobiskach, bez zabezpieczeń, pod nad-
zorem brygadzystów - bandziorów, których dużo teraz wypuszczo-
no z łagrów. Wojskowy był tylko poranny apel i komenda: - "Po
piat' strojs". - Każdego dnia o kilka osób mniej wracało na po-
wierzchnię. To nie było wojsko, a zwyczajna katorga.

Rano lura, wieczorem pajda wilgotnego chleba i coś, co na-
zywano zupą. A ilość chleba zależała od tego, czy wykona nor-
mę. Było oczywiste, że niedługo część będzie - jak mówili
- spisana na stratę. Zostaną tylko brygadziści - ci, co okra-
dają "strojbatowców", i ich pomagierzy, pospolite "urki". Po-
tem przywiozą nowych; ołów jest przecież potrzebny, z tego ro-
bią kule na Niemców. W takich warunkach nikt długo nie po-
ciągnie, a każdy chce przetrwać. Widział takich, którym było
już wszystko jedno. On jednak nie chciał zostać "dachodiagą",
takim, który już nie może pracować i czeka na śmierć. Bez trudu
uciekł. Gorzej było ze zdobyciem czegoś do zjedzenia, ale ja-
koś sobie radził. Nauczył się kraść i robił to z powodzeniem
na dworcu w Czelabińsku. Tysiące ewakuowanych, w tłoku nie-
trudno coś zwędzić. Zapewniłem go, że teraz nie będzie musiał
tego robić, już jutro mogę załatwić mu pracę u Sosnowskiego.
Poradziłem mu, żeby ze dwa dni odpoczął, chleba nie brakuje.
Przyjął to z ulgą, ale co dalej? Obawiał się wychodzić z ba-

raku, nie miał żadnych dokumentów, mogli dojść, że uciekł ze "strojbatu", a to siedem lat łągru murowane.

- Czy w tej "Fabryce Chleba" nie trzeba pokazać "paspor-tu"? - zapytał z obawą.

- Nie, o nic nie pytają - odrzekłem zadowolony, że mogę pomóc przyjacielowi.

I na tym by się skończyło, gdyby nie pewien list od kole-gi. W ciągu paru dni nadeszły trzy listy, ale ten w istotny sposób zaważył, zmienił na jakiś czas dotychczasowy tryb ^{(mojego} ży-cia. Tak, dostałem trzy listy, ale żaden nie był z domu, cze-mu nie mogłem się dziwić - ^{rozdzieliu} przecież nas front. Jeden, wysła-ny ze Stalingradu był od brata; Heniek został zmobilizowany do Armii Czerwonej ze skierowaniem do batalionu budowlanego. I dopiero teraz, po tym, co usłyszałem od Dancygiera, pomyśla-łem, czy nie jest to taki sam "stroitelnyj batalion"? / O tym, że tak właśnie było, że w "strojbacie" Heniek został "docho-diągą" dowiedziałem się przypadkowo w Magnitogorsku, ale już po wojnie. /

Drugi list nadszedł z Karagandy, z zagłębia węglowego da-leko na wschodzie. Pisali dwaj tomaszowiaczy. Nie byli moimi przyjaciółmi, znałem ich tylko przelotnie, nie wiem nawet, skąd mieli mój adres. Jeden nazywał się Heller - młodszy brat mego kolegi, o którym wspomniałem, że czytał mi swoje wiersze nad Wolbórką. Ten pisał prozą, jak to w liście, ale treść była poetycka. Zapamiętałem takie zdanie: - „Pracujemy w kopalni węgla, każda wydobyta przez nas tona to pocisk w hitlerowców.” - Przyznam, że zdziwił mnie ten podniosły ton; Heller nie na-leżał do wielbicieli Kraju Rad. Dalszą część tego listu napisał

drugi tomaszowiak, którego znałem jeszcze ze szkoły Głogowskiego. Mieszkał "za wodą" i ze swym ojcem malował mieszkania. Wiedziałem, że ładnie śpiewa; mówili o tym koledzy, a i sam na ławce w parku podziwiałem ^(kiedyś) jego głos. I chociaż nie tak pięknie śpiewał, jak - powiedzmy - "Ptasznik z Tyrolu", którego w swym repertuarze naśladował, to przynajmniej nazwisko miał odpowiednie - Fajgeles^x. W tym liście Fajgeles tak napisał: - "Po szycie śpiewam w Klubie Górników; kilka razy występowałem w radiu." - Czyżby się chwalił?

Trzeci list był od Chmielnickiego z miasteczka Tokmak w Kirgizji. W ostatniej niemal chwili zdążył ewakuować się z Żytomierza; żyje w ciepłym klimacie, zajada owoce i pracuje w swoim fachu. Był też znamieny dopisek: - "Zapraszam do siebie, przyjeźdź!" - Kiedy Beńkowi przeczytałem te listy on tak je skomentował: - Ktoś ma jeszcze złudzenie, że idzie do wojska, a ja już wiem, że to co innego. Jeden przymiera głodem, drugi ma nadmiar chleba. Jeden ledwo nie został "dochodzą", innemu po pracy chce się jeszcze śpiewać. Jeden choruje na cynkę, inny nawet zimą zajada owoce. Różnie bywa w tym ogromnym kraju. - A zaproszenie Chmielnickiego skwitowałem jako zwykły gest wobec kolegi, z którym próbowałem ucieczki z miasta wielkich pieców, ucieczki w stronę chlebnej Ukrainy. Ale teraz, w tych czasach, ot tak sobie zapraszać?! A przepustka? A oficjalny "Wyzow"? - No tak, rzeczywiście zapanowała wolność, wolność niczym nie skrępowana, można jechać, dokąd dusza zapagnie - zauważył mój przyjaciel. I opowiedział, co się teraz dzieje.

Łudzie jadą bez przepustki, bez urzędowego zaproszenia i bez "komandirówki". A przyczyna jest prosta. Tak dotąd sprawne

^x Fajgelech - ptaszki /jidysz/.

władze straciły w tym żywiole możliwość kontroli, po prostu nie są w stanie wszystkim sprawdzić dokumentów. Pociągi za- pełnione tysiącami ewakuowanych, tysiące koczują na dworcach. Do tego dochodzą jeszcze zastępy zwolnionych z łagrów prze- stępców - prawdziwych tylko z nazwy. Ale w takich cza- sach "wolność" podróżowania jest nie do pozazdroszczenia; wie- lu nigdzie nie dojedzie: opuchnięci z głodu pozostaną na dwor- cach, nie zdobędą się na wysiłek szturmowania pociągu.

I nagle zmienił temat. - Wiesz, w Czelabińsku widziałem pol- skich żołnierzy i oficerów. Mieli na sobie nowiusieńkie, spod igły mundury, nieco innej niż przed wojną, ale orzełek na futrza- nej czapie taki sam. Mówili, że są z armii Andersa. Zazdrości- łem im tych mundurów, sytego wyglądu i pomyślałem o wstąpieniu do tego wojska; przecież jestem polskim obywatelem. Rozmawiałem nawet o tym z lekarzem z Warszawy, Żyd w oficerskim mundurze. Opowiadał, że w komisjach poborowych

takich jak my nie bardzo prz^yczmują. Różne wynajdują powody. Wygląda na to, że mają przyzwolenie miejscowych władz, a ci ce- nią sobie darmową siłę roboczą. Wolać nas w "strojbie". Rezer- wistów, ludzi wykształconych, przede wszystkim lekarzy - chętnie wcielają do wojska. Czy to jednak sojusznicza armia? Prawie wszy- scy przeszli "szkołę" w łagrach, wprost zieją nienawiścią do Związku Radzieckiego i ani myślą tu walczyć z Niemcami. Swoje miejsce widzą przy boku armii angielskiej. Ten lekarz również. Ostatecznie wszystko jedno przy czym boku; najważniejsze, żeby bić hitlerowców. Tylko komunisty nie -

garną się do tej armii. Niektórzy nadal widzą w sanacyjnych oficerach tych, którzy podążali w stronę Zaleszczyk, tych odpo- wiedzialnych za klęskę wrześniową. W kółko powtarzają, że to oni

właśnie opuścili żołnierzy i cały naród na pastwę Niemców.

Ale komuniści - według słów lekarza - sami się pogubili; polizali miodu i teraz mają zgagę. Ci, co siedzieli w łagrach, niejedno musieli przemyśleć - ale jak się zdaje - swojej drogi jeszcze nie odnaleźli. A syjoniści - jak wiadomo uczuleni na sprawę żydowską - twierdzą, że w tym wojsku krzywym okiem na nich patrzą, i to z powodu całkiem świeżych wydarzeń. Wspominają Żydom^{ie} w Białymstoku i Lwowie radośnie witali Armię Czerwoną, że ponoć całowali sowieckie tanki, a nawet współpracowali z okupantem - tak bowiem nazywają Związek Radziecki. Ale o wiele ważniejsze jest co innego, o czym wspomniał ów lekarz. Nieliczny korpus oficerski nie może się doliczyć tysięcy kolegów, nie

mogą ich odnaleźć, nigdzie ich nie ma. Zagadkowa sprawa.

Nie wiedziałem wówczas, że niektórzy wyższsi oficerow^{ie} przeszli przez osławioną Łubiankę, że najwięcej zginęło i nikomu się nie śniło, że doszło do mordu katyńskiego. A może niektórym się śniło? ...

A w gazecie "Magnitogorski Raboczyj" przeczytałem, że na terenie ZSRR powstaje polska armia, która przy boku radzieckiej walczyć będzie z Niemcami. Później coś się zmieniło; polskie dowództwo podobno zażądało racji żywnościowych, jakie przysługują żołnierzom na froncie. Miał to być wybieg, żeby nie walczyć, bo wiedzieli, że dla formujących się oddziałów na dalekim zapleczu taki postulat - wobec braku żywności - nie może być spełniony. I ostatecznie się decyduje o ewakuacji polskiej armii do Iranu. Wygląda na to że obie strony są z tego

zadowolone. Wynioskowałem, że władze radzieckie nie mają zaufania do polskich żołnierzy i oficerów. I na odwrót. Do dawnej wrogości doszły bowiem nowe, wyniesione z łagrów.

Dyncygier podrapał się po głowie i zaczął rozmyślać, co robić.

Jedną nie miega wątpliwość: w Magnitogorsku nie może zostać i na dobrą sprawę nie powinien był tu przyjeżdżać. Teraz żałuje, bo tu mogą go rozpoznać i niechybnie NKWD posadzi za dezercję ze "strojbatu". Postanowił pojechać do Azji Środkowej, gdzie ta armia się formuje. Będzie udawać łagiernika, może go przyjmą; nie ma innego wyjścia.

Popatrzyłem na list od Chmielnickiego, na Beńka i niespodziewanie podjąłem decyzję. Pojadę z nim. Chleba i sucharów na drogę nie trudno zgromadzić, mam gdzie się zatrzymać, wszak kolega zaprasza. Dokumenty są w porządku, w kieszeni książeczka pracy... To wyjątkowa okazja, dlaczego z niej nie skorzystać? - Jedziemy razem - zawyrokowałem ostatecznie. Beniek był zadowolony z takiego obrotu sprawy, nie przypuszczał, że będzie miał kompana w podróży, a może i w wojsku.

Popracował trzy dni w "Fabryce Chleba", kupiliśmy solidny czemodan zrobiony z dykty, i załadowaliśmy go suszonym chlebem. Byliśmy gotowi do drogi. Sosnowskiemu lojalnie oznajmiłem, że jutro nie przyjdę do kotłowni. Muszę znaleźć innego "kaczegara", bo wyjeżdżam. Zdziwił się, przyłożył palec do czoła i powiedział krótko: - Durak. - Dodał jeszcze - jakby chciał przywrócić mi rozsądek: - Mówię ci, żebyś siedział na tyłku, przecież jest wojna; masz chleb, więc czego jeszcze szukasz?! - Perswazja nie odniosła skutku. Ostatni raz wyczyściłem ruszta dziesięciu kotłów, taczka wywoziłem gorący żużel z popiołem, załadowałem paleniska węglem i włączy-

łem dmuchawę, aż zakurzyło się w wąskim tunelu. Kiepsko ten węgiel się palił. Młody, z odkrywkowej kopalni nie zasługiwał na tę nazwę. Ledwie zaczął się palić, a już trzeba go wygarnąć pod nogi. Jak ruszt się zasklepi - choć zębami gryźć - nie da się oczyścić. Mam już swoje sposoby, wiem, jak regulować dmuchawę. Tylko dym w tym tunelu niesamowity, nie ma czym oddychać. Lecę po schodkach na górę, łapię w płuca ~~zapas~~ świeżego powietrza i zgarniam w dół nową porcję węgla.

Tego samego dnia wieczorem już byliśmy na dworcu. Dancygier zaszył się z walizką gdzieś w kącie, ja - pewny siebie - rozglądam się za okienkiem kasy, ~~zamierzam~~ kupić bilety. Nagle wzrok mój zatrzymał się na gazecie umieszczonej w gaolocie za cienką drucianą siatką. Tłusty druk ujawnił okrutną prawdę: **ISTREBLENIE JEWREJEW JEWROPY**. Nogi mi się ugięły, krew uderzyła do głowy. Gdy nieco ochłonąłem, zacząłem czytać obszerny artykuł. Niewiele przeczytałem, już pierwsze zdania wszystko powiedziały. Zatrzymałem się nad słowem "duszegubka". Było wyjaśnienie. To specjalny samochód, do którego ładują Żydów i trują gazami spalinowymi. Podeszedłem do Dancygiera, nie mogłem powstrzymać łez i wykrztusiłem, o czym przed chwilą przeczytałem. Popatrzył na mnie smutnie, odwrócił głowę i ledwie zrozumiałem słowa: - Dawno wiedziałem, że tak będzie, od czasu, gdy dostałem list z Majdanka. Ostatni list...

Długo stałem w kolejce, czy już obesłuchają, gdy nagle przed samym okienkiem podeszedł do mnie wojskowy. Usłyszałem: - Paj-diom - i poczułem rękę na ramieniu. W małym pokoiku rozpoczęło się przesłuchanie. Wziął dokumenty, tylko rzucił okiem i od razu z grubej rury: - Ty szpion. - Mam opowiedzieć, skąd tu się wziąłem, kto mnie przysłał, jakie mam zadanie. Zacząłem od tego, że jadę do krewnych, a skończyłem na tym, jak

przeszło dwa lata temu przekroczyłem granicę. - No właśnie, jakie zadanie Niemcy ci wtedy powierzyli? - Nie wiem, co mam powiedzieć, ale wojskowy mi podpowiada: - Sam mówiłeś, że Niemiec coś ci kazał, powiedz konkretnie, jak to było. - Zanie-mówiłem. Spojrzałem na mojego wojskowego - sympatyczny był, podobny do Matwiejewa i jak za mgłą zobaczyłem gablotę z gazetą za drucianą siatką. Spod serca wyrzuciłem pytanie: - Gazieta wy czytali? - Odpowiedział szorstko: - To ja. zadaje pytania! Ale pytań już więcej nie było. Podeszedł do telefonu, wykręcił numer i dość długo rozmawiał. Zrozumiałem, że papiery mam w porządku, wspomniał nawet o książeczce pracy. Chwilę słuchał, jakby oczekiwał decyzji. Wreszcie odłożył słuchawkę, spojrzał na mnie i powiedział: - Czort s taboj, jeżdżaj - i oddał dokumenty. Pół godziny później z Dancygierem jechaliśmy już pociągiem. Na nową tułaczkę.

W krainie owoców

Z Magnitogorska niewiele osób wyjeżdża: naczelnicy, zaopatrzeniowcy, kilka starszych kobiet, i to wszystko. Tylko dwa osobowe wagony ruszyły w stronę Czelabińska. Ale wagonów jedzie więcej; za zakrętem dopiero widać *pełny skład* naszego pociągu. Na samym końcu drugi parowóz popycha ciężkie lory. Na *lorach* ~~nie~~ pręty, sztaby, płyty pancerne, żeliwo. Ładunek trafi do fabryk, z tego powstanie sprzęt bojowy: czołgi, działa, karabiny. Na nowe uzbrojenie czeka front - wszystkie fabryki pracują dla powstrzymania naporu wroga. CzTZ - Czelabiński Traktornyj Zawod - zbudowany w latach trzydziestych, wypierał dotąd konie z pól, produkował traktory dla kołchozów i sowchozów. Traktory były niezbędne dla przebudowy radzieckiego rolnictwa, ale konie nie zniknęły. Przez *wychuchane oczko* oblodzonej szybie widać konwój koników ciągnących sanie załadowane workami. Sań sześć, a woźnica w długim kozuchu tylko na przodzie, drugi na samym końcu. Teraz CzTZ zamiast traktorów produkuje czołgi; stąd wyjadą słynne T-34 oraz J-S - sławiące imię Stalina. Te symbole stały się dopiero później znane, kiedy nadszedł czas zwycięstw. Do zwycięstwa jednak daleko, Niemcy pod Moskwą, wprawdzie zatrzymani, ale wciąż blisko stolicy. Leningrad w okowach straszliwej blokady. Niebezpieczeństwo wciąż wielkie. O powadze chwili mówią plakaty: "Matka Ojczyzna wzywa", "Wszystko dla frontu". Tutaj nie słychać wybuchów bomb, faszystowskie lotnictwo tak daleko nie sięga, ale wojnę czuje się wszędzie. Najmniej jednak w naszym wagonie; nie ma w nim ewakuowanych rodzin, nikt nie opowiada o bombardowaniach. O tym dowiemy się w innym pociągu, na innej

trasie.

Coraz bardziej oddala się łąna nad Magnitogorskiem, ciemnieje niebo, tylko daleko na horyzoncie jeszcze widać jaśniejszy kolor. Dwa lata temu też wpatrywałem się w tamtą stronę. Wtedy nie mogłem doczekać się, kiedy zobaczę słynne wielkie piece. Teraz mam to już za sobą, a z zachwytu pozostało niewiele, jeszcze mniej niż ten jasny wąziutki paseczek widoczny wciąż na horyzoncie. Za chwilę skryje się za górami.

Jadę komfortowo, nie tak jak wtedy w towarowym wagonie przy piecyku. Wprawdzie witała orkiestra, ale - jak wiemy - na skutek nieporozumienia. Dzisiaj też było nieporozumienie, o mało nie posadzili pod zarzutem szpiegostwa. Nie dziwię się, trwa przecież okrutna wojna na śmierć i życie - jak powiedział Stalin. Że trzeba być czujnym, świadczy plakat - "Wróg podsłuchuje". Uratował mnie artykuł w gazecie na dworcu. Paradoxs. Treść mówi o zagładzie Żydów w Europie & ta wiadomość uczyniła mnie wolnym. Oficer NKWD jakby zrozumiał, że nie ma powodu, abym był szpiegiem na rzecz Niemiec, a może był inny, jakiś ludzki powód? Tak czy inaczej zamiast siedzieć w więzieniu jadę w wagonie osobowym. Gdybym miał walonki, mógłbym uchodzić za zaopatrzeniowca w podróży służbowej. Nie wyglądam & jednak na takiego, tym zajmują się ludzie w sile wieku. A kim właściwie jestem? Może recydywistą? Przecież już siedziałem za rzekome włóczęgostwo. Nagle uprzytomniłem sobie, że nie mam żadnego dokumentu zezwalającego na podróż, na wyjazd z Magnitogorska. Kasjerka **najwyraźniej** nie dopełniła obowiązku, sprzedając mi dwa bilety na "piękne oczy". W czasie wojny tym bardziej nie wolno jechać bez "komandirowki". Ciekawe, że ten wojskowy nie zwrócił na to uwagi. Widocznie on **był** od innych spraw, *o wiele ważniejszych.*

Jeszcze raz wróciło pytanie, czy słusznie postąpiłem wybie -

rając się w tak daleką drogę. Co innego Dancygier, on musiał wyjechać, on w polskiej armii widzi nie tylko schronienie, ale też szansę wydostania się ze Związku Radzieckiego. A u mnie co zadecydowało? U mnie zadecydowała wizja ciepłego klimatu i krainy owoców. Nic innego. Cel mamy inny, ale jedziemy razem. Chociaż niewykluczone, że pojechałbym z Dancygierem.

W wagonie ciepło, kipiątek na miejscu - pora posilić się cennym chlebem. Sięgamy do naszej walizki. Suchary leżą równo ułożone niczym dolary w paczkach, brak tylko banderoli. Czerstwy chleb przedstawia jednak większą wartość niż pieniądze, nawet jeśli są koloru zielonego. Patrząc na ten skarb i znowu myślę, czy słusznie postąpiłem, porzucając złotodajną żyłę w "Fabryce Chleba". Co będę jadł, gdy czemodan będzie pusty?

W naszym przedziale są jeszcze dwie osoby. Starsza kobieta i jej wnuczka, z wyglądu dwunastoletnia dziewczynka, która spojrzawszy w naszą stronę, głośno westchnęła, po czym wykrztusiła: - Babuszka, posmotri skolko chleba! - Poczuję się nieswojo, przecież nie ukradłem. Wprawdzie w ostatnich dniach kilka wybrakowanych kawałków schowaliśmy do kieszeni, ale większość pochodzi z bufetu. Zresztą - Boże mój - pracować przy miodzie i nie liznąć?! Tego jeszcze nie było. Poczęstowałem dziewczynkę wojskowym sucharem i postanowiłem nie afiszować się więcej zawartością walizki. Dziewczynka podkłada lewą rączkę, żeby nie uronić okruszyny, a kiedy skończyła jeść, sięgnęła po niewielką książeczkę. Zerknąłem na tytuł: Taszkient, miasto chleba - dobrze mi znaną, czytałem ją po polsku w Tomaszowie. Była to tragiczna opowieść o dwóch chłopcach, którzy zaraz po wojnie domowej pojechali do tego miasta po ziarno na siew. Jeden zmarł na tyfus, drugi wrócił, ale przeżył makabryczną wyprawę wśród ludzi umierających z głodu. Czy nas też czeka taka

niewesoła przygoda? Odechciało mi się wszystkiego. Spojrzałem na mego przyjaciela, ale on nie zdradzał niepokoju, może dlatego, że nie znał tego opowiadania? *(Może szkoła strajbatu uczyniła go odpornym!)* Co za zbieg okoliczności! Gdyby nie list od Chmielnickiego i zjawienie się Dancygiera nie byłoby tej podróży, która może skończyć się tragicznie. Też panuje głód. Nie mniejszy *niż w tamtych czasach.*

W Czelabińsku krzyżują się drogi z zachodu na wschód i z północy na południe. Tu mamy przesiadkę na pociąg do stacji Arys przed Taszkientem; tam będzie inny pociąg do Frunze, skąd już blisko do Tokmaku. Musimy poczekać na połączenie, ale nikt nie wie, jak długo. Rozglądamy się za miejscem w poczekalni. Na próżno szukać, nie znajdziemy nawet kawałka wolnej *posadzki,* aby gdzieś spocząć, przykucnąć. Tysiące ludzi oczekuje na miejsce w pociągu. A wszystkie są przeładowane, zwłaszcza te, które jadą na południe i południowy wschód: do Turkmenii, Uzbekistanu, Kazachstanu, Tadżykistanu, Kirgizji. Do tych republik podążają ewakuowani. *Do „ciepłych krajów“*

W poczekalni przeważnie starsi ludzie i dzieci. Wszyscy pochodzą z różnych miejscowości okupowanych przez Niemców, ale także z Moskwy i Leningradu. Musi być groźnie, skoro przeniesiono ambasadę do Kujbyszewa. Mówią, że polska ambasada też tam jest. O tym i wielu innych rzeczach dowiadujemy się w dworcowej poczekalni. Nie wszyscy przyjechali z zachodu, lecz z zupełnie innej strony. Z łagrów północy. Wielu z nich wygląda groźnie, nietrudno dostrzec, czym się parali na wolności. Może warunki, w których się znajdowali, nadały im takie piętno? Są agresywni, lepiej nie wchodzić im w drogę. Skorzystali z amnestii i na swój sposób cieszą się wolnością, tej, której długo nie mieli. Jednak do życia, oprócz wolności, potrzeba jeszcze czegoś ważnego: jedzenia. W bufecie udało mi się kupić

zupę; nim się spostrzegłem, jeden z nich wyrwał mi talerz z ręki, przechylił i rękawem wytarł usta. Nie zdobyłem się na odwagę za- protestować. Nie miałem też wątpliwości, kim był; na pewno bar- dziej głodny ode mnie. Zresztą kto wie? Może sprawdzał swoją przewagę nad słabszym? Rutynowo. Trzeba dobrze uważać na walizkę, Gdyby wiedzieli, czym wypełniona?! Strach pomyśleć; dla takich ludzkie życie nie jest wiele warte.

Przed wejściem do poczekalni natknąłem się na dwóch żołnierzy w polskich mundurach; jeden z nich oferował jakiejś rodzinie bo- chenek chleba za 350 rubli. Żołnierze nie wyglądali na głodnych. O coś zapytałem, nie byli jednak skorzy do rozmowy. Status woj- skowego, w dobrze skrojonym płaszczu z angielskiej wełny, mówił sam za siebie. Nie tylko krój zyskał moje uznanie, również szy- cie było bez zarzutu. Nie wiem, z czego wynikała ich pewność sie- bie? Może dlatego, że opiekowali się nimi Anglicy. Nagle poczu- łem się kimś znacznie gorszym, kimś niemal z marginesu życia. Kompleks niższości znowu dał o sobie znać. Nie jestem żołnierzem jak ci dwaj, którymi ktoś się opiekuje. Posmutniałem.

A mój towarzysz podróży - przeciwnie. Odzyskał wigor, zniknął strach dezertera, nagle znalazł się w swoim żywiole. Usiadł na walizce, wokół niego młodzi, amnestionowani łagiernicy. Rozmawia z nimi za pan brat, językiem odpowiednim do tego towar/zystwa. Jeden nie pożałował peta i Beńk sztachnął sobie z końcówki ma- chorkowego skręta, drugi ^{ego} ciekawi w jakim łagrze siedział, jaki miał wyrok. Przyjęli go za swojego, ^(z Techmanov i) zapewne sądząc z ^{znajomości} języka rosyjskiego, ale nie tego, jakim mówią zwykli ludzie. Mowa łagier- ników jest szczególna, a Dancygier zdażył się jej nauczyć. Wy- starczyło kilka tygodni "strojbatu", aby poznać złodziejski żargon.

Najstarszy z nich opowiada, jak wolność kupił za butelkę spirytusu. Włamał się do obozowego szpitala, a ten, który był na liście do zwolnienia, wolał ogniisty napój niż w tak niepewnych czasach włączyć się po Rosji. Zresztą nie miał dokąd wracać. - Tylko o babę tam trudniej, ale znaleźć można - zapewnia krępy złodziejasek. - Tu *owidz* łatwiej, same ciągną do siebie, nawet zjeść dadzą - pochwalił się inny, pewny siebie przystojniak. Najważniejsze, co Dancygier wyniósł z tej rozmowy to przekonanie, że nie ma się czego obawiać. Będzie jednym z nich, po prostu wyszedł z łagru, jak wielu innych. Nie ma wprawdzie zaświadczenia, ale małą karteczkę mógł przecież zgubić. Mówi po polsku, powie, że siedział - wszystkich Polaków zwolnił, a teraz jedzie do armii Andersa. To nawet lepsze niż udawać złodzieja. W tym nowym wcieleniu poczuł się pewnie, wziął walizkę i poszliśmy popatrzeć na peron, czy nie ma pociągu do Taszkientu. Był jakiś, ale wagony załadowane po brzegi i takie z nalepką "dla Komso-stawa". Konduktorki stoją w drzwiach wagonu i nikogo nie wpuszczają. - Miest niet - słychać stanowczy głos. Za chwilę pociąg rusza. Od czego są jednak bufory? Na nich ^(też) można jechać. Grunt, żeby się oderwać od zatłoczonej poczekalni w Czelabińsku, podążyć w kierunku na południe. Zdążyliśmy wskoczyć na bufory tendra.

Wieje boczny wiatr, ostry mróz daje o sobie znać, pęd powietrza nie dodaje ciepła. Skuleni, przywarci do siebie, czekamy chwili, kiedy będzie przystanek. Pomyślałem o znanym powiedzonku: "Moja ukochana mieszka tuż obok, tylko dwa przystanki po... dwieście kilometrów". Taka tu jest skala odległości. Z jakiegoś powodu pociąg zatrzymał się po kwadransie; próbujemy dostać się do wagonu. Konduktorka popatrzyła na nasze skulone postacie trzęsące się z zimna i jakby zdziwiona, że

jeszcze żyjemy, powiedziała karcącym głosem: - **Polezaj!** - Odżyliśmy w ciepłe zatłoczonego korytarza.

Minął dzień, noc, znowu dzień, ciągle jedziemy, krótko zatrzymujemy się tylko na większych stacjach. Nie da się porównać z żółwim tempem naszego "eszelonu" sprzed dwóch lat. Uciekają zaśnieżone pola, na stacjach wysiadają ludzie, w korytarzu robi się luźniej. Znaleźliśmy miejsce w przedziale obok starszego małżeństwa wraz z dziećmi. Są ewakuowani z Moskwy - jadą do Kazachstanu. Opowiadają, jak wyglądała stolica, gdy Niemcy podchodzili do przedmieścia: zdawało się, że nic ich nie powstrzyma, rozpoczęła się panika, plądrowanie sklepów i rabunek. Szybko jednak przywrócono porządek.

Na małej stacji, gdzieś za Orskiem stał pociąg, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Stał na sąsiednim torze, obok naszego, więc z bliska mu się przyglądam. Przez okna widzę ludzi w kamchanach: kobiety, dzieci, starcy. Patrzą i litość mnie ogarnia. Przypomnieli mi się rodzice Murżanów zwolnionych z zesłania. Nagle usłyszałem polską mowę, a gdy zobaczyłem przed wagonem oficera w polskim mundurze, nie było już wątpliwości, że to rodziny wojskowych, którzy również ewakuują się do Iranu. Pociąg wkrótce odjechał, a na ostatnim wagonie powiewała biało-czerwona flaga. Na radzieckim pociągu była szczególnym symbolem, nie spodziewałem się tego. Była symbolem zwycięstwa — > tych, którzy przeżyli masowe deportacje i łagry. To — na szczęście — wraz z ^{kilkoniu} ~~tyśią~~ ^{tyśią}cami Żydów, z własnej woli pojechałem do Magnitogorska, i może dlatego ominął mnie łagier, albo jeszcze gorzej — zagłada.
 Dodzielilibym los szczęściu milionów Żydów. Ale kto wie, co dalej czeka mnie w tym kraju.
 ← Miałem nadzieję, że po wojnie będę miał możliwość powrotu do

Polaki. Ale czy ta nadzieja się spełni i kiedy, nie wiedziałem.

A tymczasem mijają dni w pociągu, przed nami wciąż stepy Kazachstanu, bezludnego kraju, przeciętego wąską nitką szyn. Mignie mała stacyjka, nędzne zabudowanie z gliny - jeszcze z czegoś - i białe stogi bawełny przykryte brezentem. Niekiedy przesunie się karawana wielbłądów - ślad życia na bezkresnym stepie.

Minęliśmy miasto Kzył-Orda i miejscowość o ponurej nazwie Gołodnyj Step. Myślę, że teraz więcej takich miejscowości zasługujących na tę nazwę. Nie tylko w stepie.

Na jakiejś stacyjce znowu widziałem Polaków. Tym razem ^(biało-czerwona) flaga powiewała nad dużym namiotem, obok stał żołnierz na warcie. Więcej było polskich żołnierzy i namiotów.

W wagonie coraz luźniej, niektóre przedziały puste. Ludzie wysiedli, aby czas wojny przeżyć w kołchozach południowego Kazachstanu, inni jadą dalej do różnych republik Azji Środkowej.

Na krótko przed przyjazdem do węzłowej stacji Arys wszedł do naszego przedziału niemłody już oficer w polskim mundurze. Tuż za nim - radziecki. Usiedli naprzeciwko mnie i mimo woli słucham, o czym rozmawiają. Przeważnie mówi polski major. Opowiada o kampanii wrześniowej, że latał na myśliwcach i miał wtedy okazję poznać umiejętności niemieckich lotników. - Kiepska klasa, nie umywają się do naszych orłów. Zaskoczyli nas, za mało mieliśmy maszyn, więc bitwę wygrali. Nie wojnę. Pokażemy im, jak się wojuje - i jeszcze raz podkreśla, że niemiecki pilot to żaden przeciwnik. Radziecki oficer słucha, przytakuje, zauważył, iż nie należy lekceważyć przeciwnika. Wkrótce wyszedł gdzieś na chwilę.

Dancygier wygląda oknem w korytarzu, pozostałem sam na sam

z naszym oficerem i takdo niego mówię: - Panie majorze, widać z tego, że będziemy bić Hitlera. - Mój rozmówca rozejrzał się po pustym przedziale, chwilę się namyślił, po czym usłyszałem odpowiedź: - To się okaże, może Stalina? - Zatkano mnie, nic nie odpowiedziałem, zresztą radziecki oficer wrócił do przedziału.

Nie walkę przeciw Stalinowi nie mojestem

sobie tego wyobrazić. Przecież armia radziecka razem z sojusznikami ratuje świat przed zalewem hitleryzmu!

Wreszcie stacja Arys - tu wysiadamy by przesiąść się do pociągu jadącego w kierunku miasta Frunze. Opowiedziałem Dancygierowi, co usłyszałem pół godziny temu; ten jednak inaczej zareagował niż ja. - Jeden oficer, nawet w randze majora, nie decyduje, przeciwko komu będą walczyć. J nie łobie o tym sądzić, nie siedziałeś w łagrze.

- Puść to mimo uszu, trzeba się dowiedzieć, gdzie jest punkt werbunkowy. ~~i tym zakończył swoje uwagi natłakana-
rodziwy wnet.~~ Był przekonany, że razem wstąpimy do wojska.

Jeszcze nie ochłonałem z wrażenia, gdy w poczekalni dworca zobaczyłem grupkę ludzi z wyglądu podobnych do "zapadników". Podszedłem bliżej, żeby się czegoś dowiedzieć, i nagle osłupiałem. Miałem przed sobą tomaszowiaka, Motla Bartmana, którego nie widziałem prawie pięć lat. Od razu go poznałem, w Tomaszowie mieszkał naprzeciwko mnie. Wyjechał do Związku Radzieckiego w 1937 roku razem z moim bliskim kolegą, Hellerem, z tym samym

pechowcem, który przewrócił się z chałkami w drodze do piekarni. Od tego czasu słuch po nich zaginął. Usiedliśmy gdzieś w kacie i Motel zaczął opowiadać. [Kilka dni po przejściu granicy tzw. trójka z białoruskiego sądu wojennego dała nam po pięć lat. Siedzieli^{śmy} w różnych łagrach, które trudno wyliczyć, ale jeden był szczególnie ciężki i tam Heller zmarł. Służba więzienna rzucała chleb dla całej grupy więźniów, on był za słaby i musiał zginąć. Mnie uratował zawód felczera. Właściwie nim nie był^{em}, przeszedł^{em} tylko w junakach w 1936 roku - takiej paramilitarnej organizacji - kurs w dziedzinie niesienia pierwszej pomocy, i to wystarczyło, żeby^m w obozie miał dostęp do spirytusu. A to najcenniejsza rzecz, tym kupuje się życie. Wyrok kończy mi się za parę miesięcy, ale wcześniej zwolnili - w ramach amnestii dla Polaków. Przyjechał^{em} na południe, aby dostać się do armii Andersa. Potrzebują felczerów i właściwie już mnie przyjęli, jakiś oficer spostrzegł jednak, że źle mówię po polsku. Prawdopodobnie podejrzewał we mnie sowiecką wtyczkę. Nie pozostaje mi nic innego jak wrócić do łagru - mówi Motel. [Zdziwiłem się. - Sam tam jedziesz? - niewiarygodne! A czemu się dziwisz? Naokoło panuje głód, ludzie umierają na malarię, tyfus, dyzenterię. - Nie mam czego tu szukać. Ci, którzy pracują na polach bawełny, dostają garść ziarna, a na tym długo nie pociągną. Na Syberii tak widać chleb, w łagrze miałem nieźle; felczer to figura, będę wolnonajemnym. Dobrze żyję z "naczalstwem", dostanę stałą przepustkę i z głodu nie umrę. - Co się tyczy wyjazdu z armią polską do Iranu, to wy nie macie żadnych szans, takich kręci się tu tysiące. A najważniejszy powód jest nader prosty: nie mają czym wyżywić takiej masy ludzi. Sowietci nie dają prowiantu. Ot co! - I na tym Motel zakończył swój monolog. - Dancygier spojrzał na mnie, ja na niego nie wiedząc, co o tym sądzić. Zrzędkła mu mina

na wieść o braku szans wyjazdu do Iranu, a u mnie dylemat z głowy. Motel odchodzące dorzucił: - Macie do wyboru: pola bawełny lub powrót na północ. Doradzam północ. Inie zapomnijcie zabrać ze sobą machorkę; tu można kupić za bezcen, a na Syberii łatwo zamienić ją na chleb.

My jednak pojechaliśmy do Tokmaku, tam, dokąd zapraszał Chmielnicki. Czemodan wyrzuciliśmy, był już niepotrzebny. Zaczął dokuczać głód. Na stacji Kant źle się poczułem, mam gorączkę i nie sposób pomyśleć o wielkim filozofie i o rzeczy samej w sobie. Zachorowałem. Dojechałem do celu, marząc tylko o tym, aby się położyć. Pytam Kirgiza o ulicę Lenina, taki mam adres. W odpowiedzi słyszę: - Czajchana. - Inny tak samo odpowiada, więc przestałem pytać; idę tam, dokąd wskazują ręką - do herbaciarni. Tam wszystkiego się dowiedziałem, od takich samych jak my "zapadników". Przede wszystkim, że stoimy na poszukiwanej ulicy Lenina, a pracownia krawiecka - o trzy kroki stąd. Nic dziwnego, że Kirgizi właśnie tu nas skierowali; wiedzieli, że w herbaciarni spotkamy rodaków, którzy udzielą nam informacji. Znajdujemy się wśród swoich, ale nie jesteśmy spragnieni zielonej herbaty w miseczkach. Nie mamy też zwyczaju picia jej w pozycji półleżącej na glinianej podłodze oparci łokciem o coś miękkiego. Poza tym spieszno nam do tomaszowiaka, wszak zapraszał.

Z czajchany widać szyld malowany na olejno, a na nim naturalnej wielkości elegancki pan ubrany w granatowy dwurzędowy garnitur. Na szyldzie napis: SZYRPOTREB - SZWEJNAJA MASTERSKAJA - AMERYKANKA. Wszędzie wciskają się Amerykanie, nawet w dalekiej Kirgizji. W Tomaszowie koło trefnych jatek wisiał niemal identyczny szyld; napis był tylko inny: - Krawiec męski, damski, wojskowy i dziecienny. Nam jednak nie do wesołych wspominków. Nie mamy się gdzie zatrzymać, bo w Amerykance nie zastaliśmy

Chmielnicki^{ego}, tydzień temu wyjechał i nie wiedzą dokąd. ^(Meżc do Iranu?) Wróciliśmy do swoich, do czajchany, gdzie można poradzić się, jak znaleźć nocleg. A rada była rozsądna. Parę kilometrów za miastem budują cukrownię, tam każdego przyjmą do pracy; dadzą "bbszcze-żytje" i kartki na chleb. Dobra wiadomość, ale cóż z tego; opadłem z sił, mam dreszcze, rozpalone czoło, więc zamiast na budowę ledwie dotarłem do szpitala. Zdjąłem koszulę, lekarz popatrzył na czerwone plamki na ciele, usłyszałem diagnozę: - Sypnoj tif. - Zrozumiałem, że zachorowałem na tyfus. Jak jeden z chłopców z opowiadania Taszkient miasto chleba, który do domu nie wrócił. Zostałem w szpitalu, a Dancygier poszedł w kierunku budowanej cukrowni. Co drugi dzień przychodził dowiadywać się, ale na oddział zakaźny nikogo nie wpuszczają. Mówili mi o tym i było mi lżej. *Liej, bo ktos o mnie pamieta!*

Po dwóch tygodniach czerwone plamki zniknęły, poczułem się lepiej i któregoś popołudnia znalazłem się na drodze w kierunku budowy. Tam spotkam mego przyjaciela, znajdę opiekę. Ale jak pokonać przestrzeń trzech kilometrów? Już dwie godziny wolniutko przebieram nogami, widać światełka baraków, ..jednak do celu wciąż daleko. Wreszcie upragniona prycza, można odsapnąć. Dancygier popatrzył na mnie, stwierdził, że schudłem, ale myślał mi być gdzie indziej. Słyszał w baraku o skutkach tyfusu, o przemożnym^m łaknieniu czegoś do jedzenia - tak wielkim, jak wody na pustyni. Wiem, że to pragnienie wystawiane jest na próbę: nie potrafisz się powstrzymać, za dużo zjesz, nastąpi, jak mówili w szpitalu - wozwratnyj tif - recydywa i murowana śmierć. Jeść trzeba w sposób umiarkowany, ale mój przyjaciel nie ma nawet skórki od chleba. Można wymienić odzież u Kirgizów, chętnie dają jedzenie, to zresztą jedyne wyjście, szkopał jednak w tym, że on nic nie posiada. Nagle spojrzał na pryczę, jednym

ruchem ściągnął powłoczkę z poduszki i schował ją pod fufajkę. Poleciał z tym do miasta w ciemną, mroźną noc. Nie upłynęło pół godziny, gdy jadłem już „lepioszkę” - podpiomyk z pszennej mąki. Przyniósł również tak upragnione „owoce południowe” - suszone morele czyli uriuk.

Zaspokoilem głód i mogłem pomyśleć o czymś innym. Moi najbliżsi w Tomaszowie niestety już nic nie potrzebują. Tytuł gazety w gablocie za siatką rozwiął wszelkie nadzieje. Brat daleko stąd w „strojbacie, na pewno ciężko pracuje i przymiera głodem. Zresztą jak miliony ludzi w Związku Radzieckim, choć w różnym stopniu.

Podjadłszy na deser „południowych owoców”, gdy błogie uczucie rozeszło się po całym ciele z wdzięcznością spojrzełem na mego przyjaciela. Widziałem w nim drugiego brata.

Po kilku dniach kopjemy już długi rów, w którym układają rury instalacji wodnej. Ziemię ładujemy na arbę - taki wóz z dwoma dużymi kołami, zaprzęgnięty w parę wołów. Rażno idzie nam robota, mamy wprawę do łopaty. Ziemia nie tak zmarznięta jak w Magnitogorsku, w nocy wprawdzie mróz, jednak w dzień śnieg topnieje. Ale w baraku zimno, prowizoryczna buda; tylko na górnych bryczkach nieco ciepłej.

Po pracy, podobnie jak w magnitogorskim „obszczeżitju”, rozprawiamy o dawnych ^{czasach} dobrych. Prawie wszyscy są z Polski, ale mają inne doświadczenie z ostatnich dwóch lat. Nie pojechali do pracy dobrowolnie, zostali deportowani. O deportacjach coś niecoś wiedziałem od Murzanów, ale to, co opowiadają, ma inny wymiar. Dowiaduję się, że cała północ usiana jest łagrami, pełno w nich Rosjan, z których tylko część to pospolicci przestępcy. Najwięcej tam ludzi niewinnych, z jakiegoś powodu uznanych za wrogów ludu.

Nasi są teraz wolni, ale wielu nie może wyjść do pracy, siedzą więc na pryzkach przygnębieni w beczynnym oczekiwaniu na... Mesjasza. Po prostu nie mają obuwia. Wychodzą tylko z konieczności w chodakach własnej roboty - wystrugana z drewna podeszwa i kawałek pasa parcianego. Tu przyjechali w nadziei, że w ciepłym klimacie wreszcie odżyją; niestety - na razie zimno i głodno.

Jednym z bo-
sonogich jest starszy już wiekiem inżynier-chemik z Warszawy. Do wojska się nie nadaje; tak mu powiedzieli na komisji w Buzulu. Teraz żyje tylko wspomnieniami wytwornego ongiś życia. Całymi godzinami opowiada o tamtych czasach, ceni mnie jako słuchacza, dzięki mnie lepiej widzi przeszłość, tylko przeszłość tę sprzed wojny. O przyszłości nic nie mówi. Jeden widział swoje miejsce w armii, ale nie przyjęli. Inny próbował w Jangi-Julu blisko Taszkientu, lecz nie mieli żywności. Ochozy otoczone wianuszkami kobiet i dzieci - rodzinami wojskowych - aby się pożywić. raż marzył o zrzuceniu zawieszonych łachmanów i menażce ciepłej strawy. Jeszcze inny uważa, że armia polska z Iranu pojedzie bronić imperium brytyjskiego w Singapurze lub pół naftowych na Bliskim Wschodzie. Anglia potrzebuje żołnierza. O tym samym mówił Tadeusz w dniu naszego wyjazdu z Magnitogorska.

Sąsiad z górnej pryczy ma mapę Kirgizji. Palec zatrzymał na pobliskim jeziorze Jssyk-Kul, potem przesunął do miasta Przewalsk, przy samej granicy z Chinami. - Widzisz te góry na granicy - powiada do mnie - mają ponad siedem tysięcy metrów. Nie da rady. - Przewalski, rosyjski generał i wielki podróżnik polskiego pochodzenia, miał chody; wiedział też jak przejść - smętnie kończy swoją wyprawę palcem po mapie. Takie pomysły powstają u byłych łagierników, dla których odzyskana wolność zrodziła ochotę wyrwania się

- 376 -
(byle dalej od kraju Tagróh.

gdziekolwiek, Jeżeli nie do Iranu, to do Chin.

Długo nie pracowałem na tej budowie - zawiniły... woły. Początek marca, kilka dni po wypłacie - ładujemy ziemię. Pełną arbę mamy zawieźć na zwalkę, ale nasze bydlaki nie chcą ruszyć z miejsca. Okładamy więc wołowe grzbiety, czym popadło. Bez rezultatu - taka perswazja nie odnosi skutku. Prosimy, błagamy, a one nic - zaparły się i ani rusz. Pogniewały się na nas czy co u licha? Co robić? Nie możemy tak stać cały dzień bezradni i modlić się do nich jak do złotego cielca. Tak mnie wkurzyły, że zakląłem po rosyjsku, po czym po polsku: - Niech ich szlag trafi! Niech stoją, wracam do Magnitogorska! - Mój przyjaciel nie był tym zaskoczony. Nieraz słyszał moje utyskiwania: na barak, po którym hula wiatr, na zamknięty krąg tych samych ludzi, pogrążonych w depresji, na marne jednostajne wyżywienie w połowie tylko zaspokajające głód. W Magnitogorsku żyłem lepiej. W czteroosobowym "kameralnym" pokoiku, wśród starych znajomych, a - najważniejsze - pozycja "kocze-gara" w Fabryce Chleba to było coś!

I nie zdziwiło mnie, kiedy usłyszałem, że i on wraca. Zresztą nie wyobrażałem sobie inaczej, zanađto związała nas przyjaźń. A Dacyngier nie uważa się więcej za dezterera, uchodzi za jednego z wielu amnestionowanych, i w tym nowym wcieleniu wypowiedział hebrejsko-rosyjski zwrot: - Haszkewajne nazad - i klamka zapadła; pół godziny później byliśmy już na dworcu w Tokmaku. Do baraku nie zajrzeliśmy, bo i po co? Wszystko mamy na sobie, wołami też nie ma się co przejmować - znudzi im się stać, same pójdą.

- gdyby nawet sprzedali -

Biletów nie zamierzamy kupować, musimy oszczędzać, przed nami daleka droga. Parę godzin udało się jechać na gapę, ale przed miastem Frunze sprawdzają bilety, trzeba wysiąść. Pociąg

ruszył w dalszą drogę, a my zostaliśmy na dworcu, nie było możliwości dostania się do innego wagonu. Na lorach buraki cukrowe i cebula fioletowego koloru. Buraków nie da się dużo zjeść; buraki cukrowe wbrew nazwie nie są słodkie, w baraku próbowałem, wprost śmierdzą, nawet pieczone. O cebuli złego słowa nie mogę powiedzieć, ale trzeba pomyśleć o czymś konkretnym - o chlebie.

Podobno przed zamknięciem sklepu można dostać pozostałe resztki, które sprzedają czasem bez kartek po cenie komercyjnej. Dancygier wszedł do środka, ja, mając^{niktą} nadzieję na sukces, stoję jak pies przed jatką - długo i w kiepskim nastroju. Ze sklepu wyszła siwowłosa kobieta o ujmującym wyglądzie; chustka na ramionach, w siatce sporo chleba, chyba na dwa dni dla kilku osób - oszacowałem. Przystanęła i przygląda mi się matczynym wzrokiem.

Pokiwała głową, sięgnęła ręką do siatki i gestem, właściwym tylko kobietom, dała spory kawał. Tak jak synowi, którego trzeba nakarmić. Może jej syn lub wnuk zginął na froncie? Nie wiem. Ścisnęło w gardle, płakać się zachciało za żebraczy chleb, chociaż żebrakiem nie byłem i ręki nie wyciągałem. Zdawało mi się, że ta kobieta jest podobna do mojej mamy. Jakby nie swoim głosem wykrztusiłem: - Dziękuję - a w odpowiedzi usłyszałem: - Kuszaj na zdrowie, synok. - Odeszła, ale po kilku krokach odwróciła się. Widziałem jak wierzchem dłoni wytarła oczy.

Ze sklepu wyszedł mój przyjaciel, zrezygnowany brakiem nadziei na kupno owych resztek. Spojrzał zdziwiony, skąd mam chleb, ale po chwili domyślił się, że ktoś podarował. Podzieliłem się z nim, lecz nie uczuciem wzruszenia. Tym nie sposób

się dzielić, ono do dziś pozostało moją ^{niepodzielną} własnością.

Naszym domem są teraz dworcowe poczekalnie, a celem - pociągi, które jadą na zachód. Bez biletu nie daje się długo jechać. Już takich znają i zwyczajnie wyrzucają na najbliższym przystanku. Próbujemy w innych wagonach, na buforach, jak się da. Gdy jednego wyciągną spod ławki, drugi sam się ujawnia - nie możemy się przecież rozdzielić. I tak dotarliśmy do węzłowej stacji Arys. Śpimy na posadzce w dworcowej poczekalni, znowu chcę się jeść. Jakiś przygodny znajomy, też "bieżeniec", a teraz na dodatek były łagernik, częstuje czymś bardzo twardym koloru słomy. Są to wytloki nasion bawełny, rodzaj naszych makuchów, ale nie daje się tego ugryźć, a tym bardziej zjeść, gorzkie jak piołun. Mimo to ubyło kawałek.

Stąd blisko do Taszkientu. Kierunek wprawdzie przeciwny, ale podobno w tym mieście można zaopatrzyć się w chleb. Przed nami przecież długa podróż, a to słynne "miasto chleba". Późnym wieczorem byliśmy ^{na dworcu} w Taszkientcie. Próbujemy na nocleg dostać się do poczekalni. Niestety, bez zaświadczenia o dezynfekcji nikt nie może wejść. Pełno ewakuowanych, słusznie obawiają się epidemii tyfusu. Noc, zimno, nie możemy tak stać. Gdzieś za dworcem, w jakimś domu lekko uchylona brama. Na pierwszym piętrze nieco cieplej; klatka schodowa drewniana, do świtu można się przespać. Znacznie cieplej, gdy leżymy ciasno przywarci do siebie. O świcie ktoś otworzył drzwi od mieszkania, poczuliśmy ^{zdziwione} spojrzenie i spłoszeni, jak bezpańskie psy, wyszliśmy na ulicę.

Ludzie śpieszą do pracy. Uzbekcy w długich watowanych chałatach rozmawiają niezrozumiałym dla nas językiem, na głowie mają "tubietejki" - barwnie haftowane czapeczki. Dziewczyny dorodne - z długimi czarnymi warkoczami, książki pod pachą.

Wesołe, uśmiechnięte jakby nie było wojny. Wystarczyło przejść kilka ulic, aby przekonać się, że to złudny obraz. Przed nami skwer, jakieś szopy, setki ludzi oczekuje na otwarcie sklepu, w którym mają sprzedawać chleb bez kartek po cenie komercyjnej. Podjechał furgon, z szopy zabrali trupy. Oni już niczego nie potrzebują.

Sklep otworzyli, ale chleba nie ma; podobno mają przywieźć około południa. Słońce już przygrzewa, ponad dobę nic nie jadłem, długo płyną godziny, a do południa daleko. Nie mogę się doczekać^{si} wchodzę do środka, aby być jednym z pierwszych.

Znowu zaburczało w pustym brzuchu, zaburczyło pytaniem:

← - Kiedy przywiozą chleb? Ku memu zaskoczeniu usłyszałem, że zaraz będą sprzedawać. Kolejka niewielka, przede mną zaledwie kilka osób, więc nie mam wątpliwości, że dostanę. Przywarłem do stalowego pręta odgradzającego ladę i cierpliwie czekam. Nagle od strony wejścia coś runęło. To do sklepu wdarł się tłum, jak żywioł wody z przerwanej tamy. Niefortunnie stanąłem, przegrodę mam na wysokości żołądka; tłum napiera, czuję, że za chwilę zostanę na wpół przecięty. Już niczego nie chcę, mimo że za chwilę będą sprzedawać. Jedyne pragnienie to wyjść żywy, uwolnić się od ucisku fatalnego pręta, uwolnić się od naporu żaknących chleba. Straciłem już nadzieję, zabrakło tchu - kątem oka wypatruję przyjaciela, bo

tylko on może mnie wybawić; o własnych siłach nie sposób stąd się wydostać. W pewnej chwili zdawało mi się, że go spostrzegłem: w ciasnym tłumie. Zacząłem krzyczeć: po rosyjsku, po polsku, wreszcie w języku dobrze mu znanym: - Ratywyt! - Jak siostra Bronia, kiedy była bardzo chora i resztkami się prosiła o ratunek. Przyjaciel uratował; wyciągnął ledwie dyszącego. Widziałem, jak pięściami bił, kiedy przedzierał się w moją stronę. Bez skutku. W końcu wskoczył komuś na plecy, zafalowało, ześlizgnął się tuż przy ladzie i pomógł obrócić się bokiem. A to wystarczyło, aby złapać oddech. Uff! Odechciało mi się komercyjnego chleba.

Na schodkach wycieram rękawem mokrą twarz, chwytam powietrze jak ryba na piasku, i nieco ochłonawszy tak mówię do mego przyjaciela: - Za chwilę już bym nie żył, ten krzyk był moim ostatnim słowem. - Nie, mój drogi - odpowiedział. - Ostatnie słowa, kiedy ma się stanąć przed Bogiem są inne. Szema Isroel. - Nie byłem mocny w hebrajskim, ale te słowa wyniesione z chederu na wszelki wypadek zapamiętałem, nie były mi obce. ^(Słyszałem je również pod ławą za Rawą.) (Zołądek znowu dał znać o sobie, co nieomylnie oznacza, że jeszcze nie teraz stanę przed obliczem Stwórcy.

Idziemy na bazar - jedyne źródło, gdzie można bez trudu coś kupić do jedzenia. Tym razem nie było powodu do rozczarowań. Uzbegy handlują swymi plonami z działek przyzagrodowych. Pełno warzyw, suszonych moreli, migdałów, rodzynek. Te ostatnie nie są podobne do tych, które niegdyś wydłubywałem z ciasta. Są duże, ciemnoniebieskie, z szarym nalotem. Inaczej też się nazywają: "Kisz-mysz" - taka jest tutejsza nazwa suszonych czarnych winogron bez pestek. Najpierw zjedliśmy po lepioszce ,

potem na deser pierożki smażone w oleju, nadziewane owym "kisz-myszem". Zahulaliśmy na całym. Lecz te wspaniałości ogołociły nas z rubli, pozostały kopiejki i prysnął mit o Taszkencie - mieście chleba. Gdyby nawet był, nie mamy pieniędzy. Ale na tle owoców i bazarowego zgiełku można na chwilę zapomnieć o wojennej rzeczywistości, o czekającej nas długiej podróży do Magnitogorska. Najważniejsze, że jesteśmy w miarę syci, a to powoduje, że humor mamy nie najgorszy; o przygodzie w sklepie już zapomniałem.

Nagle zauważyłem w tłoku znajomą twarz. Nie ma wątpliwości, to Katia Rumiancewa. Ona mnie też poznała, siedzieliśmy przecież na jednej ławce w "Rabfaku". Ucieszyła się na mój widok. Opowiada, że rzuciła męża i z dwojgiem dzieci tu przyjechała. Tu wyszła za Uzbeka i jest zadowolona; tylko latem upały nie do zniesienia. Oczywiście przypomniała sobie, jak podpowiadałem jej na klasówce z języka rosyjskiego. Śmiejemy się z tego, wspominając dobre czasy w szkolnej ławie. *Jeszcze jakieś wspomnienie i pożegnałem Katię słowami - do zobaczenia w Magnitogorsku. Odpowiedziała kwaśnym uśmiechem, co mogło oznaczać, że nie tęskni za tym miastem.*

A Beniek wciąż wpatrzony w góry owoców, nie może od nich oderwać oczu. Nagle zanucił refren piosenki, którą dobrze znałem: - "Rożniks myt mandłen". Któż jej nie znał? Od stu lat mamy śpiewały dzieciom tę kołysankę o tym, że gdy dorosną wzbogacą się handlując rodzynkami i migdałami. - Nie ma co rozczułać się, trzeba iść na dworzec - przerwałem i memu sercu miłą piosenkę. Beniek jednak dalej nuci: - "Es komen cajten fyn ajzen bahnen" /idą czasy kolei żelaznych/. Gdy skończył, przypomniałem mu taką anegdotę: Powiedzieli kiedyś

cadykowi z Góry Kalwarii, że wkrótce zbudują kolej i do Warszawy nie będzie jechał cały dzień tylko niespełna godzinę. Cadyk ~~nie był~~ ^{(cony -} tym zachwy) Po co ten gwałt, po co ten pośpiech. Ja mam czas - *odparł z talmudycznym przyśpiewem.*

Przeszliśmy szerokimi ulicami: po bokach platany, wkrótce się zazielenią, a nam śpieszno do Magnitogorska. Pociąg w naszą stronę odjedzie dopiero jutro rano o szóstej, pora jednak już teraz poszukać noclegu. W rachubę wchodzi jedynie dworcowa poczekalnia, nie mniej zatłoczona niż w Czelabińsku, widzimy to przez oszklone drzwi. Jak wiadomo, bez papierka z łaźni do środka nie wpuszczają. Życie omija jednak zakazy, nietrudno wejść. Ktoś wyszedł na zewnątrz, wziął kartki od innych i już jesteśmy w środku. Na posadzce pokotem leżą ludzie, w powietrzu kwaśny zaduch; strach usiąść, a tym bardziej położyć się. Zmęczenie i senność robią jednak swoje - zapomina się, że można się zarazić nie tylko tyfusem.

Zupełnie tak samo, jak w 1939 roku w białostockich bóżni-
cach. Oprócz obecności byłych łażnierników ^{sceneria} podobna. Sporo takich, trzeba uważać. Wprawdzie niewiele mogą nam ukraść, właściwie nic; z wyjątkiem butów, które we śnie mogą ściągnąć. Robimy to, co inni - jeden leży na nogach drugiego. Nieco niewygodna pozycja, ale nie ma rady. Buty - nawet mocno znoszone, byle jakie - są cenne. Nim się spostrzeżesz, możesz być bosy. Nagle zdawało mi się, że już świt, możemy spóźnić się na pociąg. Budzę przyjaciela i po chwili byliśmy już poza poczekalnią. Z przerażeniem jednak stwierdziłem, że popełniłem fatalny błąd. Na dworcowym zegarze dopiero dziewiąta wieczór. Co robić? Nie mamy szans powtórnie dostać się do środka. Tam już śpią, nikt nie da nam teraz karteczki. Pozostaje tylko jedno: przespać się na pierwszym piętrze na

klatce schodowej w znanym nam domu i znanej pozycji chroniącej od zimna. I tak też uczyniliśmy - po raz drugi.

Pociąg odszedł około południa. Miejsce na buforach, znowu stacja Arys, znowu głodni, a przed nami droga - jakże daleka. Jechaliśmy cały miesiąc: przez pola, na których był już siew, przez step, na którym nic nie było, i najdłużej - już w swoim krajobrazie, gdzie trwa wciąż zima. Na trasie robimy przesiadki, lecz nie zawsze udaje nam się wejść do następnego pociągu. W każdym wagonie konduktorki już takich znajdują. Czy jest sens dalej się naprzykrzać i sprawiać kłopot ciągłym wyrzucaniem na najbliższej stacji? Nie mamy wyboru i nawet przywykliśmy do tego. Często sami zmieniamy pociąg, zresztą i tak musimy robić przerwę, aby zdobyć coś do jedzenia. Wiele razy wysiadaliśmy.

Nad Morzem Aralskim są ryby, a w bufecie nietrudno "zławić" rybkę, zwłaszcza gdy jest wędzona. Gorzej z chlebem, a raczej bez niego. Jakże łatwo nauczyć się kraść, gdy wokół mistrzowie tego procederu - wystarczy naśladować byłych łagierników.

Pewnego ranka, po nocy przespanej w dworcowej poczekalni - wychodzimy na ulicę miasteczka. Ktoś przystał do nas i w trójkę idziemy po świeżym śniegu. Białe dachy wyłaniają się z porannej mgły, gdzieś w oknach drewnianych domów gasną blade światła. Cisza. Nagle poczułem rozkoszny zapach; nie ma wątpliwości, tak pięknie pachnąć może tylko chleb. Przed nami furgon z dykty malowany na zielono, na koźle woźnica najwyraźniej drzemie. Nim się spostrzegłem, Dancygier znalazł się z lewej strony furgonu, przy drzwiczkach. Gdy tylko wyjął zatyczkę, wysypały się ogromne bochny. Nie stracił głowy, pozbierał je na śniegu, włożył z powrotem, tylko jeden schował za pazuchę. Miał chyba ze cztery kilogramy. Ja bym takiej sztuki nie dokonał, nie

przeszedłem szkoły w "strojbacie". Ten trzeci, który miał za sobą łagier w Workucie, był przerażony, krakał, że mógł ktoś zauważyć, znajdują nas na dworcu i piątka murowana. Dostał pajdę i uspokoił się. Już z daleka widzieliśmy jak rusza pociąg, wskoczyliśmy w biegu i na stopniach ostatniego wagonu dojechaliśmy do najbliższej stacji. Ten, który tak się przestraszył wyczynem Dancygiera, nie zdażył. Jak go nie posadza - pojedzie następnym.

Mam skrupuły. Nie wypada być na utrzymaniu kolegi, trzeba samemu coś spróbować; na początku może na mniejszą skalę. Na jakimś peronie "babuszka" sprzedaje zsiadłe mleko z owiniętego szmatami garnka, oferuje też placki kartoflane. Nie mamy nawet rubla, żeby choć jeden kupić, mimo to trzyman w rękę ciepły jeszcze placek. Sięgam do pustej kieszeni, zbyt długo szukając pieniędzy. Pociąg ruszył i w ostatniej chwili wskoczyłem na stopnie wagonu. Przy mnie mój przyjaciel, z którym od razu zjedliśmy zdobycz.

W tych stronach już zimno, można zmarznąć na kość, a pęd powietrza dodatkowo robi swoje. Nie polecam takiej podróży. I tak - ledwie żywi - resztkami sił dobrnęliśmy do Magnitogorska. Nieco spuchnięci od głodu, z czyrakami na ciele, z odmrożonymi nogami i na dodatek zawszeni. Gdy zobaczyliśmy z daleka hutę - odetchnęliśmy z ulgą. Skończyła się niefortunna wyprawa, za nami koszmarna droga powrotu.

Już następnego dnia byłem u Sosnowskiego; jadłem chleb nie kradziony i pochyliłem przed nim głowę, jak syn marnotrawny. Po ojcowsku pogroził palcem powtarzając: - A mówiłem.... A mówiłem, żebyś siedział na tyłku. - Ze skruchą przyznałem mu rację. Znowu pracowałem w kotłowni w moim fachu "koczegara", zadowolony jak przedtem. *Nie na długo.*

Po dwóch tygodniach wojna przypomniła, gdzie powinien^{em} być;

wezwanie do Wojenkomatu rozwiało wszelkie wątpliwości. Będę służył w Raboczno-Krestianskoj Krasnoj Armii. Tak oznajmili na komisji poborowej, a lekarze potwierdzili, że nadaję się do pełnienia służby wojskowej. Przyjąłem to jak swego rodzaju wyróżnienie, dotąd bowiem nie słyszałem, żeby kogoś z naszych przyjęli do Armii Czerwonej. Widocznie coś się zmieniło. Wi-działem już siebie na dworcu przed odjazdem pociągu do jednostki wojskowej, skąd po przeszkoleniu znaję się na froncie. Szko-ła, że nikt nie będzie mnie żegnał - pomyślałem ze smutkiem. Niejasne miałem wyobrażenie, jak najbliżsi odprowadzają na woj-nę, ale to, co tu widziałem, było zupełnym zaskoczeniem. Nie raz i nie dwa byłem tego świadkiem.

Echo wojny dotarło na dworzec głosem ^{Kobiet.} Matki, żony, siostry głośno zawodzą. Niesamowity widok na tle pociągu i tych udających się do wojska. Zmobilizowani są już w wagonach, cisną się przed ok-nami, żeby zobaczyć odprowadzającą rodzinę. Może po raz ostatni? Nawoływania i płacz mieszają się w jeden głośny lament, jakby za chwilę, za zakrętem z pociągu nic nie pozostało, wszyscy znaj-dą się w zbiorowej mogile. Nie ma w tym przesady, trudno to opi-sać. Dzisiaj jeszcze widzę ten zadozający tłum otoczony na żalob-nyim zgromadzeniu, *Cóż* - taka tradycja, *jeszcze* uszanowana przez władze. W wojsku dotąd nie służyłem; po prostu boję się frontu, próbkę już przeżyłem. Ale muszę tam pójść, tak jak ci, których w ten sposób żegnają.

Po trzech dniach, już z wzięciem w rękę, znowu ^{byłem wśród} poborowych, wśród —> bez trosk krzątających się do wojska. *Poni śladu żalobnego nastroju.* Wkrótce nastąpiła selekcja. Okazało się, że wszyscy z paragra-fem Nr 38 w "pasporcie" nie pojedą do jednostki wojskowej na przeszkolenie, *nie skierują na front, tylko do „Trudowej Armii”*

do "Stroitel'nogo Bataliona". - Zaskoczenie, niespodzianka.
Czeka mnie bowiem los mego przyjaciela, który już doświadczył,
co robi "strojbatowiec". Jakże myląca nazwa! Przecież bata-
lion budowlany nie ma nic wspólnego z wojskiem, nie buduje
przepraw; żołnierz, który nie dostaje umundurowania ani broni,
nie jest żołnierzem. Będę ^(w) "strojbatem", skazany na katorżni-
czą pracę daleko od frontu, ^{najpewniej} na północy - w jakiejś kopalni
stali lub cynku.

Specjalista

Nowe prowizoryczne baraki za miastem są przewiewne jak na budowie w Tokmaku; piętrowe prycze też nie różnią się od tamtych. Połowa kwietnia, naokoło zimowy pejzaż. Mroźno. Słońce w Magnitogorsku zacznie grzać dopiero w czerwcu i wtedy od razu skończy się zima.

Służbę w "strojbacie" będę odbywał na miejscu, więc pół bochenka chleba, który dostałem w Wojenkomacie - jak znalazł. Słusznie doszli do wniosku, że racjonalniej nigdzie nas nie wysyłać. W Magnitogorsku jest nie mniejsze zapotrzebowanie na siłę roboczą niż gdzie indziej.

Na pozór jak w wojsku, dowództwo w wojskowych mundurach. Ale to przypadek. "Wojsko" stworzono dla oficerów, którzy nagle tu się zjawili. Wycofali ich z frontu. Są różnego stopnia, wydają polecenia w języku rosyjskim, ale między sobą - nierzadko mówią po... niemiecku, w swoim ojczystym języku. Jak w cywilu przed wojną w swojej Niemieckiej ^(u) Autonomicznej Republice nad Wołgą. Zachowali stopnie wojskowe, także hierarchię w oddawaniu honorów, ale wycofanie oficerów z frontu nie przynosi jak wiadomo, zaszczytu. Nie są pewni jutra, może ich spotkać ten sam los Co Kramera z "Fabryki Chleba", mogą pojechać w jego ślady - na zesłanie. Na razie wszystko funkcjonuje normalnie, z pełnym ceremoniałem wojskowym: podział na kompanie i plutony, odliczanie w szeregu, baczność - spocznij, na prawo patrz itd. Wydawanie posiłków z kuchni polowej - chleb i porcja kasy na dziesięć osób oraz odpowiednia ilość śledzi do podziału między sobą. Jak w wojsku. Na tym jednak kończy się podobieństwo. Kończy się wtedy, gdy odprowadzają do pracy, do róż-

nych przedsiębiorstw, dokąd zapotrzebowano i niewykwalifikowaną siłę roboczą: - Do wyładunku węgla na rampie kolejowej, wymiany podkładów, naprawy torowiska. Najbardziej daje w kość załadunek żeliwnych odlewów. Ważą po dwadzieścia kilogramów, a na lorę trzeba wrzucić tysiąc sztuk. Dla sportowca zaprawionego w rzucie kulą też byłoby to niełatwe. Razem z nami pracuje kompania w wojskowych piaszczach, ta sama, którą widziałem na apelu. Czasem można usłyszeć niemieckie przekleństwo i - co gorsze - słowa o braku wiary w zwycięstwo nad tymi, co mówią tym samym językiem. Nie dziwię się, że nie mieli do nich zaufania i "zdjęli" z frontu.

Dowództwo - ku naszemu zadowoleniu - okazało się nad wyraz liberalne, zezwala nocować w domu. Widocznie im wszystko jedno, gdzie będziemy spać, najważniejsze, żeby rano wszyscy byli na apelu, gotowi maszerować do pracy w kombinacie.

Coraz mniej ceremoniału wojskowego - liczy się konkretna robota. Bardziej ekonomiczne okazało się też zaopatrzenie w żywność we własnym zakresie. Każde przedsiębiorstwo ma jakąś stołówkę i punkt sprzedaży chleba na kartki dla swoich pracowników. To istotne ułatwienie; nie muszą wystawać w kolejce. My również z tych ułatwień korzystamy. "Naczelstwo" doszło w końcu do wniosku, że całą zabawę w pozorne wojsko można przekazać cywilom. Zostaliśmy przydzieleni na stałe do przedsiębiorstw, tam dali kartki na chleb i "produkty". W ten sposób odpadł cały kłopot z aprowizacją. Kwatermistrzostwo też okazało się zbędne, gdyż każdy wrócił do poprzedniego miejsca zamieszkania. W rzeczywistości batalion budowlany przestał istnieć, czym nikt się nie martwił. Pozostał tylko nasz ^{ślad} w rejestrach, ślad → zmobilizowany do "strojbatu".

Tak więc - dowództwo zostało bez "armii", chociaż mogło być

na odwrót. Trudno dociec i nie warto tym się zajmować. Więcej ^{Niemców z nad Woląj} ~~nie~~ widziałem, musieli ich wywieźć, przypuszczalnie w kierunku północno-wschodnim, skąd - jak wiemy - rzadko się wraca.

Pewnego dnia - było już ciepło - zostałem przeniesiony do innego przedsiębiorstwa, tym razem na dłużej. Do jednej z hal walcowni, między podziwianym kiedyś "blumingiem" a wydziałem produkcji finalnej. Od tej pory miałem niejako podwójny status: zmobilizowanego do "strojbatu" oraz etatowego pracownika huty. Zresztą kto się w tym rozezna. *Tak czy owak* do walcowni przybyła potrzebna świeża para rąk do pracy. I ja byłem zadowolony, ^{bowiem u} ~~nowym~~ miejscu zostałem uhonorowany kartką na chleb najwyższej kategorii. Taka kartka przysługuje robotnikom zatrudnionym przy szczególnie ciężkiej pracy, w warunkach wysokiej temperatury. *Słowem tylko tym, których po przemianie miejscow. rudę w stal do czotgów i poci'stów.*

Już po kilku dniach miałem drobny wypadek. Lekarz opatrzył ranę na nodze i na tydzień dostałem zwolnienie z pracy. Podpierając się kijem idę do naszego sklepiku po chleb. Po drodze natknąłem się na dyrektora ze swym nieodłącznym zastępcą do spraw społecznych. On nazywa się Małyj - niesłusznie, bo jest na dwa metry wysoki, ona - kobieta w średnim wieku - Frołowa. Rozmawiają o czymś, ale widocznie zmienili temat, bo usłyszałem takie słowa: - Popatrz na niego - Mały wskazał palcem na mnie - taki tyśiąć gramów chleba zjada dziennie, a kto wie, ile czasu nie będzie pracował. - Potraktowali mnie jak konia, który okulał, z którego nie będzie pożytku. Takim nie warto się przejmować, będzie żył, niestety przez jakiś czas nieproduktywnie i - co gorsza - marnował drogocenny chleb. Każdy ma swoje racje, a także powody do zmartwienia. Mnie było przykro z innych względów, ale wkrótce o tym zapomniałem. Towarzyszka Frołowa chyba też i z racji pełnionych funkcji nieraz mną się interesowała.

Rana szybko się zagoiła. Niedzielny ranek, ziemia już obeschła - widzę, jak przez drewniany most na rzece, w kierunku pól, idzie gromada ludzi *rozciągnięta w długi szereg.* ^{Jedzi} nowi mieszkańcy, ewakuowani, którzy tu nie mają jeszcze działek. Z naszego osiedla też poszli w tamtą stronę. Każdy ma jakiś worek lub wiadro, więc domyślam się w jakim celu. Na kołchozowych polach pozostała nie zebrana pszenica, w ziemi nie wykopane kartofle. Jeszcze kusztykan, ale również poszedłem po "zbiory". Szczerniałe, dorodne kłosy nie interesują mnie, bo nie mam młynka, natomiast z kartofli łatwo upiec kartoflane placki. Bulwy są duże, tylko trzeba je delikatnie wyjmować z ziemi, ^{bo} cienka powłoka pęka i wylewa się biała maź. Wielkiego pożytku z tego nie miałem, za dużo piasku było i placek trzeszczał w zębach. Smak też nie był najlepszy.

Po dwóch tygodniach zaskoczyła mnie ważna wiadomość. Otrzymałem "broń", ale nie taką, z której można strzelać. Przeciwnie, uniemożliwiała w ogóle strzelanie. Mówiąc inaczej, lecz nadal używając rosyjskich słów - zostałem "zabroniowany". Pierwsze, jak i drugie obce słowo oznacza wyreklamowanie z wojska. Aby mogło do tego dojść, wystarczy pracownika zaregować do siódmej kategorii - najwyższej - jako specjalistę zatrudnionego w przemyśle zbrojeniowym.

Jak widać, przedsiębiorstwo zadbało o swoje kadry, czemu nie można się dziwić. Ja zaś figurowałem odtąd w Wojenkombie w szczególnej kartotece: niezbędni dla obronności kraju specjaliści. W jakimś sensie rzeczywiście byłem specjalistą, lecz najmniej w znaczeniu technicznym. Całą umiejętność, którą z czasem nabyłem - nacelowana została w jednym ważnym kierunku: tak pracować, aby przekroczyć normę, co nie zawsze oznacza zwiększenie wysiłku. Stawka niebagatelna, daje możliwość

uzyskania premii w postaci talonu, nawet dwóch. Jeden upoważnia do dwustu gramów chleba, drugi do dodatkowego obiadu bez kartek. Obiad marny: zupa jaglana i łyżka kaszy owsianej. Dobrze i to. Natomiast chleb - jak wiadomo - bardzo cenny.

Wielu mamy takich specjalistów, niczym się nie wyróżniam, tylko nieliczni nie przekraczają normy. Na przykład duża grupa więźniów, która pracuje obok w wydzielonym miejscu. Owi dostają najgorszą robotę, nawet połowy normy nie są w stanie wykonać. Też dostają talony, lecz nie wszyscy, zaledwie ich poganiacze - też więźniowie, ale pełniący funkcje brygadzystów. Wartownikom też coś kapnie. Doceniam wolność.

Nasza brygada liczy sześć osób, wśród których jeden jest Rosjaninem o nazwisku Czistiakow. Ale prym w brygadzie wie dzie piekarz z Otwocka. Muskularny, zaprawiony do ciężkiej pracy, wie jak zarobić talony. Ma tylko jedną wadę, można powiedzieć profesjonalną - zasypia na stojąco, zwłaszcza w czasie nocnej zmiany. Nazywa się Pączek. Przysięga, że nad jego piekarnią w Otwocku wisiał szyld z takim właśnie nazwiskiem.

W brygadzie każdy z nas wycina bruzdy w pięciometrowych sztabach - jedyny sposób usuwania powierzchniowych pęknięć. Pęknięcia nie mogą pozostawać w dalszym procesie walcowania, trzeba je zlikwidować. Za pomocą młotów pneumatycznych to właśnie robimy. Końcówki z węglowej stali ciągle się tępią, często wymagają wymiany na nowe. Najważniejsze, żeby młot mocno naciskać, wtedy osiągnie się zamierzony cel.

Z żelazem nie miałem dotąd nic wspólnego, nie licząc drobnych detali toczonych do parowozu i żelazka do prasowania, wyjmowanego

po nagraniu z węglowej kuchni. Teraz nauczyłem się obrabiać ciężkie stalowe sztaby nie gorzej niż "Pońcik". Zaprzyjaźniłem się z nim, równy chłop, szkoda, że tak zniekształcili jego pyszne nazwisko. Zostałem jego prawą ręką, razem oceniamy możliwość przekroczenia normy, a od tego wiele zależy. Przede wszystkim musimy wyeliminować to żelastwo, w którym rysy są zbyt głębokie. Wystarczy zrobić próbę, aby się o tym przekonać. Zostaną przewiezione na stanowisko więźniów. Dla nich wszystko jedno, w żaden sposób nie są w stanie wykonać normy. Niektóre sztaby są czyste jak liza, w ogóle nie mają rys i te właśnie „robiją plan” - pracujemy bowiem na akord. Majster skrupulatnie liczy każdą przekazaną do kontroli sztukę i zapisuje na konto poszczególnych brygad. Czasem wykorzysta swój przysłowiowy „długi ołówek”, czemu nie można się dziwić. On też otrzyma premię w postaci talonu, gdy cały wydział przekroczy plan. Zresztą nie może być inaczej. "Plan eto zakon", musi być wykonany. Paradoks polega na tym, że im więcej pracujemy, tym trudniej z planem.

Wybieramy więc takie sztaby, że wystarczy tylko żelazo obrócić na wszystkie strony, gdzieniegdzie stuknąć młotem, i to wszystko. Nie należy jednak próżnować. Gdy plan już mamy "w kieszeni", a *za*tem talony zapewnione - można spokojnie zabrać się do roboty, do wycinania wielometrowych bruzd.

Wiadomo, że żelazo to twardy materiał, nawet za pomocą pneumatycznego młota nie daje się łatwo pokonać, broni swoich pięknych cech. Ale ja, specjalista "siedmowo rozriada" byle jakim żelazem się nie zajmuję. Wyłącznie stalą wysokiej jakości: uszlachetnioną, z dodatkiem molibdenu, niklu, krzemu i Bóg wie jeszcze czego. Z tej stali będą lufy i gasienice do czołgów, tandety nie może być. Powstał jednak problem z tymi dodatkami.

Góra z rudy żelaznej za bramą huty, ale rzadkie metale trzeba przywieźć z daleka, bez nich nie można uzyskać wymaganej jakości. W grę wchodzi odpowiednia wytrzymałość, kowalność, ciągliwość i wiele innych cech. Do niedawna potrzebne dodatki przywożono z Kaukazu, teraz są tam Niemcy i stąd kłopoty. Sztaby łuszczą się, rysy tak głębokie, że nawet więźniowie nie dają rady i całe partie idą na złom. W tych warunkach coraz trudniej zarobić upragnione talony - *dla mnie ważniejsze niż rzadkie metale.*

Prawdą jest, że im bardziej chce się jeść, tym mniej myśli się o stali. Jak w przysłowiu: "Bliższa koszula ciału". Nawet gdy mokra od potu i sztywna od soli niczym blacha. W hali gorąco lub bardzo zimno w zależności od pory roku. Nam zawsze gorąco. Sztaby nie zdążą jeszcze ostygnąć, ledwie nabiorą czarnego koloru, a my już je obrabiamy młotem. Wodę sodową z dodatkiem soli dają bezpłatnie. Towarzyszka Frolowa zadbała o to. Zawsze z niecierpliwością oczekujemy gongu na przerwę obiadową. A w stołówce niezmiennie to samo: zupa jaglana lub "szczy" oraz kawałek słonej ryby z dodatkiem odrobiny kaszy owsianej. Zupę można zjeść bez łyżki, wystarczy przechylić blaszany talerz; rybę też można wziąć w rękę. Natomiast z kaszą gorzej - potrzebna łyżka. Wyciągam ją z prawego buta, taką bez trzonka, bo łatwiej schować ją za onucę. Drewniana, dopasowana do kostki stopy, wcale nie uwiera. Nasz przyjaciel Czistiakow zawsze zdejmuje rybę z talerza i kładzie obok na gołym blacie stołu. Jakoś bliżej, pewniej - mimo że stół nie grzeszy czystością. To zresztą ślady naszych rąk, zawsze brudnych, które czasem próbujemy myć towotem; podobno zawiera jakąś część mydła.

Po drugiej zmianie nie warto wracać do "obszeczitja", toteż często sypiam na miejscu, tu w hali. Rano przywożą chleb, wy-

kupię i od razu zjem. Niekiedy dają na następny dzień, część schowam do kieszeni, ale - niestety - długo nie poleży, czuję jego bliskość, zanadto kusi. To złe przyzwyczajenie, dwie doby przyjdzie czekać na nowy przydział chleba. Z powodu braku wewnętrznej dyscypliny cykl się wydłuża i wtedy doceniam wagę talonu; jakże wzrasta jego cena! Muszę wykonać plan.

Pewnej nocy, gdy spałem w dobrze wybranym miejscu, w cieńnię trzymetrowej wysokości ciepłej walcówki, obudził mnie przeraźliwy krzyk. W nawach hali nieprzerwanie nad głowami jeżdżą z łoskotem ciężkie suwnice; rozwożą po kilkanaście rozżarzonych sztab żelaza. Wydłużone ramiona z ognistym ładunkiem opuszczają się nad wolnym miejscem, maszynista zwalnia dźwignię i - jak zwykle - ściele na stelażach nową porcję do obróbki. Tym razem zawiodły hamulce i ładunek wysypał się na głowy pracujących na dole ludzi. Poczułem swąd spalonego mięsa.

Wiele razy spałem w tym ^{lub innym} wyznaczonym zakątku wśród żelaznych sągów. Ze względu na bezpieczeństwo nie było to dozwolone, musiałem więc lepiej się zamaskować, gdzieś na końcu hali, w części mniej uczęszczanej. Były tam zmagazynowane pręty - sądząc po grubej warstwie kurzu - przez wiele lat nietknięte. Zainteresowała mnie metalowa tabliczka. Przeczytałem na niej taki napis: "Miedistaja stal, zakazczik - Dworec Sowietow". Zwykła tabliczka przywiązana drutem, ale grube pręty ze stopu żelaza i miedzi mówią znacznie więcej. Przeznaczone były dla wyjątkowo prestiżowej budowy. Odżyła w pamięci fotografia, którą w Tomaszowie w jakimś czasopiśmie oglądałem. Przedstawiła makietę radzieckiego "drapacza chmur" na kształt wielkich walców ustawionych jedno na drugim, piętrzących się ku niebu. A na ostatnim walcu, na samym szczycie, odpowiedniej

wielkości pomnik Lenina. Pałac Sowietów miał przyćmić swą wielkością Empire States Building w Nowym Jorku, wszystko, co dotychczas zbudowano. Tak sądziłem. Tę fotografię oglądałem wtedy z wypiekami na twarzy. Wielka budowla miała być symbolem nowych czasów, świadectwem potęgi Związku Radzieckiego. Szkoda, że ta stal leży bezużytecznie, widocznie dawno już zaniechali budowy pałacu. Wiele lat później słyszałem, że przerwano realizację jeszcze w początkowej fazie, potem rozebrano ogrodzenie, a o budowlu nikt więcej nie wspominał. Zapomniano o niej. Nie wiem, jakie były powody, może techniczne, a może jeszcze inne?..

Pod koniec 1942 roku nadeszły bardzo złe wieści - walki toczą się w samym Stalingradzie. Przygnębienie ogarnęło wszystkich. Na domiar złego mamy przestój. Niesłychana rzecz, tego jeszcze nie było, żeby na kilka dni zamilkły młoty. Podobno brak pewnych komponentów powoduje zbyt dużo nie trafionych wytopów stali szlachetnej i dlatego nie nadchodzi walcówka do naszego wydziału. Nie wykonujemy planu, a to oznacza, że nie ma talonów, nie ma jedzenia poza normą. Mamu ^{za to} czas na rozmowy, i nasza brygada - oczywiście oprócz Czistiakowa - znowu rozprawia o tym, co jadło się w kapitalistycznej Polsce. Jeden *tak* powiada: - Jak szczęśliwie wrócę do kraju, będę tylko jadł, jadł i jadł. W Polsce nie będę ^{o krawatach} więcej myślał o wzniosłych ideach, o socjalizmie... *Przywołam mu. - Stuchajcieście!*

- Socjalistyczny Związek Radziecki dał nam schronienie i dzięki temu w ogóle jeszcze możemy myśleć. Ten kraj zмага się ze śmiertelnym wrogiem całej ludzkości, ponosi wielkie ofiary. Nie oddali Moskwy i nie oddadzą Stalingradu.

Wciąż kotłowały we mnie resztki fascynacji Krajem Rad. Trzy lata magnitogorskich doświadczeń poczyniły jednak niemałe spusto-

szenie w moim umyśle, ostudziły *mitożenięcy* entuzjazm.

a twarde życie skorygowało niejedno wyobrażenie ukształtowane na podstawie przeczytanych książek, nadto zabarwionych własną fantazją. Ale w Związek Radziecki, obrońcy przed faszystowskimi Niemcami, nadal niezłomnie wierzyłem. Nie wyobrażałem sobie innego ratunku dla siebie i świata.

Pewnego dnia do naszego wydziału przyszli niezwykli goście. Zatrzymali się tuż obok, miałem więc okazję dobrze im się przyjrzeć. Byli to kongresmanci amerykańscy oprowadzani przez gospodarza huty, posła do Rady Najwyższej ZSRR - Nosowa. *Z gośćmi* przyjechał wiceminister Przemysłu Czarnej Metalurgii - Burcew. W granatowym palcie z karakułowym kołnierzem i taką samą czapką prezentował się nie gorzej od Amerykanów. Pamiętam, jak podszedł do niego majster Fokin, który nagle wskazał na jednego robotnika, mówiąc o nim, że źle pracuje. Odpowiedź Burcewa była krótka: - Na front takiego! - Nie sądzę ^{zbyt} żeby wykonali polecenie) ministra. Każda para rąk do pracy była cenna.

Czistiakow z *dwoma* Rosjanami ze smutkiem komentują wizytę dostojnych gości: - Oto mamy zwiastun czegoś nie-
dobrego. - To już koniec, oddadzą naszą hutę wraz z żelazną
górami Magnitnaja za dostawy uzbrojenia - szeptali między sobą.
Szeptali o
inwalidach, którzy wróciwszy z frontu opowiadali, że pojawił się
amerykański sprzęt wojskowy. *Ponoć* nawet → amerykański
generał → przyjechał sprawdzić, jak ten sprzęt
się sprawuje. Widzieli na nadwożańskich stepach, jak
sunęły te zagraniczne czołgi, małe samochodziki i wielkie wo-
zy ciągnące działa. [W Magnitogorsku również były amerykań-
skie ciężarówki, wkrótce jednak znalazły się na cmentarzysku.
Nie wątpiłem, że Ford potrafi robić dobre samochody, te jed-

nak musiały być wyjątkowo kiepskie, skoro nie znalazły się na froncie. Natomiast jajka w proszku były bez zarzutu, i w naszej stołówce za wyciętą kartkę "miaso" jedliśmy teraz zamiast ^(po ka.) kęszywałku wspaniałego omletu.


U nas amerykańską pomoc wszędzie widać. "Naczelstwo" poubierało się w żółte skórzane płaszcze, pali tytoń z Wirginii, a na bazarze pojawiła się nawet czekolada. Wiele różności można tam kupić lub wymienić. Na podstawie "bazarowych przecieków" wiadomo, jakie rzeczy dostarczają Amerykanie. Na przykład używaną odzież. Dużo jej, całkiem dobrej, tylko krawaty zbyt jaskrawe. W ogóle dzieją się rzeczy niesłychane. Czy mógłby ktoś pomyśleć, że w Magnitogorsku będzie cerkiew? Niedawno adaptowali mały barak, w którym przedtem był sklep spożywczy. Postawili przed nim drewniany krzyż i starzy ludzie w niedzielę chodzą do tej cerkwi. Nie byłem w środku, ale mówią - może złośliwie - że portret batiuszki Stalina wisi nadal na ścianie, jak poprzednio w sklepie.

Mimo wszystko ludzie oczekiwali czegoś innego, przede wszystkim drugiego frontu, który mógłby skutecznie odciążyć wojska radzieckie pod Stalingradem. Mówią o tym z goryczą, a Czistia-kow przy omlecie wyrzucił przez zęby: - Kto wie, czy za te jajka w proszku nie zechcą naszych skarbów na Uralu, może w tym celu niedawno tu byli, aby zobaczyć co w zamian dostaną. Ale wojować wcale nie myślą. Najwyżej trochę uzbrojenia podrzuca.

Wyczułem w tych słowach nie tylko dumę narodową, ale też niewiarę w nowego sojusznika. Przecież jeden w zeszłym roku dał o sobie znać "zdradziecką napaścią", zaś obecny przez z górą dwa dziesięciolecia był symbolem kapitalizmu obalonego w Rosji przez rewolucję.

W tych dniach niepokoju o losy ["]matuszki ["]Rasii ["] twarze zdawały się pytać, co też przyniesie

następny dzień zmagani nad Wołgą. Wołga już nie tak daleka jak kiedyś - hen za górami, za lasami, za bezkresnym stepem. Mówiły o tym lufy dział wycelowane w niebo wokół baraków szpitala, ponuro sterczące w oczekiwaniu na niemieckie samoloty. Przestały się liczyć tysiące kilometrów.

Bliski był też żołądek. W czasie codziennej narady produkcyjnej jeden z robotników, a był to Czistiakow - zdobył się na odwagę i narzekał na obiady w stołówce. - Brak tłuszczu, wszystko postne, nie mam siły pracować - wyrzucił buntowniczym głosem. Odpowiedź naczelnika zmiany, Dawydowa, była druzgocąca: - Pomyśl o braciach odpierających ataki Niemców w Stalingradzie, o zaśnieżonych okopach, wtedy docenisz tutejsze warunki życia. - Wszyscy rozeszli się w milczeniu, wzięli pneumatyczne młoty i wkrótce w hali rozległ się charakterystyczny, jak  co dzień łoskot.

Dopiero pod koniec stycznia 1943 roku odetchnęliśmy z ulgą. Paulus i jego armia zostali wzięci do niewoli. Nareszcie pod Stalingradem Niemcy zostali pobici, skończył się odwrót wojsk radzieckich. Wkrótce hitlerowcy zapłacą za wszystko.

Żeby jeszcze miał co na nogi włożyć! Przydziałowe buty, przypalone na gorących sztabach, zupełnie się rozlazły. Poradziłem sobie tak jak inni: kilka kawałków pasa transmisyjnego, cienki drut i mam w czym chodzić. Aby do wiosny! Jest nadzieja, że do tego czasu przepędzą Niemców. Gdyby powstał ten długo oczekiwany drugi front, wojna szybciej by się skończyła. Kiedy on wreszcie ruszy?

Rok 1943 nie tylko nie poprawił warunków życia, ale wręcz przeciwnie, okazał się najgorszy z dotychczasowych lat pobytu w ZSRR. Coraz bardziej opadałem z sił, młot stał się cięższy, stal twardsza. Znowu przenieśli mnie do innego baraku, z piętrowymi pryczami, obce środowisko, bez znajomych. Nie każ-

dego dnia miałem dość sił i ochoty wracać z walcowni, żeby przespać się w pozycji leżącej. Coraz częściej, oparłszy się plecami o sztaby żelaza, przykucałem i wtedy miewałem coś w rodzaju halucynacji: widziałem siebie z bułką w ręku, maczałem tę bułkę w gorącym mleku, kładłem do ust i tę rozkosz sytości pamiętam do dziś. A może świadomie przywoływałem tę wizję, aby przyjemniej zasnąć? Gąbką możliwe.

Do niedawna, gdy mocno dociskałem młot, spod dłuta oddzielały się długie strużyny i ukryty w żelazie defekt został usunięty. Teraz ślaniam się na nogach. Fokin - nasz majster, popatrzył na mnie i odesłał do lekarza. Przyniosłem kartkę z orzeczeniem skierowania do lżejszej pracy. Zostałem w pewnym sensie zdegradowany - chleba będzie mniej i żadnych szans na talony. Przypomniałem sobie o niedawnym fachu pomocnika maszynisty parowozu. W naszej hali też jeżdżą pojazdy na szynach. Wprawdzie na wysokości dziesięciu metrów i niczym nie przypominają parowozów, ale są maszyniści, więc znalazło się miejsce dla pomocnika. Praca lekka; tu posmarować, tam poczyścić, czasem pomogę przy remoncie.

Pewnej nocy, na górnym podejściu wzdłuż przewodów wysokiego napięcia, jak zwykle sprawdzam smarownice przy łączyskach kół. Nagle zachciało mi się strasznie spać. Przyjemnie gra muzyka młotów, ciepło. Dlaczego nie zdrzemnąć się z kwadrans? Niewiele myśląc położyłem się tu, gdzie stałem i usnąłem na dobre. Pech chciał, że z kabiny wyszedł maszynista, zajrzał na górę i to, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Podobno moja ręka znajdowała się tuż przy śmiercionośnych przewodach. Obudził mnie, zaprowadził do naczelnika, któremu krótko oświadczył: - On może się zabić, jego rzecz, ale ja nie mam zamiaru za takiego odpowiadać.

Tylko miesiąc trwał "wypoczynek" na suwnicy; dostatecznie długo, abym odzyskawszy nieco sił mógł wrócić do młota. Odebrałem go jak przedtem w narzędziowni, i jak przedtem praca poprzedziła narada produkcyjna. Ale zastałem więcej ludzi, przybyło kilkanaście krzepkich kobiet, które i u nas zastąpią brakujących mężczyzn.

Wszędzie uzupełniają siłę roboczą tak potrzebną do produkcji stali. Ostatnio przywieźli "nacmienów" - mężczyzn grubo po czterdziestce z republik środkowoazjatyckich nazywanych mniejszością narodową. Źle się jednak adaptują do tutejszych warunków, znacznie gorzej od "zapadników". Z czasem zupełnie opadną z sił, zubożeją do tego stopnia, że nawet władze pobłażliwym okiem patrzeć będą na postacie w długich watowanych chałatach snujących się bez celu. Wielu z nich zamarzyło tej zimy, nie doczekawszy powrotu do swojej "krainy owoców". Niektórzy próbowali pieszej wędrówki, a kiedy pytano ich dokąd idą, odpowiedź zawsze była taka sama: - "Moja Taszkient". Pewna część "nacmienów" jednak pozostała. Widziałem, jak pracowali łopatami, wykonanymi specjalnie dla nich. Miały kształt odwróconej łopaty na wzór motyki. Tymi łopatami kopali ziemię pod fundamenty następnego wielkiego pieca. Sześć czy siedem miesięcy później z tego pieca spływała już surówka żelaza. W warunkach wojny buduje się szybciej. Ale doping też był odpowiedni - co tydzień pół litra wódki; tylko butelkę każdy przynosił własną. Ci, co pili to "wino" - znawcy prawdziwej wódki - twierdzili, że nieco "woniajet". Jakiś związek z alkoholem był jednak bezsporny, skoro bubelka stanowiła równowartość bochenka chleba. Poza tym każdy dostawał na talony dodatkowe jedzenie. Praca na tej budowie była jednak bardzo niebezpieczna, szczególnie przy montażu ciężkiej konstrukcji. Często z tego rejonu jeździła karetka pogotowia.

W mojej pracy bezpieczniej, ale wysiłek chyba większy. Ze starych pracowników z brygady pozostali tylko Czistiakow i Pączek, młot kruszy bowiem nie tylko żelazo, również ludzi. Moich przyjaciół od dawna nie widuję. Ciężka praca i stałe niedożywianie nie sprzyjają towarzyskim spotkaniom. Czasem tylko przelotnie zobaczę znajomą twarz, tak samo posępną jak moja. Bliskim kolegą jest teraz Pączek, który ^{prawda} ~~co~~ nie wygląda jak pączek, *Walconmia* i jemu daje się we znaki, *ma się* jednak znacznie lepiej ode mnie, *czemu nie można się dziwić*.

< .. Żona para się krawiectwem, pracuje w domu, ma zasobne klientki, które za szycie płacą artykułami spożywczymi. Zastanawiam się, skąd takie klientki? Każdy przecież dostaje przydział, który ledwie starczy na głodne życie. Kartki żywnościowe, oprócz chleba, rzadko można realizować, przeważnie nie mają pokrycia, nie są "otowarywane". Szczególnie ciężko żyją rodziny pozbawione fabrycznych stołówek.

Pączek mnie uświadamia, że bywa też inaczej, a swoje przekonanie opiera na obserwacji owych klientek i na tym, o czym mówią różni ludzie. Powiada, że tylko szary człowiek głoduje. "Naczelstwo", pewna liczba ludzi wokół nich oraz ci, którzy w pracy w jakiś sposób stykają się z żywnością - "wszystko mają". Trudno w to uwierzyć, wydaje mi się, że przesadza. Pączek twierdzi, iż personel sklepów, magazynów, stołówek, nawet szpitali lub żłobków po prostu kradnie. W tych działach pracują niemal wyłącznie kobiety, a kierowniczkom - jak widać - nieźle się powodzi, skoro stać ich za szycie płacić cenną żywnością.

Pewnego razu wspomniałem, że kiedyś byłem krawcem, nawet kursy kroju mam za sobą. Pączek był zdziwiony: jak można tak intratnego fachu nie wykorzystać? W takich czasach, tutaj! - to przecież

Kopalnia smalcu! Hm, kopalnia? Dlaczego akurat smalcu? Rzeczywiście - w Tomaszowie tak właśnie mówili, tak biedacy wyobrażali sobie obfite źródło dobrobytu. Widać w Otwocku też nie brakowało biedaków z bujną wyobraźnią. Uśmiełem się z tego, wziąłem młot do ręki i zabrałem się do roboty.

Pewnego dnia nie poszedłem do pracy. Nie wiem, jaka była przyczyna. Może zmęczenie, apatia - nie wiem. Po prostu nie poszedłem i tyle. Wiedziałem, czym to grozi, mimo to pozostałem na przychy. Następnego dnia majster Fokin wymownie na mnie spojrział, ale - o dziwo! - nic nie powiedział. Odnosiłem wrażenie, że nie chce wiedzieć, nie chce pamiętać o mojej wozorajszej nieobecności. Czy mógłby się ktoś zdobyć na takie wykroczenie?! Widocznie uznał, że lepiej w to nie wierzyć, udawać, że nic się nie stało. W przeciwnym razie powinien dobieść i mieć osłowieka na sumieniu, bo dostałbym ileś tam lat lagru. Straciłby również cennego pracownika.

Zastanowiłem się nad moim występkiem i pomyślałem o smutnym odkryciu. A więc zubożniałem na grożące niebezpieczeństwo, utraciłem poczucie rzeczywistości, a to nie innego, jak to, że wkrótce zostanę "dochodiagą". Jak niektórzy Uzbecy. Kilka dni później, gdy znowu prześladowała wizja kim niebawem będę, zaszło zdarzenie, które *wytrąciło mnie z apatii*.

Początek czerwca, gdzieś niedługo leży jeszcze śnieg, wracam do "obszozežitja" po nocnej zmianie wolno przebierając nogami. Fufajka przewiązana drutem, cała w strzępach, wystają kłaczki brudnej waty przesiąkniętej olejem. Szmaty na nogach i sznurki podtrzymują ohodaki z parcianego pasa. I jak zawsze głodny. Na przystanku oczekuję tramwaju. Gdy nadjechał, wysiadła dziewczyna z plecakiem w ręku, dziewczyna, której dawno nie widziałem. To była Ewa. Załopotano w piersi, coś podeszło do

gardła, stanąłem jak wryty nie wierząc własnym oczom. Ile to już czasu minęło od ostatniego spotkania? Zrazu smutnie powłóczyła wzrokiem, a potem z odruchem, jakby chciała rzucić mi się w ramiona. Tak mi się zdawało. Była schludnie ubrana, w czystej fufajce, na nogach walonki. Jej ciepłe spojrzenie wyraża zadowolenie, że mnie widzi, jakby wiedziała, że tu się spotkamy. Trzy i pół roku upłynęło, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją w wagonie przy piecyku. ^{uśmiechem.} [Nic się nie zmieniłaś - ^{wykrytym} sitem. Kaciki ust odpowiedziały] - Wracam właśnie z Czelabińska, chciała^m wstąpić do armii polskiej, do dywizji imienia Tadeusza Kościuszki. Niestety, nie dostała^m się. Owszem, dobrze mnie przyjęli, pochwalili za patriotyczną postawę, ale jeden - w polskim oficerskim mundurze, wczorajszy "zapaśnik" - miał jakieś swoje racje. Powiedział coś o pewnych względach politycznych i postawił na swoim. Zostałam, jak to się mówi - na lodzie.

- A Tadeusza, naszego komendanta wagonu, od razu przyjęli, nie mieli zastrzeżeń - ^(A jeszcze czego?) dodała z odcieniem zazdrości. - Teraz nie wiem, co ze sobą zrobić, dokąd pójść, jak na nowo się urządzić? ^{- padoja, bezradne słowa...} Przygląda mi się dłuższą chwilę, jakby w oczekiwaniu, że coś zaproponuję. Musiała jednak spostrzec moją zmiętą twarz, zmęczenie po nocnej zmianie i - być może - pewną obojętność. Wszak byłem na granicy "dochodiagi", któremu nic już nie potrzeba. Ona na pewno pamiętała wyznanie miłosne w lasku za Bieriozką, ja, niestety, w tym momencie o tym zapomniałem. Jeszcze raz na mnie spojrzała, ale inaczej; już wiedziała, że z mojej strony nie może oczekiwać pomocy. Podała mi rękę na pożegnanie, wspomniała o konieczności poszukania sobie nowego "obszczežitja", ^{pełne} jakiejś pracy. ^{patrzyły na mnie oczy} i przygnębienia. Nie miałem wątpliwości, że też była głodna. Usłyszałem: - Do zobaczenia - a ja odpowiedziałem nic nie znacząco.

- Cześć. Dopiero gdy wsiadłem do odjeżdżającego tramwaju uświadomiłem sobie, że takim samym słowem pożegnałem mamę. I nagle, jak za mgłą, zobaczyłem gazetę w dworcowej gablocie, jak nekrolog, który nie pozostawia złudzeń. Zobaczyłem zastygłą w bezruchu postać mamy, dłoń którą chciała *mnie* zatrzymać choćby na chwile. . . A może błogosławić na całe życie?... Próżne są moje domysły i nigdy się tego nie dowiem.

Cień wielkich pieców przesunął się po torowisku. Ewa żyje, ale jak mogłem w ten sposób ją pożegnać? Jak mogłem tak stępieć?! Zupełnie straciłem ludzką wrażliwość! Przecież oczekiwała mojej wyciągniętej ręki, a może czegoś więcej? Ujrzałem ją w całej krasie, taką jak w wagonie po wyjeździe z Białegostoku. Złapałem się za głowę i przeciągnąłem palcami po dawno nie czesanych włosach. Przede wszystkim muszę ją odszukać, przeprosić za... nie wiem, jak to nazwać. Ona, taka delikatna, wyrozumiała, na pewno mnie zrozumie i da się ubliżyć. Razem nie tylko jej będzie łatwiej. Nie, nie utracę mojej ukochanej!

W tym przekonaniu codziennie wracałem z pracy przez rejon wielkich pieców. Kobieta z chorągiewką w lewym rąku czyści miotełką zwrotnicę. Pytam, czy zna Ewę Kowadło. W odpowiedzi zawsze to samo: - Znaję, znaję, ona użę zdieś'nie rabetajet. - Różnych ludzi pytałem, czy nie widzieli Ewy, czy nie wiedzą, gdzie teraz mieszka. Pytałem także o Józka Kowadło. Niestety, od dawna był gdzieś w "strojbacie". W końcu odnalazłem Klarę Lerman i od niej dowiedziałem się całej prawdy, zaskakującej i zarazem okrutnej. Wysłuchawszy tej prawdy, nie mogłem się z nią pogodzić. Jak to się dziwnie dzieje? Mój najlepszy przyjaciel, towarzysz długiej i dramatycznej podróży, ten który mnie nakarmił, gdy po tyfusie wyszedłem

ze szpitala, ten sam, który był mi bratem - on, Dancygier, zabrał mi moją Ewę. Czy mogę mieć do niego żal? Raczej do siebie - za niefrasobliwość, za utratę wiary we własne siły i wreszcie za powolny zanik uczuć. Musiała mnie spotkać zasłużona kara. W jakimś stopniu przyczyniła się do tego Klara, to ona знаła adres Benka i ^{moje} ~~być~~ poradziła Ewie, aby z nim zamieszkała.

Dancygier po naszym powrocie z Tokmaku uwierzył, że jest kimś innym, od pewnego czasu zwolnionym z łagru "Zapadnikiem". Władze też uwierzyły i na podstawie znanego - "so słow" - wydały mu nowy "pasport". Gdzieś daleko za miastem znalazł pracę w młynie. Nie byle jaką. Zastąpił mechanika od dieslowskich silników, którego zabrali na front. Dancygier nie ma kwalifikacji "siedmowo razriada", ale umiejętności mechanika i elektryka jakoś zdobył. Czyżby wiedza Talmudu okazała się w tym pomocna? Tak czy inaczej Benek i jego żona - jak to przy młynie - nie zaznają głodu. Rok później miałem zaszczyt pogratulować im syna.

A u mnie jak na Zachodzie - bez zmian. Nadal spod młota odzierała się rozdwojona strużyna, a sztabę pozbawioną rysy przerobią na lufy różnego kalibru. Z tej lufy żołnierz wystrzelił pocisk, trafił w hitlerowców, w zabójców moich najbliższych. Ta refleksja nie jest oryginalna, niewątpliwie zaczerpnięta z listu Hellera i Fajgelesa. Tylko u nich była metafora, tu zaś - realna możliwość.

Próbuję usprawiedliwić własne sumienie. Nie służę w polskim wojsku. Nawet nie próbowałem, jak uczyniła to Ewa. Nikomu z mojego otoczenia, którzy mieli "broń", nie udało się tego dokonać. Tym, którzy zabiegali o zwolnienie z pracy, mówiono: - Tu mamy taki sam front, na tym froncie wszyscy ^{sa} żołnierzami. - Mimo wszystko - różnica, to zresztą slogan, i do końca życia będę

miał wyrzuty sumienia, że na froncie nie byłem. A z frontu zaczęły dochodzić dobre wieści. Teraz najmilszy sercu głos - taki *co sprawia dreszcz radości* - był głos ^{am}spikera Lewitana. Codziennie z głośników rozlega się jego triumfalny bas: - Nasze wojska oswobodziły gorod... - Wymienia nazwy coraz innych miast bliżej na zachód. Nareszcie usłyszałem również polskie. Dni hitlerowców są już policzone, mogę się pocieszyć, że w wojsku i tak nie miałbym *już* co robić. Wojna dobiega końca, wkrótce wrócę do domu. Nie przypuszczałem wtedy, iż nim znajdzie się w kraju, upłynie jeszcze dużo czasu - długie dwadzieścia miesięcy.

Ze stołówki też *mamy* dobre wieści. Dostajemy obecnie po kawałku słoniny, nawet boczku. Słonina twarda i słona jak sto diabłów, i nic dziwnego - musiała wiele lat przeleżeć w chicagowskiej chłodni, nim trafiła do Magnitogorska. Chwała Amerykanom; żeby jeszcze chcieli drugi front otworzyć, prędzej bylibyśmy w domu. Dziwne, coraz mniej o tym słychem przez radio. Czy drugi front przestał być potrzebny?. *J kiedy tak się zdawało - nitośnie ruszył.*

Na jedzenie nie możemy narzekać, bywa i szklanka mleka za wykonanie planu. Na lepszym wikcie stal nieco zmiękła, miot łatwiej pokonuje opór; *talony czynią cuda*. W ogóle wiele się zmieniło. Towarzyszka Frołowa przestała spoglądać na mnie jak na darmozjada. Co więcej - dostałem od niej nową "specówkę" - ubranie i buty. Od tej pory przebieram się po pracy udając eleganta. Po jakimś czasie rzeczywiście nim zostałem. A zawinił kto? Oczywiście Pączek. To on był sprawcą, że spełniło się przysłowie powtarzane przez Szymona: "Schuster bleib bei deinen Leisten". Opowiedział żonie, z kim pracuje, a pani Pączek postanowiła skorzystać z rady specjalisty - tym razem od kroju. "I tak się ^{to} zaczęło". Nie od razu, jeszcze pół roku

upłynęło, ale nic nie mogło już powstrzymać przeznaczenia.

O odkryciu na wydziale krawca najpierw dowiedział się majster Fokin. Miałem wobec niego milczące zobowiązanie, więc nie mogłem odmówić propozycji uszycia czegoś jego żonie. Pięć lat nie miałem igły w ręku, nic jednak z mego pierwotnego fachu nie zapomniałem. U niego w domu, na ręcznej maszynie szybko się uporałem z przerobieniem męskiego garnituru ich syna na damski kostium. Synowi, niestety, nie będzie już potrzebny... Majster dobrze zapłacił, a w dodatku przyrzekł, że dla starego weterana znajdzie lżejszą pracę. Dotrzymał słowa. Od tej pory nie czułem więcej zmęczenia, jakbym w ogóle nie pracował.

O wszystkim musi wiedzieć urzędniczka z Działu Zatrudnienia, również o tym, że odkryli krawca. Jej narzeczony - młody inżynier *od niedawna pracujący w walcowni* - chce przerobić stary płaszcz wojskowy po ojcu na modną kurtkę. Jest kierownikiem zmiany w sąsiednim wydziale. Dobrze zapłaci talonami - nawet z góry - i już następnego dnia poznałem rodzinę jego przyszłej żony: matkę i młodszego brata. A głowa rodziny - inżynier chemik - osiem lat temu [„] dostał paragraf 58 i wszelki ślad po nim zaginął. Pozostała nożna maszyna do szycia i dwupokojowe mieszkanie.

Mile wspominam kilka wieczorów w ich domu. Matka, o ujmującej, już niemłodej twarzy, przypominała mi moją mamę. Ale najbardziej przypadłem do gustu innej kobiecie. Miała dziewięćdziesiąt lat z okładem. Sądzę, że hołubiła mnie nie bez powodu, byłem bowiem wiernym słuchaczem jej niezwykłych opowieści. Pięknie opowiadała, a ja przez wiele godzin z zapartym tchem chłonałem wieści z dawno minionej epoki.

Ze szczególnym kolorytem i z żezką w oku wspominała czasy, kiedy mieszkała w Sankt Petersburgu. Pochodziła z bogatej ku-

pieckiej rodziny i bywała na balach. A jakie stroje była ubrana! Nawet z generałem tańczyła. Bogato wyszła za mąż i przeniosła się do miasta Złatoust na Uralu. Przez czterdzieści lat była żoną właściciela kopalni złota i nic dziwnego, że w całej okolicy cieszyła się uznaniem.

W tym miejscu przypomniały mi się opowieści mojej mamy o bracie dziadka i niedoszłym spadku po kopalni z Johannesburga. A naszej staruszce rozblęskły ^{matowe} oczy, ożywiła się, gdy zaczęła opowiadać o swoim bogactwie. Cóż z tego. Nagle wybuchła rewolucja, mąż gdzieś przepadł, a ona ledwie uszła z życiem. Przeniosła się do synów do Ufy. Miała trzech, a jacy byli dorodni!.. Popłynęły łzy, gdy opowiadała, jak zginęli. I tak w czasie wojny domowej została sama jedna. Całe życie gromadziła majątek, ale prawie wszystko przepadło. Tylko woreczek *złotych rubli*

i jeden kufer udało jej się ukryć. Naokoło jednak wiedzieli, kim była, ^{złoci} ciągle ją nachodzili. Raz przyszli biali, później czerwoni, znowu biali i tak w kółko. W końcu zupełnie się w tym pogubiła nie wiedząc, którzy gorsi, bo jedni i drudzy grozili, że zabiją. Pewnego razu - zdaje się, że to byli biali - zaproponowali jej wymianę złota na *kierunki*. Przekonali, że ^{te} pieniądze są bezpieczniejsze, nie tak drażnią ludzi, więc jej nie zabiją. - Hospodi! Jak ja płakałam grzejąc ręce przy ogniu z papierowych kierenek! - Staruszka westchnęła i załamała ręce na wspomnienie tamtej srogiej zimy.

Pięć lat temu przyjechała do Magnitogorska z okazałym kufrem i obcy ludzie ją przygarnęli. Była żwawa, chowała im dzieci, pomagała w gospodarstwie. Miesiąc temu osłabła do tego stopnia, że nie mogła nawet dzieci nakarmić. Chciała w tej rodzinie pozostać do końca żywota, w nagrodę zostawić cenny kufer. Do niedawna była u tych ludzi, nawet lepiej się

poczuła, ale gospodarze nie chcieli jej więcej trzymać. W ten sposób tu się znalazła; nowa rodzina ją przygarnęła. Przekonała ich, że długo nie będzie żyła, a jak umrze, cały majątek im przypadnie. Stary kufer z mosiężnym obiciem stał pod oknem, podszła i otworzyła wieko, pokazując, jakie ma skarby. Z boku zawiniątko - czarna suknia, w której chce być pochowana. Ta suknia z koronki, płótno z miasta Łodzi i atlasowe pantofle czekają już kilka dziesiątków lat. Przepastny kufer kryje więcej rzeczy: futra, sznurowane buty, haftowane serdaczki zostaną dla młodej; wychodzi przecież za mąż.

Kilka dni później, gdy od mego klienta odbierałem kolejny talon na dodatkową porcję kaszy w stołówce, ten zauważył mimochodem: - Znajesz, babuszka pomierła. - Zrozumiałem, że szykują dla mnie nową robotę. Niestety, nie będzie już barwnych opowieści, zwłaszcza tych z salonów carskiego Petersburga.

Wieczorami, a także w niedzielę szylłem "po domach", tak jak w ubiegłym wieku robił to mój dziadek z Opoczna. Wtedy, przenosząc się z wioski do wioski, szyl w chłopskich chatach długie sukmany. Jego wnuk niewątpliwie awansował, bo w wielkim przemysłowym mieście, przy elektrycznym świetle, szyje kostiumy dla dorodnych Rosjanek.

Jak wiadomo, miasto - chluba radzieckich piatiletek, nie grzeszy urodą, tak jak nie wszystkie moje klientki. Wszystkie jednak mają niezłe posady, skoro w tak trudnych czasach zwykła "specowka" już im nie wystarcza. Niektóre szczerze mówią o swojej filozofii życia: - lepiej żyć krótko, a dobrze, niż długo wegetować. Jednakże do tego potrzebna jest pewna predyspozycja, a także odrobina sprytu, często rutynowy zabieg, aby przekroczyć granicę powszechnego niedostatku. Takie widziałem realia w wąskim kręgu moich klientek. Zresztą w tamtych czasach inne

nie mogły być. U jednej zaskoczył mnie piękny kupon materiału, z którego mam szyć kostium. Niełatwo o krawca, ale znacznie trudniej o sukno. Nie mnie dociekać, skąd zdobyła pieniądze na tak cenny materiał, ale w spojrzeniu wyczułem, że najcenniejszą rzeczą jest co innego. Wiadomo - mężczyźni są na froncie...

Mieszkała u "babuszki", ale nie była to jej babka. Ona nie znała swoich rodziców, jak wiele dzieci po wojnie domowej. Wychował ją "diety dom" - sierociniec, skąd wyniosła wspomnienie o straszliwym głodzie. Kilka lat temu wyszła za mąż, urodziła dziecko, ale mąż ją porzucił, dziecko zmarło. Opowiada o tym w standardowym baraku, w pokoju, w którym znajduje się coś, co odbiega od standardu. W rogu ołtarzyk przyozdobiony haftowaną ^{serwetką} (na nim krzyż z przewieszonym różańcem, ^{ścianie} mała lampka naftowa oświetlająca wizerunek Madonny. Kolejny wieczór jestem sam z Valentyną Sergiejewną; nie ma "babuszki," od kilku dni dogląda u córki chorego wnuka. Robota już prawie gotowa, tylko przyprasować i przyszyć guziki. Ostatnia przymiarka - takiet leży jak ulał. Klientka przygląda się w lusterku i jak zwykle w tym czasie włącza głośnik umieszczony w pudełku na ścianie. Zachrypięła muzyka, po niej cisza, a po chwili usłyszałem takty z piosenki jakże znanej: "Sziroka strana moja rodnaja". Kilka razy te same dźwięki, potem nastąpiła pauza i jak zwykle o tej porze rozległ się majestatyczny bas Lewitana: - Goworit Moskwa! - Znowu nastąpiła pauza, dłuższa niż poprzednia, i wreszcie słowa jak bicie dzwonów: - NASZE WOJSKA OSWOBODILI GOROD WARSZAWA.

Ten głos przeszedł dreszczem po całym ciele. Nie chce się wierzyć, że stolica mego kraju już wolna. Valentyna spojrzała na mnie i nagle znalazła się w moich objęciach. Pocałowa-

łem ją w usta. Potem jeszcze raz, ale nie był to już jednostronny pocałunek. Wala przywarła do mnie mocno. - Misza! jak chorocho - usłyszałem namiętny szept. Zdjęła żakiet i oznajmiła: - W taki wieczór grzech pracować. Z szafki wyjęła butelkę z płynem koloru słomy i dwa garnuszki. Na stole pojawił się patefon, a po chwili popłynął walc z Trawiaty. Naląkała po brzegi... i do dna. - za Warszawu. Walc aż podrywa i w takt muzyki zaczęliśmy tańczyć. Nagle pusta butelka zaczęła się obracać, przewracać, potem cały pokój zawirował, a podłoga uniosła się do góry. Jeszcze dochodziły dźwięki z "Trawiaty", ale nogi jakby nie chciały lub nie mogły więcej tańczyć. Świadomość uchwyciła jeszcze: - Misza, czto z taboj... - i pogrążyłem się w niebycie.

Tej nocy oczywiście nie wróciłem do "obszczeżitja" i nie spałem sam. Gdy się obudziłem, głowa Wali oparta była w dołku mojego przedramienia, a nad nami migotała lampka rzucająca bładny blask na ołtarzyk z wizerunkiem Madonny.

Magnitogorskie dolce vita

Pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że "zapadnicy" otrzymują paczki żywnościowe. Byłem zaskoczony tym uprzywilejowaniem, bo przecież nie żyjemy gorzej od Rosjan. *Jakby przypomniałem sobie o istnieniu* w Magnitogorsku Związku Patriotów Polskich. *Wielocennie Związek zadbał o nas.*

Pączek, w żywnościowych sprawach dobrze ^{się} orientuje. Wyjaśnia, że paczki przysłali Amerykanie za pośrednictwem organizacji o nazwie UNRRA, zaś ZPP rozdaje talony. *On zdążył* ← już odebrał takie paczki dla siebie i rodziny w zwykłym sklepie na Trzecim Uczastku. *Doradził udać się do* lokalu ZPP, mieści się w baraku naprzeciwko domu partii.

Od ^{kilku} miesięcy nie głoduję, ale po pracy poszedłem w tamtą stronę. Długo nie szukałem tego baraku, bo już z daleka zauważyłem kolejkę, a gdy poszedłem bliżej - poznałem naszych. Gdy wszedłem po jakimś czasie do środka, przywitał mnie mój przyjaciel Józek Kowańko. Uśmiechnięty, ale nieco zażenowany, jak sądzę, z powodu zbyt luźnego garnituru w zieloną kratę. Z przekąsem zauważył: - Amerykański ^(u) cich, chyba rodem z Teksasu; taki mi tu dali i ^(u) chwala Bogu, bo wróciłem do Magnitogorska w łachmanach.

- A gdzie byłeś?

- Oczywiście w "strojbacie", i to bardzo daleko.

- A jak udało ci się tu powrócić?

Józek wskazał wzrokiem na Klarę Lerman zajętą teraz wydawaniem talonów. - To ona mnie stamtąd wyciągnęła.

- Żartujesz - zauważyłem z niedowierzaniem.

- Może niezbyt ściśle się wyrażam, ale odnalazła towarzys-

sza, z którym kiedyś siedziałem w plockim więzieniu. On był jednym z organizatorów ZPP w Magnitogorsku i dobierał zaufanych ludzi do Zarządu. Krótko mówiąc przez miejski komitet partii tu mnie ściągnęli.

- Tak od razu? - zapytałem.

- No nie, trwało to wiele miesięcy, bo wiesz, jak tu *mówią*: "Moskwa daleko". Tamten naczelnik schował pismo pod sukno i gdybym nie uderzył pięścią w stół, długo bym jeszcze tam pozostał.

- Nie wiedziałem, że masz taką twardą pięść i że ona tu skutkuje - powiedziałem drwiąco.

- Masz rację, zdaje się, że co innego pomogło; następne pismo z nie mniej ważnej instytucji. Dziwię się, że nie jesteś członkiem naszego Związku; pamiętam, jakie piosenki śpiewałeś w wagonie przy piecyku. *O lotnikach, o turbinie ...*

Rzeczywiście, śpiewałem i na wspomnienie tamtych dni poczułem się młodszy o pięć lat. Ale tylko na chwilę. Odebrałem talon i postanowiłem zapisać się do ZPP.

17 marca 1945 roku, dokładnie rok przed wyjazdem, wręczono mi legitymację ZPP. Obejrzałem orzełek na okładce, okrągłą pieczęć w języku polskim i rosyjskim, przeczytałem wyciąg ze statutu: "Każdy członek ZPP obowiązany jest przez swój udział w walce zbrojnej lub przez ofiarną pracę zawodową i społeczną przyczynić się do zwycięstwa w wyzwoleniczej wojnie, które demokracje świata prowadzą z hitlerowskimi barbarzyńcami". Zapłaciłem składki od grudnia ubiegłego roku i schowałem legitymację do kieszeni. Jakoś razniej się poczułem, jakbym kawałek domu miał przy sobie.

Dowiedziałem się, że Związek i 1 Dywizja im. Tadeusza Kościuszki powstały z inicjatywy Wandy Wasilewskiej, córki byłego ministra spraw zagranicznych i przyjaciela Marszałka. Niewiele jednak interesuje

polityka. Ludzie zaafelowani są zdobyciem czegoś do jedzenia ponad głodowe racje przydziałowe, również ubrania i obuwia. Spotkać też można tutejszą "arystokrację". Do nich należą rzemieślnicy, głównie krawcy, ale także nieliczni z wyższym wykształceniem lub średnim. Ci ostatni robią wrażenie mających tzw. układy z "naczelstwem"; nic im nie brakuje, oczywiście w skali powszechnego niedostatku. Oni zresztą stanowią trzon kierownictwa ZPP.

Ja przyglądnąłem do krawców, od których jak na giełdzie można się dowiedzieć, jaka jest aktualna cena przerobienia garnituru na damski kostium. Okazuje się, że wysoka: dwa bochenki chleba^{plus} wiadro kartofli. Trudno jednak sprawdzić "kurs", bo jedni chwają się, że więcej biorą, inni - ci mieszkający w "obszczeżitju" - po pracy szyją po domach i zadowolają się obiadem u klientki. Tak czy inaczej krawcy nie są głodni, a ostatnio nawet nieźle ubrani. Amerykańskie dary otrzymane w ZPP przerobili i całkiem porządnie wyglądają. Mnie się udało, przypadł mi najmniej jaskrawy kolor; niewielka przeróbka i już jestem kimś. Zgodnie z przysłowiem: "Jak cię widzą, tak cię piszą".

Daleko mi jeszcze do tych, którzy od samego początku nie parali się łopata. Spora grupa dorobiła się nawet maszyn, pracuje w domu na "drugą zmianę", żona pomaga, nici i dodatki nie kosztują, więc nieźle sobie radzi. O, daleko mi do nich!

Kiedy drugi raz odbierałem w sklepie unrowski przydział, podsłuchałem taką oto rozmowę:

- Wielkie mi aj waj, trochę mąki, kaszy i tych jajek w proszku, których mam po uszy - powiedział jeden z "doroskiewiczów". - Grzeszysz - oponuje jego przyjaciel. - Popatrz na Rosjan stojących obok w kolejce po kartkowy chleb, oni nic

nie dostają; dla nich tylko ten obraz nad ladą - dodał zniżając głos.

W duchu przyznałem mu rację - znowu jesteśmy uprzywilejowani. Tak było na samym początku ze sklepikiem tylko dla "zapadników" i to się powtarza. Wtedy miejscowi w końcu się zbuntowali i sklepik zlikwidowano. Teraz cisza. Ludzie potulnie stoją w kolejce po swój przydział chleba i nic nie mówią. Czasem tylko ktoś spojrzy na nas zazdrosnym okiem, a inny z odcieniem rezygnacji, że chyba tak powinno być.

Odebrałem swoją paczkę, przyniesioną z zaplecza, i popatrzyłem na puszkę z napisami po angielsku. Nie musiałem się trudzić z odczytaniem, był bowiem duży napis w języku rosyjskim: SWINNAJA TUSZONKA. Zwykła wieprzowina, ale te puszki przeszły do historii, tak jak - nie przymierzając - słynne "katusze". Wtedy i później w opowiadaniach ludzi z frontu przewijały się właśnie motywy o wspaniałej tuszonce i "katuszach", o których jeńcy mówili, że zagrały im organy Stalina.

Wieprzowina cenna rzecz i schowałem puszkę do kieszeni. Ale co robić z resztą? Mieszkam w "obszczeżitju", a tam nie ma warunków, aby coś ugotować bądź usmażyć omlet. A z mąką co zrobić? Tylko z tym kłopot.

Wychodzę ze sklepu, a za mną ciągnie się smuga spojrzeń, jakby oświetlały reflektorem tego, którym zaopiekowali się Amerykanie. I jeszcze raz uświadomiłem sobie prawdę o mieście, w którym bardzo dużo ^{roźnych} obywateli żyje gorzej od ^{zabudnic} żadnej to pociecha, lecz tylko konstatacja. A tuż za drzwiami zauważyłem niemłodą ^{już} (kobietę opatuloną w chustkę z pustą torbą w ręku. Przystanąłem i nagle przypomniała mi się postać z miasta Frunze, ta, która ofiarowała mi wtedy kawał chleba. Przyglądam się, jakbym chciał utrwalić tamten obraz, i odruchowo powie-

działem: - Wozmitie, mnie nie nużno. - Oddałem, co trzymałem w ręku i pobiegłem w stronę tramwaju. A za mną poleciało jakże wzruszające słowo - "synok"... Nie dotarło już słowo - "spasibo".

× × ×

Kilka dni po radosnym dniu zwycięstwa dostąpiłem niezwykle go zaszczytu, jakiego nie mogłem się spodziewać. Sam naczelnik Małyj zaprosił mnie do siebie do domu. Nie pojechaliśmy na Beriozkę, jeszcze nie ta klasa, obowiązuje bowiem zasada - każdy po czynu - odpowiednio do zajmowanego stanowiska.

Naczelnik mieszka w wysokim budynku na osiedlu Szczytowyje, w obszernym mieszkaniu, nieźle urządzone. Dywany, meble, obrus na stole, w pokoju jadalnym kanapa z mnóstwem poduszek, obrazki na ścianie. W takim domu nie byłem od kilku lat. Uwagę przykuł jeden obrazek, prawie taki sam był u nas w domu, a dostał go brat w prezencie od swojej siedemnastoletniej sympatii - Cesi Rozenblum. Też malowany był farbą olejną na czarnym atłasie. Wiele razy usiłowałem skopić piękną postać dworskiej damy i nie mniej piękną kryzolinę, barwną i bardzo długą, spod której widać było tylko czubki złotych pantofelków. Największą trudność sprawiało namalowanie fryzury owej damy - bujnych loków, spadających na okrągłe ramiona. Nie lepiej radziłem sobie z kameą na długiej białej szyi. Co się stało z tym obrazkiem, jaki los spotkał uroczą Cesię?... Tę rozmowę ze sobą przerwał zachęcający głos gospođyńi: - Sadi-ties za stołom. - Jeszcze raz przyjrzałem się pani domu. Nie była elegancka, Cóż - dworskie damy od dawna należą już do przeszłości. A na stole karafka z jakąś nalewką, pierniczki - święto w dzień powszedni. Nie wiem, gdzie podziąć ręce po odstawieniu kieliszka, nie potrafię znaleźć się w przyzwoitym domu.

Przede wszystkim muszę przewyciężyć dystans dzielący mnie od naczelnika i zapomnieć o drobnostce, o czasach, kiedy ten sam człowiek żałował mi chleba. Przychodzi to z trudem, i nie mógł wychylić jednym ^{haustem} następnym kieliszek. Kompleks niższości wciąż daje o sobie znać. rozmowa

nie klei się, nadal pozostaję ze swym bagażem magnitogorskich doświadczeń. W istocie nieszczęśliwych, taki bagaż mają także miejscowi, nie tylko "zapadnicy". A jednak są wyjątki, jeśli pewną warstwę ludzi tak można nazwać. Tak było do czerwca 1941 roku i tak pozostało do dziś. Właśnie naczelnik Małyj do nich należy. Ale, o dziwo - czym jestem zaskoczony - traktuje mnie w swoim domu za pan brat. Widocznie osoba krawca pasuje do jego wyobrażeń o ludziach z elity, tych z wyższych sfer.

Postanowiłem się przestawić, przyjąć pozę ¹ równorzędnego partnera, co właśnie robię, jak aktor na próbie generalnej. Nieco oswojony w nowym wcieleniu wiele nie mówię, raczej słucham przytakując, ale dotąd nie wiem, w jakim celu zostałem zaproszony. Wreszcie ujawnił, o co chodzi; ma do omówienia ze mną dwie sprawy. Jedną służbową, a drugą - niejako przy okazji - prywatną. Zaczyna od tego, że towarzyszka Frołowa, która jak wiadomo zajmuje się sprawami socjalnymi, zaproponowała, żeby zorganizować taki mały własny "szirpotreb" - pracownię krawiecką dla naszych pracowników. Wszystko już omówiła ze związkami zawodowymi, będą miały nad tym patronat i przeznaczą odpowiednie fundusze na ten cel. Mnie pozostaje tylko zająć się stroną fachową - objąć kierownictwo. Znalezione już kilka osób, które - jak twierdzą - potrafią szyc. Wyraziłem zgodę, wypiliśmy za "pobiedę", nie będąc pew^{ny} czy chodzi o wielkie zwycięstwo nad Niemcami, czy o całkiem małą sprawę z dziedziny "szirpotrebu".

Teraz przyszła kolej na prywatną sprawę. Małyj podszedł do szafy i wyjął z niej kupon materiału. - Nie jest mi potrzebny, garnitury szyję w "Atelie Mod" na talony - powiedział *mierząc mnie wzrokiem kupca*. Popatrzyłem, wziąłem do ręki - ciemny granat w białe paski. W garnitur z takiego materiału ubrany był Churchill w czasie wizyty w Moskwie - widziałem na ilustracji w gazecie. Małyj nie wziął dużo za materiał, słyszałem, że więcej kosztuje, widocznie jemu niezręcznie tym handlować. Zapakował w "Magnitogorskiej Raboczyj", przyjaźnie pożegnał życząc powodzenia w pracy. Dopiero na ulicy zastanowiłem się, czy mnie przystoi paradować w garniturze z takiego materiału. Będzie "kłuć w oczy". Ale wojna przecież skończona i niedługo wrócę do domu, a tam nikogo to nie będzie obchodzić. Nieco uspokojony postanowiłem w nowym warsztacie krawieckim przede wszystkim uszyć sobie garnitur. W kraju trzeba porządnie chodzić ubranym.

W dwa dni wyszykowaliśmy niezłe pomieszczenie; wstawiliśmy stół i krzesła, zainstalowaliśmy telefon. Skąd jednak wziąć maszynę do szycia? W niedzielę, z zastępcą przewodniczącego związku poszliśmy na bazar. Pieniądzy mamy dużo, ale maszyny nie było. Są za to inne rzeczy, to już nie ten sam bazar co dawniej; oprócz owoców wiele różności można dostać. A niektóre pochodzą aż z za oceanu. Czekolada i tytoń z Wirginii nie są rzadkością, ale większość towarów z bliższej odległości - z Niemiec. Trofea sprzedawane są z ręki do ręki. Kupiliśmy żelazko, a maszynę do szycia ktoś wypożyczył za prawo do korzystania z krawieckiej usługi. Jednakże lista oczekujących już długa i nieprędko to nastąpi. Ja mam bezwzględne pierwszeństwo i materiał kupiony od naczelnika szybko przybrał kształt modnego garnituru.

Nie zdążyliśmy jeszcze na dobre rozkręcić interesu, a już naczelnik Małyj narzeka: ma więcej kłopotu z tym warsztatem niż z całą walcownią. Ludzie przychodzą ze skargą, że Frołowa nie chce dać talonu, ktoś był pierwszy, a innemu już uszyli. Ja też mam kłopoty. Frołowa znalazła krawców z niewielkim doświadczeniem. Tylko jeden z nich ma za sobą trzy lata terminowania w Mławie, pozostali jeszcze mniej.

Pewnego dnia, gdy przechodziłem obok gmachu partii, przystanąłem na chwilę przed eleganckim wejściem do "Atelle Mod". Tak jak dawniej zasłonięte firanki, ale u mnie wiele się zmieniło. Dlaczego nie wejść popatrzeć, tylko popatrzeć, nie więcej. Pracą nie byłem zainteresowany, mam przecież własną pracownię. No, niezupełnie własną, ale przecież mianowali bądź co bądź kierownikiem. Bez zastanowienia nacisnąłem mosiężną klawkę. Przede mną tęgawa pani ubrana w ciemną suknię z przypiętym do niej medalem. Stałem i nie wiem co powiedzieć. Nagle coś mi się przypomniało, już wiem, jak się odezwać. Słyszałem kilka lat temu w "obszczeńtju", jak ktoś zapytał: - Czy potrzebny dobry krawiec z Warszawy? - Wypowiedziałem te same słowa, tak jak hasło rozpoznawcze. Odzew też był identyczny: - Chętnie przyjmę, bardzo proszę. - Że mówię prawdę, nie było wątpliwości, kierowniczka spojrzała przecież na paski mego garnituru. ^{znovu bez zastanowienia,} machinalnie podałem nazwisko, a także miejsce pracy. Nazajutrz opowiedziałem o tym koledze z Mławy. Odradził. - Przecież tu jesteś na swoim, na własnych śmieciach, nigdzie nie chodź - próbował wyperswadować i odwieźć mnie od tego zamiaru. Zastanowiłem się i uznałem, że ma rację: trzeba odwołać pochopną decyzję.

Centralka odnalazła numer i połączyła mnie z kierowniczka

"Atelie Mod", której powiedziałem krótko: - Wycofuję o fertę, przepraszam za nierozważną propozycję. Jeszcze krótsza była odpowiedź: - Nie będziemy was pytać o zgodę - i odłożyła słuchawkę. Oryginalny zwyczaj. Po dwóch dniach otrzymałem pismo z Działu Zatrudnienia, informujące o przeniesieniu do "Atelie Mod". Nagle poczułem się wielce wyróżniony. Będę pracował w najwyższym i najważniejszym budynku z widokiem na pomnik Stalina, w budynku miejskiego komitetu partii, w ekskluzywnej firmie z zasłonami w oknach - słowem w podziwianym niegdyś, ale ciekawym wtedy atelier.

Nazajutrz poznałem kilkunastu współpracowników. Sami swoi, przywitani po polsku; tylko trzech miejscowych odpowiedziało starczym głosem: - Zdrastwujcie. - Czekam na pracę Izaak Ajzenberg, który wkrótce będzie moim najbliższym kolegą. Pochodził z Radomia, o kilka lat starszy ode mnie. Do końca naszego pobytu w Magnitogorsku byłem pod jego wpływem, znacznie większym, niż sądziłem. Pracował tu od pierwszych dni, gdyż zaraz po przyjeździe to on właśnie przyszedł do "Atelie" ze wspomnianym "hasłem", mimo że z Warszawy nie pochodził. Tu usłyszał dramatyczną dla siebie wiadomość. Na pytanie czy miał brata - przytaknął, podał jego imię. J wtedy opowiedzieli jak było. Tu pracował, a przybył do Magnitogorska z Białorusi w 1937 roku sądząc zapewne, że daleko na Uralu nie będzie poszukiwany, już jednak po miesiącu został aresztowany; były to bowiem czasy "jeżowszczyzny", *czasy masowych represji.*

Cień brata od lat mu towarzyszył, nie dawał spokoju, śnił mu się po nocach. Któregoś dnia opowiedzieli mi o nim. - W Radomiu nie mógł dostać pracy; jego koledzy emigrowali do Francji, Belgii, a on postanowił pojechać na wschód. Myślę, że nie wzięli szarowi piątiletek i ślad po nim ^(zaginął) Zsyłkę brata do obozu lub rozstrzelanie (nie wiedział dokładnie) Izaak widział na szerszym tle, nie tylko jako odosobniony wypadek. Miał na ten temat określone zdanie i nie tał tego

przede mną. Wkrótce poznałem jego żonę, sympatyczną brunetkę, którą Izaak przedstawił mi jako "domochazajkę" - gospodynię domu, jak przystoi "porządny" rodzinom w Magnitogorsku. Po przyjeździe dostali pokój w baraku, ale mieszkali w nim tylko kilka tygodni. Od początku poznał ludzi z "wyższych sfer", dla nich szył i jeden z nich załatwił im mieszkanie w bloku; duży pokój z wygodami i ^(wsp. łno) kuchnię według standardu - nazwijmy go - górnej warstwy elity średniej.

Na warunki materialne nigdy nie narzekali, aczkolwiek ich magnitogorski dobrobyt okupiony był pracą na "drugą zmianę" w domu. Izaak zadbał, aby powierzchowność jego żony zbytnio nie odbiegała od wzorca radomskich elegantek. Świadczyły o tym suknie, a także palto, wymyślnie obszyte karakułem. A sprzyjała temu klientela z kręgu kierownictwa, głównie sektora gospodarczego. Płacili - rzecz jasna - towarem, z reguły hojnie, a jak to zdobywali, Izaak nie dociekał, chociaż nietrudno było się domyślić. Przez wiele lat był ich krawcem i coś niecoś o tych ludziach wiedział. Opowiadał mi o nich zawsze z komentarzem: - Nie mają słodkiego życia, nie chciałbym się z nimi zamienić. Huśtawka, jak cholera: raz na górze, raz na dole. A najgorzej, jak tasują talię kart u. samej góry; ten, który był asem, ni stąd ni zowąd zostaje blotką. Bywa też i na odwrot. W tym kraju najlepiej być krawcem, a na pewno - bezpiecniej.

Wszystko to było dla mnie zaskoczeniem, chociaż tyle samo lat tu mieszkałem. A już najbardziej zbulwersowała mnie historia, którą Izaak mi opowiedział. W czasie przymiarki jednemu z klientów wypadła z kieszeni legitymacja partyjna. Podniósł ją i tak powiedział: - Zgubiłbym "pqrnose bicheże" /książeczka dająca dostatek/. - Nie takie miałem wyobrażenie o

członkach partii! Cynik i karierowicz! Mówiłem, że to osobniony wypadek, ale Izaak z tym się nie zgodził. Wcześniej słyszałem, że często "zdejmują" ze stanowisk. Ktoś był naczelnikiem i nagle zostawał zwykłym robotnikiem. Znałem kierownika dużej bazy samochodowej, którego nagle zobaczyłem "za kółkiem". Widziałem także film o słynnym białomorskim kanale, przy którym ^{budcine} niebezpieczni przestępcy zostali uhonorowani wysokimi odznaczeniami i wyszli z łagru jako bohaterowie pracy. Różnie bywało. W Magnitogorsku głośny był przypadek skazania za malwersacje na dziesięć lat dyrektora ważnej jednostki gospodarczej. Po wojnie przyjechał obwieszony medalami i zajął jeszcze wyższe stanowisko.

Po latach spotkałem na plaży w Międzyzdrojach byłego "zapadnika", który w Magnitogorsku był kilka lat głównym księgowym w centrali zaopatrzenia. Opowiadał, jaki był mechanizm pojawienia się na bazarze czekolady i tytoniu. On tylko odpowiednio księgował, rzecz jasna nie bezinteresownie. Takie było oblicze marginesu Magnitogorska i tacy bywali również "zapadnicy". Świadomie nazwałem to marginesem, bo, jak wiemy, wizerunek miasta był inny.

Pewnego dnia Izaak przyszedł do pracy ^{zmarłwiany}; w nocy żonę zabrali do szpitala. Natychmiast uruchomił swoje znajomości i już następnego dnia towarzyszył żonie do specjalnej kliniki w Czelabińsku. Niestety, nic nie pomogło, po tygodniu tam ją pochował. Po śmierci żony stracił ochotę do pracy w domu, ograniczając się do "państwowych zarobków". Nie trwało to jednak długo. Klientów nie brakowało, powrócił w końcu do poprzedniej koleiny. W tym czasie często do niego przychodziłem, aby nie czuł się tak samotny; częściej też w rozmowach powracał stary temat. Wiele ^{wieczorów} przegadaliśmy o tym,

kim był jego brat, ale przede wszystkim, dlaczego został aresztowany i przepadł bez wieści. To było przerażająco niewytłumaczalne, w istocie tylko dla mnie, bo dla Izaaka wszystko było jasne, nie ulegał złudzeniom. Nie raz i nie dwa obsesyjnie wracał do tego, jakby sam nie był pewny jutra. Tak się zwierzał: - Gdy w nocy słyszę kroki na schodach - zdaje mi się, że idą po mnie. Właśnie po mnie, bo i najbliższa rodzina oskarżonego jest współwinna; również znajomi, wszyscy, z którymi zetknął się "wróg ludu" - mogą być aresztowani. - Najlepiej nie mieć liczного towarzystwa, nigdy nie wiadomo, co komu może się przydarzyć - stale powtarzał.

Mówił, że budzą go koszarne sny: widzi brata na katordze, słyszy stukanie do drzwi i głos: - Sobierajsa, pajdiom. Ale ja broniłem własnych złudzeń: - Jesteś przewrażliwiony, tamte czasy minęły bezpowrotnie. Stalin przecież o tym nie wiedział. Jezowa w końcu usunął i kazał posadzić, gdy jego bezprawie wyszło na jaw. Nie tylko nie przekonałem przyjaciela, lecz wręcz dawał mi do zrozumienia, że ma mnie już dość. - Czy jesteś ślepy, nie widzisz, czym to pachnie?! - Tak zawsze kończyła się rozmowa, a także przestrogą, żeby nawet słówkiem nikomu o tym nie pisać. - Zapamiętaj: w pracy - jak zresztą w każdym innym środowisku - mają kapusia, który donosi, kto o czym mówi. Przecież żyjemy stale pod obserwacją, na podsłuchu, nie wiemy, co przyniesie następny dzień. Radził mieć się na baczności, bo są i tacy, którzy potrafią nawet zmyślać, aby wykazać się, że darmo nie biorą pieniędzy. Wymienił przy tym nazwisko jednego z naszych pracowników. Głupi facet, sam się pochwalil: - Wiesz, kim ja jestem, wiesz, co ja mogę?! - Nikt się go jednak nie boi, bo i bez niego wytworzył się mechanizm ochronny. W ogóle nie sły-chać w "Atelie Mod" rozmów o polityce, zwłaszcza o radzieckiej

rzeczywistości. Wiadomo już, że o tym nie "nada bałtać". A jednak czasem ktoś powie o mnie: - Naiwniak, jeszcze nie przejrzał.

Największe zainteresowanie moich kolegów po fachu budzi co innego: dla jakiego dostojnika szyje garnitur. Im ważniejsza figura, tym większa satysfakcja, no i prestiż rośnie. Pierwsze skrzypce gra Ajzenberg, ale wkrótce będę grał na drugich. Dostąpię zaszczytu szycia dla ważnych klientów, dla śmietanki Magnitogorska.

Już sam materiał, z którego szyjemy, mówi sam za siebie. W Tomaszowie miałem do czynienia najwyżej z Rappaportem z Bielska, tu zaś same "Made in USA". Zlecenia z nazwiskiem informują, dla kogo szyjemy: Nosow, Joffe, Czyżyk, Tartakower. Wiemy, kim są. Naczelny dyrektor kombinatu, jego zastępcy, naczelny lekarz, a także prokuratorzy i wyżsi rangą wojskowi. Dla takich szyć to powód do dumy; człowiek niemal upodabnia się do dostojników. Trafi się czasem zwykle nazwisko jakiegoś majstra z wielkich pieców, ale takim zajmą się miejscowi - Pierow lub Płotkin - krawcy starej daty.

Nasz krojczy, Wiktor Wasiliewicz, doskonale wie, kto dla kogo powinien szyć. Już niemłody, o ujmującej powierzchowności, mądrym spojrzeniu, z dużą osobistą kulturą, u wszystkich budzi szacunek. Czasami w luźnej rozmowie rzuci słówko o Czechowie, Gog^olu, Riepinie - jakby był świadkiem tamtych czasów. Może wywodzi się z rodziny, która żyła na co dzień literaturą i malarstwem? Z pewnością ma półkę z książkami klasyków literatury rosyjskiej.

Któregoś dnia przyniosłem mu uszytą przeze mnie marynarkę. Nałożył ją na manekin, po czym dobierał właściwą odległość i kąt, z którego najlepiej widać. Tak ogląda się zwykle obraz

znanego artysty. Porównanie zdaje się przesadne, wręcz nie na miejscu, lecz w odniesieniu do Wiktora Wasiliewicza - jak najbardziej trafne. Odwrócił lekko głowę, cofnął się o krok i tak powiedział, wskazując ręką na pewien szczegół: - Tu jest niewielka usterka, trzeba poprawić, jak w obrazie drugorzędny detal. Niekiedy wystarczy pędzlem nałożyć ciemniejszy odcień gdzieś na dalszym planie, a cały obraz nabiera pełniejszego wyrazu. *Na pewno przesadził z tym porównaniem, może nawet ironizował, ale*

pochwalił mnie przed kierowniczką. Jednak nie z tego powodu nastąpiło siedem biblijnych tłustych lat, licząc miesiąc za rok. Tyle miesięcy pozostało mi bowiem do wyjazdu.

Szybko spostrzegłem, że źródłem dochodu jest nie tylko płaca za ilość wykonanej roboty. Nawet wysokie zarobki nie są w żadnej rozsądnej relacji do cen na czarnym rynku. Dlaczego więc ludzie intensywnie pracują? Odpowiedź sama się nasuwa: - Im więcej uszytych ubrań, tym więcej "wygospodarowanej" podszewki na bluzki i materiału na czapki. Ze zbytem nie ma kłopotu, nie trzeba się trudzić z wynoszeniem nielegalnego towaru. Na miejscu ktoś odbierze, nie krępując się nawet naszego kapusia. Kapusia od innych spraw, innej sfery zainteresowań. Zresztą sam uprawia ten proceder rozpowszechniony nie tylko w "Atelie Mod". U nas

tylko Izaak woli oszczędzać energię na "drugą zmianę" i zbyt-
nio się nie wysila. Może na skutek przeczulenia, bo zawsze pow-
tarzał: - Strzeżonego Pan Bóg strzeże. - A mnie jakby uskrzydli-
ło; w ciągu miesiąca coraz więcej uszytych garniturów i oczywi-
ście proporcjonalnie "wygospodarowanego" towaru. Doping działa
tak skutecznie, że wkrótce osiągam wyżyny sięgające czterokrot-
nej normy. Nareszcie pracuję "na siebie".

Kierowniczka nie tylko docenia robotę "dobrego krawca z War-
szawy", ale również rekordową wydajność. Na jej piersi pojawił
się drugi medal, ale oczywiście nie z mego powodu. Zasługi są
innego rzędu. Ja natomiast zostałem uhonorowany talonem na bez-
płatne wczasy. Cały miesiąc mam odpoczywać na łonie natury, pod-
reperować zdrowie i o nic się nie martwić. Od czasu kiedy byłem
na wakacjach w Karolinowie u Janka Króla nawet nie marzyłem
o czymś takim, tym bardziej tu, gdzie przez tyle lat myślałem
tylko o jednym: jak zaspokoić głód.

Skierowanie odebrałem w związkach zawodowych, co było niema-
łym odkryciem, gdyż pamiętałem, że w Polsce taka instytucja
spełniała całkiem inną rolę - organizowała strajki. *Tu niema mowy o*
strajkach związki zawodowe mają co innego do roboty. *Przed wszystkim*-
kim są szkołą komunizmu, także transmisją do mas i zajmują
się współzawodnictwem pracy, ale widać - również wczasami.
Niestety, nie wszyscy mogą z tego dobrodziejstwa korzystać, bo
liczba miejsc ograniczona. Ja widocznie zasłużyłem na wyróżnie-
nie, na ten szczególny rodzaj nagrody. Nie dociekam, że zna-
laziby się ktoś inny, bardziej ode mnie wyczerpany codzienną
harówką przy piecach lub walcowni, wszak życie nie aż tak mę-
czy. Nie zapomniałem - kim jestem: "zapadnikiem" z paragra-
fem w "pasporcie" i na dodatek w "strojbacie"; przecież dotąd
nie zostałem zdemobilizowany.

"Bez poł litra nie rozbierosz". Mam nawet do wyboru dokąd pojechać. Kombinat dysponuje blisko w górach własnym ośrodkiem rekreacyjnym i w pewnej dziedzinie również leczniczym. Nazywa się Banno Oziero i - jak wskazuje nazwa - jest to kąpielisko nad jeziorem. Chwalą ten ośrodek głównie z tego powodu, że dają tam do picia kobyle mleko zwane kumysem, a kumys ponoć bardzo dobry na męską kondycję. Nieźle się czuję, toteż zdecydowałem się na inną miejscowość, gdzie w sanatorium piją wodę mineralną i leczą borowiną dolegliwości reumatyczne. Przypomniałem sobie jak na budowie odmroziłem nogi, więc wybrałem to właśnie sanatorium.

Urlop będę spędzał nad jeziorem na Uralu, aż za Swierdłowskiem. Daleko stąd, z przesiadką podróż potrwa dwie doby. To mnie jednak nie odstrasza; przeciwnie, uwielbiam dalekie podróże, mam przecież doświadczenie wytrawnego "turysty" z 1942 roku. Za wszystko płacą związki zawodowe i placka kartoflanego nie będę musiał kraść.

Kupiłem mandolinę i wyruszyłem w drogę. Czytelnika zapewne zdziwi, po co mandolina? Przysięgam, że nie miała służyć za "wabika". Zresztą kto wie? - dziewczyny przecież lubią muzykę. Znałem wtedy anegdotę o chłopcu, który nie miał fartu do dziewcząt, a jego kolega miał. I ten kolega ujawnił sekret: - Z dziewczyną trzeba zacząć od muzyki. Chłopak tak zrobił. Przy sprzyjających warunkach zapytał dziewczynę: - Lubisz muzyku? - Liubliu. - A Bacha znajesz? - Znaju. - Tak rozdiewajśja.

Pociąg wije się między górami, wśród rzadkich brzozowych lasów tak dobrze mi znanych. Ale wtedy wszystko pokryte było śniegiem. Teraz zaś wszędzie zieleń, tylko gdzieś tam już widać żółty kolor. W Czelabińsku poczekałem kilka godzin na pociąg do Swierdłowska, a następnego dnia wysiadłem na stacji

Kasli. Na dworcu razem z grupą około trzydziestu osób czekam na przewodnika. W końcu zjawił się inwalida wojenny, który za drobną opłatą zawiezie nas do sanatorium o nazwie Sungul. Zawiezie łódką, bo droga wodna jest jedynym połączeniem.

Prywatna, maleńka motorówka, przytroczona do barki, z trudem daje sobie radę z falami na rozległym jeziorze. Prawie godzinę trzeba płynąć, aż na sam koniec jeziora tam, gdzie daleko, na wysokim brzegu widać białe budynki. Przy brzegu z prawej strony zobaczyłem hutę, ale "kudy" jej do magnitogorskiej. Stare hale o konstrukcji drewnianej na pewno pamiętają czasy Piotra Wielkiego. Że blisko huta, przekonaliśmy się już na peronie, bo oferowali pamiątki z artystycznie wykonanych żeliwnych odlewów. Wkrótce znika panorama słynnej starej huty i wzdłuż jeziora pojawia się obramowanie kolorowego lasu. Koniec września, ciepła złota jesień, jak w Polsce. Ale las nie przypomina sosnowego boru, jaki wciąż pamiętam; nie pachnie żywicą z Karolinowa. Mocno kołysze, ale wypada podziwiać stare liściaste drzewa, z których już lecą złote liście. I kolor jarzębiny na białym tle brzoź wysokich jak maszty. Im dalej, coraz więcej czerwieni. Ta czerwień jest również w jeziorze; girlandy koralu towarzyszą nam przez całą drogę.

Następnego dnia przyjechało jeszcze dziesięć osób i teraz nasz turnus liczy czterdziestu kuracjuszy, w tym ponad połowa kobiet. Trzeba pić wodę mineralną, leżeć utyłkany w brunatnym błocie aż do siódmych potów, a potem długo odpoczywać. To nie dla mnie i wkrótce wyżamałem się z tego reżymu; wolę pochodzić po lesie wokół naszych dwóch budynków lub wzdłuż jeziora i popatrzeć, jak pluskają ryby. Nie widać stąd żadnych zabudowań, żadnych dróg, wszędzie niczym nie zmącona cisza, aż w uszach dzwoni. Nie huczą dmuchawy wielkich pieców, nie roz-

legają się wybuchy z żelaznej góry Magnitnaja i nie dudni setka parowozów za ogrodzeniem kombinatu. Tylko na horyzoncie ~~burzowa~~ ^{prześnana się} smuga dymu ~~od~~ strony starej huty, aby rozpląnąć się w błękitie daleko między górami.

Siedzę nad brzegiem jeziora, patrzę na tafłę wody, na lasy bezbrzeżne, naokoło łączące się z niebem i znowu pomyślałem o Tomaszowie. Nagle uświadomiłem sobie, że zostałem sam na świecie, i tego się przeraziłem. Gdzieś nad Wołgą ^(g) przepadł jedyny brat, od którego ostatni list dostałem trzy lata temu ze Stalingradu. Wkrótce potem mówili o tym mieście, że tam „robotał miasoróbka”. Okrutnie powiedziane, bo dotyczyło nie tylko hitlerowców, lecz przede wszystkim tych, którzy starali się powstrzymać Niemców. Gdyby brat żył, napisałby przecież. Ale dlaczego „jego” żona nic nie pisze? Koniecznie muszę się dowiedzieć w ZPP, może ją odnajdą; jeśli żyje powinna być w tej organizacji. Zaraz to zrobię, jak tylko wrócę do Magnitogorska.

I tak płyną wczasowe dni. Gram czasem na moim instrumencie, ale bez większego grona chętnych, którzy by chcieli posłuchać jej dźwięków. Z moją mandoliną konkuruje trzyczęściowa „garmoszka”; ma większe powodzenie. Dziewczęta wolą harmonię, a może tego, który na niej pięknie gra? Wieczorami w obszernej świetlicy tańczymy walca przy muzyce naszego harmonisty i śpiewamy pieśni. Piękna jest pieśń „Na sobkach Mandżurii”, ~~ale~~ ^{piękniejsza} i „Jarzębina”; taka wątła i słaba, której zaimponował mocarny dąb.

Nagle - a było to w połowie października - zerwał się silny wiatr; przygnał chmury, nisko zaległy i pokryły szarą płachtą wzburzone jezioro. Rano nie ten sam krajobraz, wszędzie biel śniegu, jakby dawno już była zima. Niektórych, pochodzą-

cych z tych stron, to nie dziwi, przyjęli zmianę pory roku jak normalną rzecz. Kierowniczką też nie była zaskoczona. Zarządziła koniec turnusu i kazała się spakować nie tracąc czasu, bo możemy stąd się nie wycofać. *Już zadzwoniła do władz, uzyska-*

ła zapewnienie, że po południu przypływie kół.

Jeszcze ostatnia smażona ryba i wszyscy są już załadowani, mocno przywarci do siebie jak cegły. /Cegieł kilkanaście zostało na barce i stąd to skojarzenie. /Taka barka świetnie nadaje się do transportu po jeziorze, ale najmniej do przewozu jednorazowo czterdziestu ludzi,

zanurzenie prawie sięga krawędzi burty. Silnik motorówki ledwo dyszy, krztusi się, jakby za chwilę miał wyzionąć ducha. Płyniemy jak po wzburzonym morzu; boczny wiatr spycha nas w kierunku brzegu, a lodowatą wodę raz po raz przelewa falą, ⁺śledząc nasz niedawny zachwyty wspaniałym sanatorium. I tylko spokój może nas uratować. Tak też się dzieje. Wypatrujemy, jaka jeszcze odległość pozostała do pokonania. Wciąż duża. *W naszej wyobraźni* jezioro w ciągu trzech tygodni wydłużyło się co najmniej dwukrotnie.

Sciemniło się już, gdy dotarliśmy do przystani. Byliśmy przemoczeni do suchej nitki i zmarznięci, ale mimo wszystko żywi. A cały urok czasów to przygoda, zwłaszcza taka, którą długo się pamięta. W nocy wyruszyłem w drogę powrotną do Magnitogorska. Zaskakująca jest aura na Uralu; wystarczyło przejechać marne czterysta kilometrów na południe, a w kotlinie znowu ciepło niczym na Krymie. A na Krymie, jak wiadomo, rosną owoce. Okazuje się, że tu też. Jakże się zdziwiłem, gdy na polach zobaczyłem prawdziwe arbuzy. Nie chce się wierzyć, ale kiedy kupiłem na małej stacyjce dwa, przekonałem się, że na

Uralu rzeczywiście rosną owoce. Wielkie, ciężkie arbuzy ledwo udźwignąłem. Jaka szkoda, że nie przywożą ich do Magnitogorska. Czy prędko nastaną czasy, kiedy oprócz rudy i stali wozic będą również arbuzy? Dobrze, że pojechałem na wczasy; tylko z tego powodu warto było tak daleko jechać. Pomyślałem jeszcze o drobności, o wagonie^{ch} i możliwości transportu, ^{Fich jak} sprawiłbym ludziom radość! Ale wtedy - strach powiedzieć - byłbym kupcem, nazwaliby mnie spekulantem, a to już niebezpieczna sprawa. Lepiej żyć bez arbułów.

A w Magnitogorsku prószy śnieg, wkrótce nastaną mrozy i jak zawsze zima owładnie światem aż do końca maja. Dla mnie na szczęście ta zima będzie już inna od poprzednich: bez głodu i - co ważniejsze - z nadzieją na powrót do kraju.

W pracy poczęstowałem kolegów kawałkiem arbuza i tego dnia dowiedziałem się, że nasza kierowniczką wpadła na niezwykły - żeby nie powiedzieć - szatański pomysł. Postanowiła urządzić wystawę mody, czy też osiągnąć mistrzów "Atelie Mod". Wstrzymała wykonanie zamówień na talony i teraz każdy "pieści" swój "kawałek roboty", który będzie eksponatem na wystawę. I ja zabrałem się do dzieła, oczywiście z materiału w białe paski.

Po tygodniu do wynajętej sali w jakimś urzędzie wali tłum, jak w niedzielę do kościoła św. Antoniego w Tomaszowie. Niebawem pokaz mody wstrząsnął jednostajnym życiem Magnitogorska. Czy taka fasada ma jakiś sens? - pytam sam siebie. Ma to być coś w rodzaju wystawy sztuki, ^{użytkowej.} Ale te niezbyt trwałe rzeczy są przecież dla zwykłych zjadaczy kartkowego chleba tak samo niedostępne, jak obrazy w Galerii Tretiakowskiej. Owszem "dzieła" z "Atelie Mod" też można obejrzeć, ale po co? A może to reklama firmy, ale w jakim celu? firmę i tak znają, aż nadto. Można zadawać pytania, na które trudno o rozsądną odpowiedź.

Jedno nie budzi wątpliwości: - Nie "wystawa" była potrzebna, lecz odzież, zwykła odzież dla zwykłych ludzi. Nie pamiętam, czy wtedy doszedłem do tak oczywistej konkluzji, raczej dopiero po latach. Jak zresztą w innych, bardziej zasadniczych sprawach.

A tymczasem... Tymczasem w księdze zwiedzających, obok mego nazwiska przeczytałem starannie napisane zdanie i zamaszty, ale czytelny podpis obywatelki Ivanowej. Idanie żenujące: "Naród, który ^{ambicje}zrodził takich mistrzów, jest niezwyciężony". Połechtano "mężczyźnianego krągca", ale zastanowiłem się nad tymi słowami. Razi napuszczona forma, nieuzasadniona egzaltacja, ale przede wszystkim nadużywanie pojęcia narodu. Może to rezultat częstego powtarzania tego słowa? Przecież stale mówią i piszą o wielkim narodzie, o szczęściu narodu, a także o "wrogach naroda". Może zagrała fałszywa nuta rzeczywiście wielkiego zwycięstwa nad Niemcami i radziecka flaga nad Reichstagem? Bądź może wszystko razem.

A mnie pogratulowała towarzyszka Frołowa. A jakże! Inscenizacja i scenografia tego spektaklu to jej dzieło; tylko aktorzy - manekiny, jakby sztychli z zastępcy naczelnika do spraw socjalnych.

Dział damski też nieźle eksponowano, a towarzyszka Frołowa co i raz poprawia falbanki na suto udrapowanych sukniach. Widuję ją często w "Atelie Mod" w charakterze klientki, ale tu - nie wiem z jakiej racji - jest prawą ręką kierowniczką. Na pewno coś kapnie dla niej po tej wystawie.

Nie wiem też, czy nasza kierowniczką na serio potraktowała ten nieszczęsny zapis w księdze zwiedzających. Tak czy owak zostałem uhonorowany talonem, i to nie byle jakim. Upoważniał do uszycia palta z materiału "Made in USA", wieńczącego karakułowym kołnierzem. I od tej pory upodobniłem się do ministra Burcewa, któremu trzy lata temu będąc w łachmanach przyglądałem

się w walcowni. Tak właśnie był ubrany: w granatowym palcie z karakułowym kołnierzem. Zaznałem smaku magnitogorskiego dolce vita.

Ale jak chodzić w eleganckim palcie, kiedy naokoło prze-
rażliwa nędza? W tramwaju ustępują miejsca, jakbym rzeczywiś-
cie był ministrem. Nie do zniesienia! W kolejce po chleb też
jakoś nieswojo, przecież tak ubranych raczej nie widać przed
sklepem. Chwilami zdawało mi się, że grzeszę
afiszując się nowobogackim blichtrzem. Znałem jednak takiego,
który mawiał, ^(tak) jak w żydowskim porzekadle: „Jak już jeść cha-
zer, to niech po brodzie kapie”. *J grzeszyłem na całego.*

Któregoś dnia nasi pracownicy - Pierow i Płotkin - podzie-
lili się z nami interesującymi wiadomościami. Pierwszy miał
radosną nowinę, drugi znacznie mniej. Pierow otrzymał pismo
z Moskwy, które z dumą nam odczytał; jego syn otrzymał naj-
wyższe odznaczenie wojskowe - tytuł bohatera Związku Radziec-
kiego. Zdobył umocniony bunkier, unieszkodliwił kompanię woj-
ska broniącą mostu i czołgi pojechały w kierunku Berlina.
Pismo wyraża uznanie rodzicom za wychowanie dzielnego syna,
który swym bohaterstwem przyczynił się do zwycięstwa w wojnie
ojczyźnianej. W kopercie były załączniki w postaci talonów
uprawnających do korzystania po znížonej cenie z konsumpcji
w wydzielonej restauracji. Pierow uczcił tę radosną nowinę
zapraszając mnie i Izaaka do lokalu, który prawie sześć lat
temu pokazywał Wołodia z placu przed pomnikiem. Dopiero te-
raz z wysokich okien tego lokalu zauważyłem, że Stalin spo-
gląda na napis „RESTORAN”.

Ściany wykładane lustrami do samego sufitu, na stoliku
wino "Kagor", kelnerki podają zamówione dania. Inny świat.
Taki kawałek innego świata widać już od tygodnia w tym samym

budynku na parterze - w sklepie GASTRONOM⁷. Pojawiły się komercyjne delikatesy, dotąd w Magnitogorsku nie oglądane. Nie będę wszystkiego wyliczał; powiem tylko, że widziałem ciastka z kremem z wyglądu nie ustępujące tomaszowskiemu z cukierni pana Wertheima. Ale ceny jakie! Ludzie tylko patrzą, kręcą głowami i wzdychają. Niedługo zresztą trwała ta orgia na ladach; po dwóch tygodniach wszystko wróciło do normy.

Po tej relacji o deprawującym budynku pora opowiedzieć o drugim piśmie. Był to zwykły list pisany kopiowym ołówkiem na kawałku gazety; taki otrzymał Płotkin od swego syna z łagru w Magańanie. Miał dwóch, obaj byli na froncie pod Witebskiem latem 1941 roku i tam starszy z nich zginął. Dopiero teraz o tym się dowiedział. Kto odróżni łzy goryczy od łez radości? Płotkin płakał czytając mi ten list. Młodszy był ranny w głowę, a kiedy odzyskał przytomność, usłyszał niemiecką mowę. Przeszedł prawdziwą gehennę w różnych obozach. Ostatni był Buchenwald. Cużem tylko ocalał, wyzwolony przez "sojuznyje wojska", ledwo zdołali go odratować. Wrócił do swoich, *ale zamknęli* w obozie dla byłych jeńców wojennych. Ma nadzieję, że zobaczy jeszcze rodziców. Płotkin otarł łzy, cieszy się, że chociaż jeden syn żyje, ale czy go kiedyś ujrzy?... Chciałem zapytać w czym rzecz: wojna skończona, a były jeńiec, więzien hitlerowskich obozów nie może wrócić do domu? Zauważyłem jednak wymowne spojrzenie Ajzenberga i dałem spokój.

W pracy mam okazję porozmawiać z ludźmi z "wyższych sfer", gdy któryś z nich czeka na drobnią poprawkę. *Waskakująca* i dowcipna była wypowiedź jednego pułkownika. *Wspomniał o krótkim* pobycie w Iranie, gdzie widział wojska amerykańskie, *o mnie* zainteresowało, co sądzi o sojuszniczej armii, jakie są te wojska? *wał* Scharakteryzo *(u)* jednym słowem: - MANIKIRNYJE. - Wszy-

stko zrozumiałem, choć manikiur widziałem ostatni raz u siostry Broni. Inny opowiedział o forsowaniu Wisły, potem Odry, chwalcąc się przy okazji znajomością polskiego języka. Zdolny musi być, skoro tak szybko opanował nasz język, więc poprosiłem go, żeby coś powiedział po polsku. Zastanowił się, jakby dobierał słowa i w końcu wyrecytował: - Proszu pana. - I to wszystko? - zapytałem zdziwiony. - Nie, znam jeszcze coś. Pomyślał, po czym wykrztusił jednym tchem: - Panienska komm sziafen.

Żyję nie tylko pracą, czasem znajdę czas na kulturalną rozrywkę. Moje klientki również nie stronią od kultury. Z niektórymi zaprzyjaźniłem się; pójdę z jedną lub drugą do teatru obejrzeć sztukę, rozzerwać się. Wreszcie ^bzodczyłem I n t r y g ę i m i ł o ś ć Schillera, W i ś n i o w y s a d Czechowa, R e w i z o r a Gogola. Aktorzy genialni! W foyer, w czasie przerwy, przechadzamy się ruchem okrężnym w korowodzie, w rąku lody na patyku, tak jak wszyscy. Nadszedł czas "guliania", a o ziwrogim "progule" już dawno zapomniałem.

Szczególny zachwyty budzi amatorski zespół pieśni i tańca. Są to uczniowie lub absolwenci szkół zawodowych o nazwie FZO. Widziałem ich kilka lat temu w jakże innej scenerii. Przywieziono ich wtedy wynędzniałych z odległych miejscowości, w łachmanach, aby tutaj nauczyć zawodu w przemyśle hutniczym. Musieli bardzo szybko zastąpić dorosłych, zmobilizowanych na front. Mimo ciężkich czasów od początku byli porządnie ubrani, nosili mundury na wzór kolejarskich i - jak się zdaje - oszczędzono im niedostatku. Brakowało chłopcom tylko tytoniu, ale radzili sobie, zamieniając pajdę chleba na machorkę. Teraz oklaskujemy dorodnych chłopaków o niewątpliwym talencie aktorskim, wychowanków mistrzów z Moskwy i Leningradu. Niewyczerpane są ludzkie zasoby Związku Radzieckiego, młodego narybku

artystów z pewnością nie zabraknie.

Jak się bawić, to się bawić! Organizujemy również prywatki. Przy patefonie tańczymy jak zawsze walca, rzadziej tango i śpiewamy popularną tu pieśń Beethovena - "Zastolnaja". Na stole musi oczywiście znaleźć się coś do wypicia - Beethoven by się obraził. Są toasty: za Stalina, ^(za „pobiedu”) za "rodinu", są piosenki, także w wykonaniu solowym. Z jedną piosenką miałem poważny kłopot. Opowiem tę historię od początku.

Jakby magnitogorskiego dolce vita było za mało, zostałem zaproszony na przyjęcie w wybornym towarzystwie. Mój kolega Ajzenberg ma bogate klientki, z byle kim się nie zadaje. To dzięki niemu zostałem zaproszony do kierowniczkii sklepu, "specjalnego sklepu". Zwykły śmiertelnik w takim nie kupuje, nie ma wstępu. Gospodyni mieszka z synem, lokal nie gorszy od tego, jaki zajmuje naczelnik Małyj. Towarzystwo nie byle jakie: syn Sergiej - początkujący aktor - zaprosił kilku kolegów, gospodyni swoje znajome - magnitogorskie high life. Na stole gąsior wódki, przed każdym gościem szklaneczka o przepisowej pojemności - sto gram. Dla Sergieja wyjątek - specjalna szklanica. On ma swoje zasady: w towarzystwie pije tylko jeden raz. Raz a dobrze. Panie w średnim wieku mizdrzą się przed starym lustrem. Wkrótce zasiądziemy do stołu. Czuję się skrępowany, nie nabyłem jeszcze stosownej ogłady, brak mi właściwych manier. Dopiero po pierwszym toaście "za Stalina" - za którego trzeba przecież wypić do dna - atmosfera staje się swobodniejsza. Po drugim nie ma już tytułowania po "otczestwu", tylko zwyczajnie - Michaił lub z większym wdziękiem - Miszka, a partnerka z prawej nie nazywa się już więcej Serafina Michajłowna, lecz zdrobniale ^{-/} Szureczka. Gąsior już tylko do połowy napełniony, wszyscy śpiewają, a i mnie każą

śpiewać. Oczywiście po Polsku. Sięgam pamięcią do dawnych lat, lecz nic nie mogę sobie przypomnieć. Tyle lat nie śpiewałem, a po wypiciu jeszcze gorzej z jasnością umysłu. Nagle olśnienie - już pamiętam słowa i melodię, a nawet na jakiej zabawie to było. No tak - na prywatce w Tomaszowie, "za wodą". Nabrałem głębszego oddechu i rozpocząłem falsetem od słów:

Troski w kąt,

Niech uśmiech nam zawita...

Nie pozwolili dokończyć. Tumult, wrzawa, z czego zdążyłem wyłowić takie słowa: - Co on śpiewa?! O Trockim?! On już pięć lat leży w grobie, w Meksyku zasztyletowała go własna kochanica, czytaliśmy o tym w gazecie! - Rzeczywiście, o Trockim tak wtedy napisali; pamiętam nawet zakończenie: "Sobakie scbacza smiert'". Tłumaczę więc, że w tej piosence chodzi o troski, różne zmartwienia, na przykład takie, jakie miewał mój ojciec, gdy nie miał pracy, i tylko to miałem na myśli. Po prostu za dużo wypiełem, niewyraźnie śpiewam. Izwinitie! Do ucha doszedł jeszcze piskliwy głosik: - Gdzie trzeba, on dobrze będzie śpiewał. - Ale Sergieja chyba przekonałem, bo teatralnym gestem ucieszył towarzystwo i wyrecytował: - Nic^zewo nic^zewo, sliszkom mnogo wypieł.

Nie wymawiam więcej słowa "troski", unikam tego jak ognia. Stosuję zamienne określenia, żeby w żaden sposób nie skojarzyło się z tym trefnym nazwiskiem.

Następnego dnia po powrocie z wczasów udałem się do ZPP odszukać śladu brata lub jego żony. Dowiem się czy mają adres centrali w Moskwie, i napiszę list w tej sprawie. Z baraku wyszedł właśnie Szampaner, ten sam, który użyczył mi noclegu w Białymstoku. Na ramieniu, na długich sznurowadłach, dyndają białe futbolówki. Nie widziałem go od czasu jego przyjazdu do Magnitogorska.

- Sie masz, kopę lat! - Widzę, że zmieniłeś dyscyplinę sportu - przywitałem z fasonem kolegę z Tomaszowa.

- Zawsze byłem futbolistą, grałem na lewym skrzydle w ŻTGS, a tobie się zdawało, że uprawiam boks. Owszem, trochę trenowałem, ale mój lewy sierp, który wylądował na twojej szczęce, był amatorskim ciosem - dodał z uśmiechem. Spieszył się na trening, przytrzymał swoje futbolówki i odchodząc rzucił jakby od niechcenia: - W baraku rozmawiałem z Tomaszowiakiem, przyjechał Iser Buba.

Za chwilę zobaczyłem niskiego wzrostu człowieka w polskim wojskowym płaszczu, a poznałem go po zniekształconym nosie i w ogóle z twarzy niezgodnej z wymogami symetrii. W Tomaszowie nigdy z nim nie rozmawiałem, może dlatego, że uchodził za lumpa, jakich widywano przed knajpą Garbatego Jankła. Tu też mówił głośno, gestykulował, wreszcie oznajmił: - Będę się żenił, przyjechałem do rodziny. Ja zaś wyraziłem zdziwienie jakim cudem tu się znalazł, przecież nie wolno tak sobie jeździć po Związku Radzieckim; tym bardziej w wojskowym płaszczu obcego kroju bez dystynkcji. W odpowiedzi Iser Buba wyciągnął z kieszeni garść medali, chwając się tym, jaki on ważny. - Nie takie rzeczy się odstawia, gdybym ci opowiedział, byś nie uwierzył. I gdzieś w kącie wyluszczył, co "odstawiał".

- Wozimy słoninę do Niemiec, a stamtąd skórę i inne rzeczy.

- I co z tymi skórami robicie? - zapytałem z głupia frant.

- Jak to co? Wozimy do Tomaszowa.

- To byłeś w Tomaszowie?

- Oczywiście.

Nie miałem zaufania do Buby, tym bardziej po przechwałkach, ale zapytałem, co widział w Tomaszowie. Opowiada, że był tam dwa tygodnie temu, wspominał o wywózce Żydów i przygniotło kamieniem słowo - Treblinka. I nagle jakby mu się coś przypomniało:

- Wiesz, opowiadali mi w Tomaszowie o swoim bracie, mieszka teraz w Warszawie. Mówili też o nim - nie pamiętam kto - w 1 Dywizji.

Widzieli go w 1943 roku w "strojbacie" przy budowie linii kolejowej nad Wołgą. Marnie wtedy wyglądał, był "dochodząca".

- Nad Wołgą, mówisz? To by się zgadzało, pisał, że był w Stalingradzie w batalionie budowlanym. Czy na pewno żyje?

- Tak mówili w Tomaszowie, rozmawiali z nim na ementaryzu.

Nie miałem wątpliwości, że tym razem Iser Buba mówi prawdę; byłem mu wdzięczny za "dobrą nowinę", ale wciąż nie chciałem wierzyć, że nikt więcej z mojej rodziny nie ocalał. Bronia ma "dobry wygląd", jasne włosy i może ukryła się w Karolinowie? Siostrę Felę może ukrył Wacek Głowa? Wciąż łudzę się nadzieją: *może nie zginęli, może ich zobaczę; wciąż tli się ta iskierka nadziei.*

∫Któregoś dnia usłyszałem nie znane mi dotąd słowo - REPATRIACJA. Podobno już umowę podpisano z rządem radzieckim i wkrótce wrócimy do domu. Częściej zaglądam teraz do ZPP, żeby dowiedzieć się, co piszą w "Wolnej Polsce" i żeby nie przegapić rejestracji na wyjazd. *Ale* nie mam żadnego dokumentu stwierdzającego moje polskie obywatelstwo. I wtedy przypomniałem sobie o instytucie górniczo-hutniczym ^{(gdzie} w kancelarii

"Rabfaku" złożyłem kilka lat temu świadectwo ukończenia szkoły powszechnej. Udałem się tam, poszperali w segregatorze, poczym oświadczyli: - Wasz dokument znajduje się w NKWD. Hm, aż w tak ważnej instytucji? Dobrze znałem ten budynek, nawet piwnicę, i nieco podekscytowany, żeby nie powiedzieć inaczej - poszedłem odebrać cenny dokument. Też w piwnicy, ale w innym skrzydle szybko znaleźli moją teczkę i świadectwo oddali. Trzeba przyznać, że panuje tu porządek, wszystko ^{zgodnie} w właściwym miejscu. Przy rejestracji świadectwo okazało się zbędne, żadnego dokumentu ode mnie nie żądali. Zapisali "so słow".

A tymczasem... A tymczasem czekamy, kiedy będzie upragniony wyjazd. Niektórzy już nawet suchary szykują na drogę, bo i w kraju mogą się przydać. A informacje stamtąd są nader skąpe; pochodzą tylko od tych, którzy czytali "Wolną Polskę" i z tego wiemy, że nie jest najlepiej. Trwa walka ze zbrojnym podziemiem, wróg klasowy próbuje jątrzyć, zdarzają się napady na lokale PPR, giną ludzie. Niektórzy mówią o walkach z ukraińskimi nacjonalistami z UPA. Ale te wieści nie mają wpływu na decyzję powrotu, prawie wszyscy zapisali się do wyjazdu. Również Rosjanki, z którymi nasi zdążyli się już ożenić. Tylko niektórzy, jakby mieli opory, wahają się, czy warto wracać. Rodzina wymordowana, tu się już zasiedzieli, po co wracać na cmentarzysko? Nie wiem, czy ktoś pozostał, sądzą, że wszyscy wyjechali. Po prostu chcieli stąd się wydostać, skorzystać z okazji, której może już nie być. Inna rzecz, czy pozostaną w Polsce. Ajzenberg już zdecydował, on nie pozostanie, pojedzie jak najdalej od NKWD - za ocean. A to już jego sprawa. Tymczasem w ZPP odbyła się akademicka ku czci Rewolucji Październikowej. Przybyło jakieś trzydzieści osób, byłem i ja. Ktoś odczytał krótki referat o tym epokowym wydarzeniu, ale większa część poświęcona była Polsce, Polsce Ludowej

pod przewodnictwem PPR. Prelegent mówił o reformie rolnej, o upaństwowieniu podstawowych gałęzi przemysłu i banków. Wspominał też o walce klasowej. Potem były wiersze Tuwima, Broniewskiego, ← Szenwalda. Z książeczki czytała młoda brunetka. Oto fragment wiersza jaki wtedy słyszałem:

Hańba tym, co tłukli nas w ciemie,
A przy błysku ognia tyi podali!
Chcieli na Ukraińską ziemię,
Dziś są na perskiej - można i dalej!...

Brunetka przeczuciła kilka kartek, znalazła zakładkę i przeczytała następny wiersz poety - żołnierza z dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Zakończyła słowami:

Żołnierz swej matce-ziemi oddał krew czerwoną,
Przypadł do matki-ziemi pierśią wyszczerbioną.
Mężny bojownik przyjął śmierci pocałunek,
Spod kurtki wy dobyto skrwawiony meldunek.
Mieczysław Kalinowski poległ!

W ów dzień sławy

Padł - i wróciło jego serce do Warszawy.

Akademia dobiegła końca, wychodzę z Józkiem Kowadło do przystanku. Wiesz - powiada - wiersze Szenwalda czytałem, wydał je ZPP w Moskwie pod tytułem „Z ziemi gościnniej do Polski.”

Przestał pruszyć śnieżek, niezbyt zimno, a przed nami sznur tramwajów unieruchomionych przez jakąś awarię na trasie. Przeszliśmy wzdłuż torowiska obok nasypu z rdzawego tłucznia, gdzieś tylko pokrytego białą kaszą śniegu.

- Czy dla wszystkich ta ziemia była gościnniej? - wyraziłem wątpliwość. - Przecież dla tych, którzy ściinali drzewa w tajdze, a takich było bardzo dużo, to określenie nie wydaje się właściwe. O tej "gościnniej" ziemi opowiadali mi ludzie w Kirgizji, którzy wydostali się z łagrów.

Józek nie zgodził się ze mną. - Tych łagrów nie stworzyli tylko dla Polaków; Rosjanie też ścinali drzewa w tajdze. Tu w Magnitogorsku też nie jesteśmy gorzej traktowani niż obywatele radzieccy.

- A paragraf nr 38 w "pasporcie"? - zauważyłem przekornie.

- Wiesz dobrze, że nie tylko my mamy takie "pasporty"; koźhożnicy nie mają żadnych dowodów osobistych. Dyktatura proletariatu nie funkcjonuje w białych rękawiczkach; takie są wymogi polityczne w kraju budującym socjalizm w kapitalistycznym okrążeniu. Zresztą niektórzy z naszych mają normalne "pasporty". Owszem, zdarzają się pomyłki, ale to jest nieuniknione, zwłaszcza w tak ogromnym kraju. "Gdzie rąbią drwa, tam lecą wióry" - odparowałem, starając się rozwiać moje wątpliwości.

- W Polsce chyba będzie inaczej - powiedziałem pojednawczym tonem.

- Oczywiście, w Polsce są inne tradycje, nie mamy historycznych doświadczeń carskiego bezprawia i dlatego u nas będzie ustrój demokracji ludowej, nowa forma dyktatury proletariatu w niepodległym państwie.

Nadal pozostały wątpliwości i choć nie wyrwałem się jeszcze z ramion uwodzicielki, której na imię Wielka Idea, zapytałem: - Czy nie za wiele tych "wiórów"? - Józek odczekał chwilę, po czym odrzekł: - Rzeczywiście, za dużo niesprawiedliwości, za dużo niepotrzebnych ofiar.

Tramwaje wciąż stoją, idziemy więc dalej wzdłuż wysokiego muru okalającego kombinat. Syczą dmuchawy wielkich pieców, w ustach czuję słodkawy smak zaprawiony migdałami. Wydział chemii pracuje pełną parą, tak jak inne wydziały o produkcji ciągłej; dla nich nie ma święta. Przystanęliśmy na chwilę blisko grupy robotników usiłujących przesunąć ciężką szynę na to-

rowisku. Zdziwiłem się, że nie słychać komendy: "Raz, dwa wzięli! Jeszcze wzięli!". Kiedy podeszliśmy całkiem blisko, zobaczyłem w świetle księżycy grupę Niemców. To byli jeńcy; oni właśnie usuwali awarię. Chwilę popatrzyliśmy na nich i Józek tak to skomentował:

- Mieli dojść do Uralu, nawet przekroczyli rzekę, są w Magnitogorsku, tyle tylko, że w charakterze jeńców. Stalin miał rację budując ciężki przesił na Uralem, bez tego hitlerowcy byłiby tu w innym charakterze. Stalin słusznie postąpił zwalczając przeciwników politycznych, tych, którzy chcieli Rosji perkalikowej. A do tego właśnie zmierzał Bucharin - czytałem ← o tym w K r ó t k i m k u r s i e . - Przyznałem mu rację; perkalikami nie można wojować, potrzebna stał i przyjaźnie pożegnałem Józka. Szybko przeskoczył torowisko, pustą asfaltową zrosę i zniknął między rzędami baraków.

Szyny połyskują w świetle jasnego sierpa, który znowu wychylił się zza chmur. Niemcy widocznie nie uporali się jeszcze z usunięciem awarii, skoro nic nie jedzie i w końcu pieszo dotarłem do baraku. Kolegom opowiedziałem o moim odkryciu na torach tramwajowych, ale nie byli tym zaskoczeni. Okazuje się, że od wielu miesięcy Niemcy są w Magnitogorsku, tylko po drugiej stronie Uralu. Tam mieszkają w barakach, które sami zbudowali, nad samą rzeką. Każdy barak równiutko obłożyli kamykami, pobielili wapnem, wszędzie panuje porządek i czystość. "Ordnung muss sein". Do pracy mają blisko, obok budują żelazobetonowy most, przedłużą linię tramwajową i tam powstanie nowy Magnitogorsk. Nawet stąd już widać, jak rosną nowe bloki mieszkalne. - Ale co to nas obchodzi, my przecież wyjeżdżamy - zauważył jeden z kolegów.

Czy nie powinni od samego początku tam zbudować miasta, z dala od dudnienia i dymu? Widocznie na początku lat trzydziestych były inne priorytety. A człowiek? Człowiek musi poczekać w cieniu molocho kombinatu. Poczeka i przywyknie. A jeżeli nie?... Nie przywykniesz tak zdochniesz - mówili w Magnitogorsku.

W szóstą rocznicę przyjazdu do Magnitogorska Izaak triumfalnym gestem położył przede mną na stole jakże ważny dokument. Był to arkusz papieru podobny do mojego świadectwa ze szkoły, ale środkiem perforowany i koloru niebieskiego. Obie strony wypełnione były drukiem i odręcznym pismem w języku polskim i rosyjskim; prawa strona opatrzona okrągłą pieczęcią z orłem, a lewa - sierpem i młotem. Rzuciłem okiem na nagłówek: "POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA DO SPRAW EWAKUACJI osób narodowości polskiej i żydowskiej na podstawie umowy z dnia 5 lipca 1945 r." - Wczoraj odebrałem z ZPP - dorzucił triumfalnym głosem chowając papier niczym talizman.

A więc wracamy. Nareszcie! Ponad pół roku o tym mówiono, ale dopiero teraz mamy pewność, że pojedziemy. Zdziwiłem się jednak, dlaczego ta umowa różnicuje polskich obywateli według narodowości. Czy Miller z Gretą albo Poliszczuk nie mają prawa wrócić do domu? Kiedy wyraziłem te wątpliwości, Izaak z miejsca mnie zgasił: - Ty ciągle chcesz cały świat uszczęśliwić - i krzywo na mnie spojrział.

Zaraz po pracy przebiegłem asfaltową szosę, potem tory tramwajowe i już byłem w baraku ZPP. Tłok, ale dotarłem do

biurka, przy którym urzędowali wojskowi, a także nasz przedstawiciel. Przejrzeli spisy i oświadczyli, że nie ma mnie na liście do pierwszego transportu, pojedę drugim, a po dokument mam się zgłosić za miesiąc. Taki sam pech, jak w Białymstoku sześć lat temu, ale tym razem nie ma mowy, żeby bez niczego wsiąść do wagonu. Tu panuje wzorowy porządek; nie tylko dają dokument, ale również numerki z przydzielonym miejscem w wagonie. Przykro mi, lecz nic nie zmienię. Okazało się, że od nas z "Atelie Mod" jeszcze dwóch teraz nie pojedzie, reszta już wykańcza robotę, wkrótce zwolnią z pracy, a my zostaniemy jeszcze cały miesiąc.

Podobno za kilka dni mają podstawić wagony z piecykami i odjazd, a Izaak już kombinuje, jak uruchomić swoje znajomości, aby w jego wagonie wycięli dziurę w podłodze. Zamierza tym razem podróżować w komforcie, z ubikacją na miejscu. Zapobiegliwy jest mój kolega. A w ogóle to nie mam szczęścia do przyjaciół.

Miesiąc temu poznałem dziewczynę, którą widywałem z jej siostrą, kiedy mieszkały jeszcze w Chimlaboratorium. Po przeprowadzce straciłem z nią kontakt, a później czasy były nie do dziewcząt. Teraz co innego, a i perspektywa rychłego wyjazdu też skłania do snucia planów we dwoje. Krótko to trwało, ale zdążyliśmy dwa razy odwiedzić mego przyjaciela Ajzenberga. To wystarczyło, aby wkrótce sama do niego trafiła i razem z nim zamieszkała. Widać spieszą jej było do zamążpójścia, a perspektywa wyjazdu za ocean też nie była bez znaczenia. Może się mylę, bo kto dojdzie, czym kierują się dziewczyny. Tak czy inaczej - tym razem przebolelałem; nie byłem w niej zakochany.

Przedtem kilka razy odwiedziłem ją w domu, gdzie mieszkała

z zamężną siostrą. A szwagier był dowcipny. Kiedy przesuwiał lub podnosił coś ciężkiego zawsze mawiał: - Stalin, pomagi. - Raz zapytałem: - Dlaczego akurat Stalin? - A... - pokiwał głową. - Musisz moją żonę poprosić, ona ci opowie, skąd to pochodzi. - Nie od razu, ale w końcu opowiedziała śmiejąc się do rozpuku.

- W zeszłym roku, kiedy urodziłam córeczkę w "rodilnom domu", a tam porody bywają różne, najgłośniej krzyczały pierwóródki i te właśnie wołały na cały głos: - Stalin pomagi! Czasem Lenin pomagi! Ale najczęściej pomógł Stalin. Oczywiście nie wszystkie krzyczą na tę samą nutę, niektóre w ogóle nie krzyczą. Przeważnie są to kobiety, które nazywają Mat' Geroini, ale nie dlatego, że nie wołają o pomoc. To zupełnie inna sprawa. Była jedna z medalem i z tym zaszczytnym tytułem jeszcze przed porodem, bo liczy się co innego. Nie wiesz? To ja ci powiem: liczba urodzonych dzieci. - Wyraziłem zdziwienie: - Bohaterki, medale?... - Jak nie wierzysz, zajrzyj do gazety; każdego dnia eksponują fotografie Mat' Geroini z medalem na piersi - użyła przekonującego argumentu.

- Tak, wiem o tym, lecz nie przypuszczałem, że Stalin pomaga w porodzie - i mrugnąłem jednym okiem. Ze wszystkiego można się uśmieć, ale - mój Boże - do czego to doszło!...

Z "Atelie" wyjechało już siedmiu, a nasza kierowniczka widocznie sądzi, że może się rozmyśleć i pozostaną, więc pół żartem zagaiła: - Ostanties', najdu niewiestu i budet wam choroszo - ale już na serio wręcza talon na uszycie cennego garnituru. Pięknie dziękuję, od przybytku głowa nie boli. Talon potraktowałem jako kolejną premię. Wiktor Wasiliewicz stał obok i tak powiada: - Jewdokio Iwanowna, skolko wożka nie karmit' on w les tianiet' /wilka ciągnie do lasu/. - Nasz krojczy jest realistą, wie, jak się rzeczy mają. Sądzę, że oboje

wiedzą, że mnie tu nic nie zatrzyma, może nawet zazdroszczą wyjazdu za granicę. Byli serdeczni i nie tylko oni; wielu Rosjan mile wspominam.

A tymczasem dni dłużą się jak lata; niemal codziennie zaglądam do ZPP, aby dowiedzieć się, czy nie szykują drugiego transportu. Długo czekałem, nim wreszcie i mnie wręczono upragniony niebieski papier z perforacją pośrodku.

A jak nasza kierowniczka poradziła sobie bez polskich krawców? Przecież sam Wiktor Wasiliewicz z trójką staruszków wiele nie zwojuje. Poradziła sobie; przy tak ważnej klienteli można wiele załatwić - NKWD jest wszechmocne. Miesiąc przed moim wyjazdem byli już wysokiej klasy krawcy z krajów nadbałtyckich. Nie przyjechali oczywiście z własnej woli; ze łzami w oczach pokazywali fotografie swoich dzieci i rodziny na tle własnego domku z ogródkiem.

17 marca 1946 roku przy tęgim mrozie, w znanym mi wagonie z piecykiem, drugi raz pożegnałem wielkie piece Magnitogorska. Tak jak przed podróżą do Tokmaku znowu miałem ze sobą suchary, ale tym razem nie było przygód. A kiedy ruszyły wagony, przypomniała mi się nasza kuźniczka z budowy, która z żalem przecie tak powiedziała: - Bolsze swojej Warszawy nie uwidzisz. Na szczęście pomyliła się i w radosnym nastroju zanuciłem dobrze znaną piosenkę. Tym razem z ulgą, że nie muszę pozostać w kraju,

Gdzie tak wolno dyszt człowiek...

El male rachamin

Wałbrzych przywitał nas pięknym wiosennym dniem, płynącym z jasnego nieba. Wiosna. Nareszcie wróciłem do kraju. I nie myślę wcale, gdzie uratowałem życie i gdzie się rozwiała młodościowa iluzja. Rażno wyskakuję z wagonu wlokąc swój garnitur, palto z karakułowym kołnierzem i worek z resztą sucharów. Tu nikt nas nie wita, jak tyle lat temu na dworcu w Magnitogorsku, ale widać ludzi z białą opaską z napisem PUR. Oni widocznie zaopiekują się repatriantami. Przystanąłem, rozglądając się wokół. Obok mnie sąsiad z wagonu i jego żona, która nagle powiedziała: - No, teraz możemy się już przyznać, że nigdy nie byliśmy w Polsce; moja matka pochodzi z Wilna. - A dokumenty skąd mieliście? - Jak to skąd, też pytanie? Kupiliśmy - skwitowała krótko po żydowsku z litwackim akcentem. Odważni ludzie, zdeterminowani, ale moje zdziwienie przyćmiło co innego.

Na peronie kilku młodych mężczyzn przygląda się wysiadającym z wagonów, a jeden z nich tak się odezwał: - Popatrzcie, ilu ich się uchowało! - Drugi zaś dodał: - Za każdy wagon węgla przysyłają nam wagon Żydów. - Jakby mnie kto pałką zdzielił po głowie! Musiałem więc jeszcze raz przełknąć gorzką pigułkę, a także zastanowić się nad zaczarowanym kołem, którego nie sposób przekroczyć. Kim są ci ludzie? Nie *wyglądają na partyzantów, o których*

opowiadali na stacjach po przekroczeniu granicy. A może właśnie oni wyciągają z pociągów funkcjonariuszy UB, członków PPR, a także Żydów? Ale dlaczego nas dołączyli do wrogów niepodległej Polski? *Wkrótce* o tym zapomniałem, zobaczywszy pulsujące życiem

miasto. Prawdziwe miasto z ulicami, sklepami i ludźmi porządnie ubranymi. Już od roku wrócił do nas Ziemię Odzyskaną, stąd ewakuują Niemców; Polacy tu się osiedlają. Na dworzec, środkiem jezdnii, rodziny niemieckie ciągną wózki ze swym dobytkiem, a do ich mieszkań wprowadzają się repatrianci. Do takiego mieszkania trafiłem z grupą z naszego wagonu. W kilku pokojach ^{się} jeszcze gospodyni, przesadnie uprzejma, usłużna, proponuje herbatę i ciągle wyciera szmatką meble na wysoki połysk.

Następnego dnia o świcie pojechałem do Warszawy odszukać brata. Pociąg przepełniony, a kto nie znajdzie miejsca, nie pogardzi też dachem. Przy każdym toboły, walizy. Szturmem - tak jak inni, wcisnąłem się do wagonu i już jadę. W tym wagonie w ciągu kilku godzin poznałem swoiste "oblicze dnia". Szybko zorientowałem się, co znaczy słowo "szaber" i dlaczego taki tłok w pociągu. Opowiadają, że za bezcen skupują od Niemców - a najlepiej za słoninę - różne rzeczy, w tym również te grabowane przez nich z miast i miasteczek całej Polski. Ponoc dobry interes ten szaber; w Warszawie na bazarze Różyckiego wszystko idzie jak woda. W ciągu jednego dnia można wszystko upchnąć i następnego w drogę po nowy szaber.

Nie cały czas i nie wszyscy mówią o interesach, ktoś wyciągnął ćwiartkę, pociągnęli, a jeden zarymował:

Jeszcze jedna atomowa

I wracamy już do Lwowa.

Potem ktoś zaśpiewał rytmiczną piosenkę o sercu w plecaku, z którym pomaszerował dalej, a z drugiego końca wagonu dochodzą smętne głosy o czerwonych makach spod Monte Cassino, co z polskiej rosły krwi. Pierwszy raz słyszę o Monte Cassino, o Powstaniu Warszawskim, w którym zginęło dwieście tysięcy Polaków,

bo "Ruskie zatrzymali się na Pradze i nie dali pomocy".

Warszawa-Główna-Towarowa. W poczekalni dostałem bezpłatnie zawieszistą zupę, na odwrocie połówki mojego dokumentu odnotowano, że wydano mi obiad, Datu, obok nr 496 i przybito pieczętkę: PAŃSTWOWY URZĄD REPATRIACYJNY. PUNKT ETAPOWY W WARSZAWIE. Od tej chwili poczułem się warszawiakiem. Poszedłem Alejami Jerozolimskimi w stronę Marszałkowskiej. Na ulicy zwykły ruch: przed hotelem Polonia, naprzeciwko stalowych rikutów dworca — panowie w samodziąłowych marynarkach skupują ruble, marki, dolary. Wąskie, nieco przykrótkie spodnie odsłaniają żółte skarpetki w poprzeczne czarne paski przypominające zebry, a pantofle na podszwach, jak ze słoniny z amerykańskich zapasów.

Na rogu Marszałkowskiej w tym miejscu, gdzie dziś stoi hotel Forum — kiosk z kwiatami. Przed tym kioskiem dama, co się zowie. Blondyna z długimi lokami "prosto od fryzjera", i to nie byle jakiego. Tak pięknych kwiatów i tak pięknej, eleganckiej damy dawno już nie widziałem.

Podjeżdża ciężarówka. Z szoferki wyskakuje chłopak, obwiera klapę, wysypują się pasażerowie, a na ich miejsce wsiadają inni. — NA PRAGIE, NA PRAGIE! JESZCZE DWIE DAMY I JUŻ ODJEŻDŻAMY! — przynagła długonogi kierowca i inkasent w jednej osobie. Wszyscy się śpieszą, jakby chcieli nadrobić utracony czas okupacji. Zatrzymuję jednego, drugiego, pytam gdzie jest biuro adresowe. Nikt nie wie. Dopiero jakiś mężczyzna o szpakowatych włosach przystanął, dłuższą chwilę mi się przyjrzał i zapytał: — A kogo pan szukasz? — Brata. — To ja panu coś doradzę. Pójdzie pan, o tam — wskazuje ręką na północ — i zapyta o Teatr Polski na Kopernika. Tam

odbędzie się wieczorem akademii w trzecią rocznicę wybuchu powstania w getcie i tam możesz pan spotkać brata. - Nie wiedziałem, że w warszawskim getcie wybuchło powstanie. Czy to prawda?.. Nieznajomy widocznie poznał mój rosyjski akcent, skoro powiedział: - Widziałem to piekło, dobrze, że pana tu nie było.

Czasu sporo, więc niespieszno poszedłem ulicami z odgarniętym gruzem, wąwozem wypalonych domów, wzdłuż wielkiego jak morze rumowiska, wśród którego wspina się ku niebu strzelista wieża kościoła z czerwonej cegły. Jeszcze rumowisko, jeszcze wypalone resztki domów i na niewielkim placu Mikołaj Kopernik spogląda z cokołu w stronę ruin Starego Miasta. Blisko stąd narożny budynek teatru. Akademia już trwa, półmrok, nokoło straszą oczodoły ścian szkieletów, na parterze zabite deskami lub zamurwane cegłą. Zapaliły się latarnie przed wejściem; po jakimś czasie wyszli ludzie - usłyszałem, że idzie Mikołajczyk - wicepremier. Tęgawy, łysy pan energicznie podszedł do samochodu, wsiadł i odjechał. Stoję, bacznie przyglądając się wychodzącym. Nie widzę Heńka, czyżby nie przyszedł? Dopiero w jednym z ostatnich poznałem brata. Padliśmy sobie w objęcia. Przegadaliśmy do późna w noc. On już od zeszłego roku zna okrutną prawdę i ostatecznie pozbawił mnie złudzeń odnalezienia kogokolwiek z najbliższych. Mimo to już nazajutrz byłem w Tomaszowie.

Pierwszą osobą, z którą rozmawiałem w Tomaszowie, był ^{Zyd} Niemietz. A spotkałem tego człowieka na ulicy Gustownej przy fabryce Landsberga po półgodzinnej wędrówce z dworca do centrum. Twarz wydawała mi się znajoma. Tak, to ta sama twarz, którą dawno temu widywałem przez szybę wystawy na ul. Św. antoniego. Wtedy pochylona była nad małym werkiem wśród

wielkich, meblowych zegarów. Nie byłem jednak pewien, nie był moim kolegą, więc chcąc się upewnić zapytałem:

- Przepraszam, czy pan nazywa się Niemietz?

- Tak, to ja, Motel Niemietz. ^{- odpowiedział.} A pana to ja też poznaję, mieszkał pan wtedy przy ulicy Żwirki; chodziłem tamtędy na mecz. - I od razu usłyszałem stereotypowe teraz pytanie: - Jak pan przeżył?

- W Związku Radzieckim.

- Miałeś pan szczęście!

- A pan jak się uratował?

- Ja, ja, zegarek mnie uratował - odrzekł niechętnie.

Popatrzyłem z niedowierzaniem na Motla i pomyślałem: - Jak to? Czy zegarek mógł wtedy uratować człowieka? Już się znamy i wolno ruszyliśmy w stronę rynku. Motel przyjrzał mi się jeszcze raz, powiedział, że wcale się nie zmieniłem, i powtórzył:

- Właśnie zegarek nie uwierzysz pan, - a po dłuższej pauzie dodał: - Żeby chociaż schaffhausen lub omega, ale to była cyma, zwykła cyma - zadrwił ze szczyptą ironicznego humoru. - Chcesz pan posłuchać, to opowiem. Tędy, tą ulicą szedłem w długiej kolumnie przeznaczony do gazu. Wiedziałem o tym. Kolumnę prowadzili spod kościółka przy ulicy Wieczność i dalej przez most na Rolandówce, tą drogą na dworzec. Wielu taszczyło ze sobą tobołki, chociaż wiadomo było, że nie będą już potrzebne; ja nie miałem złudzeń, że to nasza ostatnia droga. Na bocznicę stały towarowe wagony, nackoło esesmani z bronią gotową do strzału, psy na smyczy. Wchodziliśmy do wagonów upychani kolbami wśród lamentu i płaczu zagubionych dzieci. Niektórzy się ciągali i tych zastrzelili na miejscu. Przy torach pietrzyły się stosy odebranych rzeczy, obok zabici ludzie. Wolałem tu zginąć niż

zadusić się w wysypanym wapnem wagonie, ale spojrzałem na rodziców, na siostrzyczkę i wszedłem do środka. Już słysząc, jak ryglują drzwi, esesmani biegną wzdłuż wagonów jak wściekłe bestie. Tylko przed naszym stał oficer, co i raz spoglądając na zegarek. Wie pan kto to był? - zapytał Motel i sam odpowiedział: - To był Hübsch, wielka fisza w tomaszowskim Gestapo; chyba pan go znałeś, on przecież mieszkał u was w domu. Ten Hübsch patrzy na zegarek, przykłada do ucha, potrząsa ręką, jeszcze raz do ucha i nagle spojrzał w otwór nie zaryglowanych jeszcze drzwi. Popatrzył na mnie i krzyknął: - Komm hier, aber schnell! Będziesz mi potrzebny. - I tak się uratowałem. Ale nieraz jeszcze śmierć zaglądała mi w oczy - i pokazując tatuaż na ręku dodał na zakończenie: - Oświęcim.

Nie słyszałem o numerowaniu ludzi i nic nie wiedziałem o Oświęcimiu. Domyślałem się tylko, że to coś w rodzaju Treblinka. Gdy skończył mogłem dopiero zadać najważniejsze pytanie:

- Czy pan nie widział moich rodziców i sióstr?

- Nie, nie widziałem - ^{odrzekł,} machnął ręką, co mogło oznaczać tylko najgorsze. Nim Motel wszedł do jakiejś bramy, usłyszałem jeszcze ^{raz:} - Miałeś pan szczęście!

Ulica Polna, ulica mojego dzieciństwa. Martwa cisza, inni ludzie, nowe twarze, obce spojrzenia. Przede mną ten sam domek, do którego tak niechętnie chodziłem, do cneđeru ^{magla-} rza. Domek jakby mniejszy, głębiej zapadł się w ziemię, okienka umieszczone niżej i tak jak niegdyś zaglądam do środka. Mieszkają ludzie, nie ma magła, a przecież dopiero wczoraj dzieci ^{uczyły się tu} ^{modlitw} ^{czytania Tory.}

Po drugiej stronie ulicy kamienica pana Gostyńskiego-też zmalaza. Tylko schodki do piekarza tak samo połyskują jasnym granitem. A podwórko całkiem zmalazało: studnia ta sama, wycho-

dek ten sam, ale miejsca do zabaw wcale. A może ja wyrosłem i tak mi się tylko wydaje? W bramie kundel podwinął ogon i wystraszony wyleciał na ulicę. Gdzie mu do Rexa naszej gospodyni, Rex nikogo się nie bał. I wreszcie mój dom na rogu Żwirki i Wigury, gdzie przystanęła dorożka ostatniego dnia października, kiedy było ostatecznie spojrzenie mamy i ostateczne słowo ojca. Popatrzyłem na trzy okna na parterze, na doniczki z pelargoniami rozkwitającymi czerwonymi pratkami i serce podskoczyło do gardła. Przecież to ulubione kwiaty mojej mamy!... Kilkanaście krózków dalej, przy ulicy Cichej - niewielki drewniany dom państwa Weneckich. Tu już było getto; o tym domu pisała Fela w liście do Magnitogorska. Teraz druciana siatka i furtka ze sztachetek oddziela ogródek przed tym domem. Rozwieszona na sznurkach bielizna, świeżo skopane grządki, dzieci biegnące wokół klombu. Nie miałem odwagi pchnąć furtki, wejść do środka i zapytać o najbliższych. A przecież z tego miejsca wyruszyli przez tomaszowski Umschlagplatz przy ulicy Wieczność w drogę ku wieczności. Pochyliłem głowę...

A w parku niewiele się zmieniło. Tak jak dawniej o tej porze krzewy forsycji obsypane są jasnożółtym kwieciem, gdzieś tam rosną nieco ciemniejsze kwiatki, a napęczniałe pęki bzu już barwią się zielenią. Każdej wiosny tak było, tylko lipy są teraz większe - urosły. Krążę alejkami po białym żwirze i znalazłem się naprzeciwko ewangelickiego kościoła, obok którego stoi dom z takiej ^{! samej} czerwonej cegły. W tym domu mieszkał pastor Maj. Zamierzam przejść na drugą stronę ulicy i popatrzeć przez kraty ogrodzenia. Czy są jeszcze pawie? Czy są jeszcze perliczki?

Nagle tuż za parkanem zobaczyłem Wacka Głowę. Rzuciliśmy się sobie w objęcia i weszliśmy do narożnego budynku, do jego mieszkania. ^{Co za} radość ze spotkania po tylu latach!

- Wiesz, kto tu mieszkał? - zapytał Wacek otwierając drzwi.

- Nie, nie pamiętam.

- Ja też nie pamiętam, bo to stare dzieje, ale mówili mi, że w tym mieszkaniu przyjmował pacjentów doktor Rode - wyjaśnił nie bez dumy. Wciąż pamiętam Wacka, kiedy terminował u mego ojca, jak przed Świętami Wielkanocnymi śmiertelnie przerażony wrzucił do pokoju żywego indyka. Teraz nie ten sam Wacek: utył, żona, troje dzieci.

Wypiliśmy po kieliszku, zapytał o Heńka, wspomnieliśmy Białystok, opowiedziałem o moim wyjeździe do Magnitogorska. Ale o jego majstrze, o moich rodzicach i siostrach dotąd ani słowa. Zapewne o tym samym myślimy, lecz coś nas wstrzymuje, zwlekamy, jak przed dotknięciem jęczącej rany.

- A pamiętasz Romana Duchowskiego? Przyjechał z Rosji i został w Tomaszowie pierwszym sekretarzem. Przed wojną też był sekretarzem, my się dobrze znamy - uzupełnił Wacek.

- A ty gdzie byłeś w czasie okupacji?

- W Smardzewicach. - J jakby nyczuł, że dotykam obolałego miejsca, bo od razu dodał: - Nie było mowy, żeby w Smardzewicach kogoś ukryć. A w Korolinowie tak samo nie było żadnej możliwości.

Słyszałem od Janka Króla, że Wojtaszkowa widziała Bronię, jak pod konwojem szła do Józefowa, do farbiarni Schultza, i więcej nikt jej nie widział:

- Ale ona była przecież blondynką - próbowałem znaleźć jakąś możliwość.

- Cóż z tego! Bywała przed wojną w Karolinowie, miała wieś i wszyscy ją tam widzieli. Zawsze znajdź się wyrzutek, który doniesie albo z głupoty komuś powie. W piotrkowskim podobno niektórzy ukrywali całe rodziny żydowskie, mimo... - i tu Wacek pociągnął palcem po szyi. Rozmowa się urwała. Wychylił jeszcze pozostałą w kieliszku wódkę i pożegnaliśmy się.

Przed domem na rogu ulicy Jerozolimskiej i Św. Antoniego spotkałem kilku znajomych. Znalazłem się wśród ocalałych przed zagładą, wśród tych, którzy byli w obczach, i takich jak ja - w Związku Radzieckim. Przywitałem się z Tenenbaumem - "paryskim krawcem", Talmanem, podszedł Freyman w wojskowym płaszczu.

- Byłeś chyba w Związku Radzieckim? - zapytałem Freymana.

- Tak, byłem.

- A widzisz; dzięki temu żyjesz, a zawsze psioczyłeś na Kraj Rad.

- Dzięki nim? Przeciwnie! Oni chcieli mnie zgnoić w łagrze, a ja się nie dałem i to moja zasługa - odparował z satysfakcją.

Podszedł Kantorowicz, też w wojskowym płaszcu, od którego się dowiedziałem, że odpalał pociski na Wale Pomorskim, a po powrocie zorganizował spółdzielnię stolarską. Zdziwiłem się, że nie podał ręki Talmanowi i nie zamienił z nim ani słowa.

W tym domu, przed którym stoimy, mieści się Komitet Żydowski, a na pierwszym piętrze przyjmuje pacjentów w swym dawnym mieszkaniu doktor Warszawski. Wrócił z Rosjanka. A jego syn, ten sam, który powiedział do mnie w Białymstoku, że nie będzie budował stalinowskich piatiletok, wtedy wrócił do Tomaszowa i zginął.

Przewodniczący Komitetu Żydowskiego - mój dawny nauczyciel śpiewu i religii, pan Meldung - proponuje gazetę w języku polskim i żydowskim. Ktoś przywiózł z Monachium, a wydali ją tomaszowiacy; ci sami, którzy niegdyś zajmowali się dziennikarstwem. Biorę do ręki i długo wodzę wzrokien po spisie ocalałych. Znalazłem tylko jedno nazwisko z mojej rodziny: Kenigsztein - mąż siostry Feli. Gazeta ilustrowana, a jedna fotografia przedstawia grupę tragarzy przed murem na ulicy Polnej. Pod fotografią napis: "Były kiedyś czasy"...

W Komitecie rozmawiają o zniszczonym omentarzu, o macewach rozwleczonych w różnych miejscach miasta, o zamiarze postawienia pomnika nad symbolicznym grobem piętnastu tysięcy Żydów wywiezionych do Treblinki. Obok tego pomnika ma stanąć macewa nad istniejącym grobem kryjącym szczątki zamordowanych lekarzy w czasie tzw. akcji purymowej. Osiem miesięcy później hitlerowski Haman dokonał swego dzieła - triumfował. Nie było biblijnej Esterki.

Wychodzę z moim dawnym znajomym, Matanem Rubinem, a on ma wiele do opowiedzenia. Był jednym z około sześciuset ocalonych po wywiezieniu z getta do obozu w miejscowości Bliżyn

koło Skarżyska. Opowiadanie zaczął od końca i zupełnie nieoczekiwanie od pytania:

- Pamiętasz, kto był najlepszym szewcem w Tomaszowie?

- Machłbański.

- Zgadza się; to właśnie z nim wyszedłem z Buchenwaldu, przedtem przemierzywszy drogę Śmierci z Oświęcimia do tego obozu. A w Oświęcimiu, wiesz, kto był kapo?

- Nie.

- Szafmanek. Przywieźli go dużo wcześniej z Francji, dokąd wyjechał przed samą wojną. Ale go poznałem, był moim krawcym, sąsiadem z Bóźnicznej, i poprosiłem o trochę zupy. A Szafmanek wskazał ręką na komin i powiedział do mnie: "O, tym kominem polecisz do nieba". Jak widzisz, nie poleciałem. A we Francji Szafmanka posadzili - odsiedzi parę lat.

Natan wyjął paczkę papierosów "Wolność", zapalił i stanęliśmy przed na wpół zburzonym domem.

- Wiesz, co było w tej kamienicy?

- Nie.

- Tu był burdel starej Majznerki - zauważył mimochodem. - A teraz opowiem ci, jak było w obozie Bliżyn. Maie nie najgorzej.

- I Natan znowu zaczął od końca: - Wartownikami byli własowcy, już czuli, że zbliża się ich koniec, i jeden tak do mnie powiedział: - "Kobyby mi baćko pobaczył na tyj służbie szkuru by z mene zdar". Ukraińców można było przekupić, przyrykali oko, gdy szedł handel przez druty. Miejscowi zarobili, ale nam pomogli; przerzucali chleb, czasem nawet butelkę wódki. Nie powiem, uczciwy szedł handel. Raz przerzuciłem buty, ale następnego dnia przynieśli je z powrotem - nie mogli sprzedać

starych kamaszy. Jedna nazywała się Wójcikowa, ta była obrotna. Pojechała do Skarżyska i całą pakę lekarstw przerzuciła. Ale trzeba było uważać, bo jak zmieniała się wacha, czasem strzelali. Mieliśmy swoje ostrzegawcze hasło, krótkie i dźwięczne, znane po obu stronach drutów: "ZEK", i wtedy wszyscy czmychali. Uczciwi byli, choć raz się zdarzyło, że ktoś rzucił obrączkę i nic nie przynieśli. Z wyjątkiem tego przypadku byli porządni i muszę tam pojechać, aby tym ludziom podziękować. A ja mogłem uciec, bo często woziłem deski do obozu. Dogadałem się z miejscowymi ^(w) tartaku, że jak przyniosę pistolet, to wezmą mnie do partyzantki. Zacząłem rozglądać się za zdobyciem broni, ale jeden i-co ciekawe-jeden z nich uprzedził mnie, że zabiorą i zabiją. Dałem spokój. Nie słyszałem, żeby ktoś uciekł z tego obozu. Jeden tylko wydostał się przez wykop przez drogę, ale wartownik go zastrzelił. W obozie byli nie tylko tomaszowiacy. Kilka tysięcy rzemieślników robiło mundury i buty dla Wehrmachtu. Wielu zmarło na tyfus. A matkom zabrali dzieci; wywieźli je aż za Kielce, do kamieniołomów, i tam rozstrzelali. Zmarłych chowaliśmy sami w lesie, blisko zbiorowej mogiły wielu tysięcy jeńców radzieckich. Rozstrzelano ich przed naszym przyjazdem, aby "zrobić miejsce" dla nas.

Okrążyliśmy rynek, przeszliśmy ulice: Handlową, Kramarską, Zgorzelicką, i stanęliśmy przed murem, za którym stał drewniany kościółek. Obok bramy z krat Natan zaczął opowiadać, jak było w czasie selekcji przed wysyłką do Treblinki - 1 listopada 1942 roku.

- Ci, którzy mieli pieczętkę w Ausweisie, ^(szl.) na lewo - bez pieczętki na prawo. Jeden z żydowskich policjantów usiłował przemycić swoją matkę na lewą stronę, ale Niemiec zauważył;

zabrał mu czapkę z czerwonym otokiem i już był taki sam jak inni. Stracił swoją "władzę", przeszedł na prawą stronę i pojechał razem z matką. Już następnego dnia sortowaliśmy rzeczy odebrane wywiezionym do Treblinki. Paki z odzieżą woziliśmy na ten sam dworzec. - Natan nagle stracił ochotę do opowiadania; szedł w milczeniu z opuszczoną głową i tylko raz się odezwał; - Talman też był policjantem, ale nie takim gorliwym, jak niektórzy. - Zrozumiałem, dlaczego Kantorowicz nie podał ręki Talmanowi.

Słońce już zachodzi. Jeszcze raz rzuciłem wzrokiem na zburzone budynki getta, na niegdyś gwarne ulice i pożegnałem Natana. A on powiedział jeszcze: - Wracam do Meldunga, być może uzbiera się minjan /dziesięciu mężczyzn/, aby odprawić modły. Niedługo przecież nastanie szabas. Szabas na gruzach - doleciały ledwo uchwytnie słowa. Natana już nie było. Może to był mój głos?... Już zapadał zmierzch, gdy znowu znalazłem się przed moim domem, przed na oścież otwartym oknem. Oczy szukają blasku lichtarzy, ale niczego nie widzą.

Wolno idę w kierunku dworca i dopiero za mostem na Wolbórcie zauważyłem tomaszowskie niebo; przybrało granatowy odcień. O tej porze powinna być widoczna pierwsza gwiazda - pomyślałem szukając świecącego punktu. A kiedy znalazłem się przy ulicy Smutnej, gwiazda nieśmiało zamigotała. Przystanąłem przed rozwalonym parkanem ze starych cegieł, przed stosem zwiezionych nagrobków, przed tym, co kiedyś nazywali "dobrym miejscem". Gdzieś z boku w jakimś domku zajaśniał jeden kwadrat i spod przymkniętych powiek popłynęły łzy. W tym kwadracie zobaczyłem mamę w czarnym szalu z koronki przykrywającym ramiona; unosi ręce w stronę świece, usta szepczą modlitwę, po której zawsze była zaduma i westchnienie. Nim łzy obeschły zdawało mi się, że słyszę głos modlitwy nad świeżą mogiłą dziadka - EL MALE RACHAMIM!

Dziś, gdy jeszcze raz sięgam pamięcią do dnia powrotu do Tomaszowa, wciąż widzę postać mamy przy błogosławieniu świece,

i ten cmentarz, i zwalone macewy, i słyszę słowa modlitwy nad wielką mogiłą - EL MALE RACHAMIM! I niech ten rozdział o moim mieście młodości zakończą strofy Antoniego Słonimskiego:

Już nie ma tych miasteczek, gdzie szewc był poetą,

Zegarmistrz filozofem, fryzjer trubadurem.

Nie ma już miasteczek, gdzie biblijne pieśni

Wiatr łączył z polską piosenką i słowiańskim żalem,

Gdzie starzy Żydzi w sadach pod cieniem czereśni

Opłakiwali święte mury Jeruzalem...